GIEWONT



KRAKÓW-ZAKOPANE ✦ No. 2

I-RZĘDNY HOTEL, RESTAURACJA, KAWIARNIA
W RESTAURACJI WIECZ. MUZYKA SALONOWA
RENDEZ-VOUS WYTWORNEGO TOWARZYSTWA

FIAT



Wyłączne zastępstwo: Jan Kowalski i Ska., Kraków / Biura: Radziwiłowska 23 / Wystawa: Basztowa 16



BRACIA BILEWSCY
BRACIA BILEWSCY



SANATORJUM POLSK. CZER. KRZYŻA W ZAKOPANEM.

Sanatorjum jest Zakładem Leczniczym przeznaczonym dla osób u których wskazanem jest leczenie klimatyczno-djetyczne. W szczególności Zakład przyjmuje: uzdrowieńców po wszystkich ostrych chorobach dróg oddechowych, profilaktyków t. j. osoby dotknięte dziedzicznem obarczeniem, względnie skłonnością do schorzeń gruźliczych; chorych z zamkniętą gruźlicą płuc z bezwzględnym wykluczeniem gruźlicy otwartej i t. zw. gruźlicy chirurgicznej — a wreszcie dla osób wyczerpanych, nie wymagających żadnego szczególnego leczenia, a tylko potrzebujących wytchnienia i odpoczynku. Obłożnie chorych, względnie chorych u których leczeniem klimatycznem nie można spodziewać się osiągnięcia poprawy — Sanatorjum nie przyjmuje.

Podstawowym sposobem leczenia jest tak dziś szeroko w zagranicznych uzdrowiskach stosowana metoda hygieniczno-djetetyczna Bremher'a i Dettwailer'a. Ciągłe przebywanie na wolnem i czystem powietrzu pod postacią już to werandowania, już to przechadzek i t. p. stosowanych indywidualnie z uwzględnieniem stanu i potrzeb chorego, ścisłe ujęcie całokształtu życia chorego poddane stałemu nadzorowi lekarskiemu, wreszcie dobry i pożywny wikt — oto zasadnicze cechy sposobów leczenia w Zakładzie. W wypadkach wskazanych stosuje się nadto wszystkie najnowsze zabiegi i środki lecznicze jak odmę sztuczną (pneumothoraks), helioterapję, naświetlenia lampą kwarcową, leczenie tuberkuliną, wlewania dożylne wapna, soli i t. p. W Zakładzie pracuje stale 3-ch lekarzy nadto wykwalifikowany personel pomocniczo-lekarski.

Przyjęcie uzależnia się od zbadania lekarskiego na miejscu. Dzieci do lat 15-tu Sanatorjum nie przyjmuje.

Pokoje zamawiać można osobiście w Zarządzie Zakładu lub drogą listowną za złożeniem zadatku. W razie nieprzybycia kuracjusza w ciągu dni 3-ch od oznaczonego terminu — zamówienie upada i z zadatku potrąca się 5-dniową całkowitą opłatę wraz z pensjonem. W czasie sezonu letniego (czerwiec — sierpień) oraz zimowego (grudzień — marzec) wobec olbrzymiego napływu kuracjuszy — pokoje zamawiać należy wcześniej (około 4-ch tygodni).

Sanatorjum położone jest na skraju Zakopanego w obszernym parku z widokiem na południowy łańcuch gór. Zakład posiada Pracownię Röntgena, lampę kwarcową, laboratorjum bakterjologiczne, ambulatorjum dentystyczne, aparaty do elektryzacji, własne elektryczne oświetlenie, dźwig elektryczny, centralne ogrzewanie, kanalizację, wodociągi, łazienki oraz salony towarzyskie i inne. W czasie sezonów Zakład przyjmuje na okres minimalny miesięczny, krótszy pobyt w sezonie uzależnia się od wolnych pokoi. W chłodnych porach roku P. T. Kuracjusze winni zaopatrywać się we własne ciepłe okrycia do werandowania jak: worki futrzane, pledy etc. Bielizna pościelowa własna pożądana.

SANATORJUM OTWARTE PRZEZ CAŁY ROK



Firma istnieje od roku 1898

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, SŁAWKOWSKA 3 (HOTEL SASKI), TEL. 0516

Magazyn galanteryjny, skład bielizny, kapeluszy, płaszczy, zarzutek, obuwia, przyborów do podróży

Posiada na składzie towary krajowe i zagraniczne pochodzenia angielskiego, francuskiego, wiedeńskiego i włoskiego, najlepszej jakości, po cenach najniższych

Zamówienia na prowincję uskutecznia się odwrotną pocztą za zaliczeniem.

Konto P. K. O. Kraków Nr. 404.634.


NAJLEPSZY KONJAK FRANCUSKI
COGNAC MARTELL

MARZEC 1926 PRINTED IN POLAND Nr. 2

GIEWONT

ILUSTROWANE CZASOPISMO ZAKOPIAŃSKIE
POŚWIĘCONE SZTUCE, LITERATURZE I SPRAWOM ROZWOJU UZDROWISK
REDAKTOR I WYDAWCA: ADAM KOWALCZEWSKI-SIEDLECKI
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: DRUKARNIA KATOLICKA, KATOWICE-ZAŁĘŻE, ULICA MICKIEWICZA 46-48

Jan Gwalbert Pawlikowski

TATRY I YELLOWSTONE-PARK.

W walce dyplomatycznej z Czechami przegraliśmy spór o Jaworzynę. Tak zwany spór o Jaworzynę — bo w rzeczy samej nie o Jaworzynę chodziło, ale o należną nam pozycję w Tatrach. Nie chcę tu mówić ani o powodach ani o skutkach tego zawstydzającego nas wyniku sporu; i przyczyny i skutki sięgają daleko poza sprawę lokalnego przesunięcia granicy i utratę tylu to a tylu kilometrów terytorjum. W sprawie Jaworzyny źwierciedlą się inne ogólne niedomogi, błędy, zaniedbania, słabości, a ta przegrana, to opłakane tych niedomogów świadectwo . . . Chcę pozostać na terenie czysto taternickim.

Przegranie tedy sporu jaworzyńskiego odsunęło nas od głównego łańcucha Tatr, pozostawiło najwyższe wzniesienia po stronie czeskosłowackiej i krajowi kilkakrotnie od Polski mniejszemu, dało kilkakrotnie większy wysokogórski teren turystyczny. Za naszą odrobiną Tatr stoi zaś nietylko kilkakrotnie większy, niż po tamtej stronie „hinterland", ale w dodatku „hinterland" o bez porównania większej intenzywności zapotrzebowania, cisnący się tłumem do tego ciasnego „okienka do nieba", tego wąziutkiego strumyka świeżego powietrza, tłoczący się aż do uduszenia ku temu skrawkowi ziemi, który zdaje się jakby cały na butach pielgrzymów miał być rozniesiony. Dawniej i tego natłoku nie było — i Tatrów nie dzieliła granica państwowa, tak że całe Tatry traktowaliśmy jak własne. Ten to stan posiadania utraciliśmy, Czesi zaś jako szczęśliwy Benjaminek dostali, to czego nigdy nie mieli i za czem wcale głodu dotąd nie czuli, — bo co do Słowaków, to tych było w Tatrach zawsze najmniej.

Stało się. Ale prawdziwa sztuka życia polega na tem, aby w każdem położeniu znaleźć sposób jego możliwie najlepszego wyzyskania, przystosowania się do niego. I to nam też pozostało. Czy i to „przefujarzymy" jakeśmy przefujarzyli granicę głównego grzbietu tatrzańskiego, ten mur naturalny stworzony przez Boga, pozwalając na to, aby sąsiad przez mur przelazłszy na naszym ogrodzie gospodarował? Zwalaliśmy naszą porażkę na różne rzeczy — słusznie czy niesłusznie, na większe niż u Czechów trudności w budowie państwa, brak konsolidacji wewnętrznej, brak wyrobionych dyplomatów, położenie międzynarodowe itd. Słyszało się i to, że walki ostrej z Czechami trzeba było unikać ze względu na korzyści ich przyjaźni. Tak jakby przyjaźń zdobywało się przez pozwalanie na to, aby nas nie szanowano. Ale wysuwano jedno na pociechę: mamy i tak tytuł do szacunku niezaprzeczony, naszą kulturę duchową. Otóż właśnie teraz otwiera się walka, nie walka, ale współzawodnictwo pokojowe w dziedzinie kultury. Obyśmy i w tej nie zostąli w tyle!

Nasi dzielni komisarze delimitacyjni (nie oni to zaiste zawinili jaworzyńską porażkę!) — pp. Walery Goetel i Bronisław Romaniszyn mimo ciężkiego i bolesnego zawodu, który mógł złamać niejednego, nie opuścili rąk, ale podjęli przedewszystkiem sprawę konwencji turystycznej. Niechże na tych Tatrach, które nie są nasze, mamy przynajmniej zapewnioną jaką taką służebność. Ci, którzy dopiero co byli przeciwnikami, poczęli teraz jak zgodni sąsiedzi radzić o wspólnem użytkowaniu spornego dotąd dobra. Ale nie dość na tem, — w związku z konwencją turystyczną, podnieśli komisarze nasi myśl daleko szerszą i głębszą, która — co do mnie wyznają, że wbrew oczekiwaniu — znalazła chętny i pełny oddźwiek u Czechów: myśl utworzenia z Tatr wspólnego rezerwatu, w postaci dwóch, zjednoczonych przez jednolite z obu stron ustawy — polskiego

i czesko-słowackiego, parków narodowych. W ten sposób Tatry — nie formalnie wprawdzie, ale jednak faktycznie — stałyby się rodzajem terytorjum neutralnego, zarządzanego zgodnie na podstawie wspólnego porozumienia, terytorjum, którego ustrój warunkuje potrzeba kulturalnej, idealnej natury, chęć zachowania w pierwotnej, nieskażonej postaci wspólnego klejnotu. Oto jest plaster, kojący na ranę jaworzyńską i na wzajemną niechęć dwóch narodów. Tatry stać się mają miejscem podania sobie dłoni; walka zamienić się ma w przyjazne współzawodnictwo w tem, kto je bardziej ukocha, kto szybciej, sprawniej, ofiarniej przystąpi do wspólnego dzieła.

— Park narodowy, wchodzący w granice dwóch państw, niema dotąd przykładu w Europie, a ma jeden, w Ameryce. Jest nim sławny Yellowstone-Park, leżący na terytorjum Stanów Zjednoczonych i Kanady. Nie dziw zatem, że już dlatego sprawa takiego międzynarodowego tworu na gruncie europejskim budzi międzynarodowe zainteresowanie. Budzi je w świecie politycznym, bo taki obrót sporu jaworzyńskiego, jest w istocie czemś nieoczekiwanem, czemś co stawia obie strony w niezwykle korzystnem świetle jako narody o wysokiej duchowej kulturze. Dla nas wstyd porażki jaworzyńskiej rozwiewa się, Czesi odsuwają od siebie pozory zachłannego materjalizmu, — dobro zdobyte ma być nie źródłem zysku, ale wspaniałym pomnikiem dla piękna i wiedzy. Samolubną — po obu stronach — jest tylko chwała uczynku. W obliczu cywilizowanego świata park narodowy tatrzański jest dużem zwycięstwem już nie tej czy owej strony, już nie przeciwników, ale obu równocześnie sojuszników.

Ale oczywiście obok tego politycznego zainteresowania niemniejszem, a trwalszem jest zainteresowanie sfer naukowych. Rezerwat tatrzański ma bowiem bardzo duże naukowe znaczenie, sam w sobie przedewszystkiem, ale też jako przykład jeden z najznamienitszych, — a może najznamienitszy — rezerwatów w Europie. A jego międzynarodowy charakter, który oczywiście przedstawia pokonanie niezwykłych trudności, szacunek i zainteresowanie dla tego dzieła powiększa. Jednym z objawów tego zainteresowania jest pismo, które nasi komisarze delimitacyjni otrzymali (przez pośrednictwo prof. Choppelier w Pogau), od najwybitniejszego członka Kuratorjum parków narodowych amerykańskich, dyrektora ogrodu zoologicznego w Nowym Jorku, p. Hornaday'a. Składając życzenia pomyślnego dojrzenia sprawy, przesyła p. Hornaday cenne uwagi, oparte na amerykańsko-kanadyjskich doświadczeniach, które dla czytelników nie będą bez interesu.

P. Hornaday radzi przedewszystkiem, aby nie opierać ustroju parku na traktacie międzynarodowym, ale na autonomicznych osobnych ustawach obu państw. Traktat międzynarodowy bowiem jest trudny do skonstruowania a jeszcze trudniejszy do zmiany, skutkiem czego wszelkie dopełnienia i poprawki nie łatwo mogą być wprowadzone. Jeszcze trudniejszą jest sprawa administracji takiego międzynarodowego terytorjum. Toteż ustrój amerykańsko-kanadyjskiego Yellowstone-Parku opiera się na odrębnych ustawach Stanów i Kanady. Porozumienie obu państw ma tylko na celu ujednostajnienie ile możności obu ustaw, a tak samo i zmiany odbywają się przy obustronnem porozumieniu obu komisyj, którym pieczę nad parkami każde z państw powierza. Ta sama zasada przyświecała od początku idei parku — czy parków tatrzańskich polsko-czeskich. Naczelną władzą dla parków w Stanach jest ministerstwo spraw wewnętrznych, przy którem istnieje osobny wydział dla parków narodowych, których w Stanach poza Yellowstonem jest jeszcze cały szereg. Bezpośredni nadzór ma komisja (kuratorjum) — z pięciu członków mianowanych przez ministra spraw wewn. a pełniących swe funkcje bezpłatnie, tylko za zwrotem kosztów własnych. Komisje Stanów i Kanady porozumiewają się ze sobą i odbywają wspólne zjazdy. Liczny personal strażniczy dobierany, starannie czuwa nad porządkiem i wykonywaniem przepisów w parku.

Mówiąc o zakresie ochrony zaczyna p. H. od następującej wielce charakterystycznej usilnej przestrogi: „W pierwszym rzędzie doradzam usilnie zabezpieczenie się przeciw jakimkolwiek zakusom ze strony interesów handlowych. Wiem z własnego — 25 letniego doświadczenia, ile pracy poświęcić musimy walcząc stale na naszych kongresach z prywatnemi przedsiębiorstwami, usiłującemi wyzyskać siłę wodną, drzewo budulcowe, paszę, a niekiedy także środki komunikacyjne, jak linie kolejowe itp. na własną korzyść, co w wysokim stopniu drażniłoby nasze społeczeństwo." Ochraniarze amerykańscy są zatem w tem szczęśliwem położeniu, że za nimi stoi społeczeństwo, to „materjalistyczne" społeczeństwo amerykańskie! U nas, gdzie idea ochrony przyrody — mimo naszego „idealizmu" zwolna się dopiero przyjmuje, musimy być przygotowani na walki jeszcze cięższe.

— Wszelka tedy exploatacja przemysłowa jest w parkach amerykańskich wykluczona. W szczególności niewolno exploatować sił wodnych ani używać wody do nawodnień. Niewolno wycinać drzew, w szczególności zaś „drzew dojrzałych", tj. starych, które są ozdobą lasu. Przy budowie schronisk może być dozwolone tylko użycie drobniejszego budulca. Szczegółowe przepisy istnieją dla zapobieżenia pożarom leśnym. Niewolno budować dróg i kolei poza wskazanemi koniecznością. Niewolno spożytkowywać paszy. Zwierzęta podlegają absolutnej ochronie. O ile znajdą się zwierzęta niebezpieczne, dozwolonem będzie ich usunięcie tylko straży parku. „Polowanie dla przyjemności, sport łowiecki i zawodowe



Kasperowy (kościelec!) *Fot. H. S.*

myśliwstwo nie są dopuszczone". — Zaginione gatunki mają być sprowadzone i osiedlone napowrót w ich naturalnych siedliskach.

Wobec grożących wciąż ze strony przemysłowców ataków na nietykalność parku, przestrzega p. H. że ustawy wzbraniające winny być wyraźne i surowe.

Specyficzny charakter mają przepisy, dotyczące używania parku przez publiczność. Trzeba zauważyć przytem, że Yellowstone-Park jest kilkanaście razy większy od Tatr. Ztąd wynika sprawa urządzenia letnisk i hoteli w obrębie samegoż parku. I tę sprawę bierze w rękę rząd, aby ją pokierować bez narażenia interesów ochrony; wykonanie zresztą może oddać przedsiębiorstwom prywatnym. U nas dla szczupłości i dzikości Tatr sprawa ta nie istnieje; miejscem letnisk jest Podtatrze. Ale do Yellowstone mimo jego olbrzymich rozmiarów, dostęp jest zawisły od osobnego w każdym wypadku pozwolenia, i połączony z pewną opłatą, idącą na cele utrzymania personelu ochronnego.

Takie to wskazania, na podstawie swych 25 letnich doświadczeń, daje nam p. Hornaday. Jest rzeczą interesującą, że projekt przez polską stronę przed poznaniem jeszcze wskazań p. H. wygotowany, w zasadniczych punktach zupełnie temi samemi rządzi się zasadami. Różnice wynikają z różnicy stosunków, które u nas są zresztą daleko bardziej skonplikowane. Tatry nie są ziemią dziewiczą ale exploatowane są zdawna na drzewo i paszę, a stanowią przedmiot własności prywatnej. O wykupnie przez państwo tej własności, i to wykupnie na cele niegospodarcze, praktycznie niemoże być mowy. Trzeba tedy poprzestać jedynie na ustawowem ograniczeniu użytkowania. Dlatego to Tatry nie mogą być w całości rezerwatem zupełnym. Zasadniczo ma się je tedy podzielić na dwie strefy: strefę ściślejszej i strefę luźniejszej ochrony. Ta druga obejmie — ogólnie mówiąc — regle, gdzie las podlega eksploatacji, pierwsza zaś okolice wyżej położone, schodząc jednakże tu i ówdzie w granice regli, gdzie tego wymagać będzie szczególny interes naukowy lub krajobrazowy. Gospodarka leśna ma podlegać rozmaitym ograniczeniom a przedewszystkiem kontroli czynników do ochrony rezerwatu powołanych. Najtrudniejszą kwestją stanowią pastwiska. W zasadzie zupełne ich usunięcie tylko wyjątkowo będzie potrzebne, wszędzie natomiast wymagać będą ograniczenia. „Przebydlenie" hal jest wielokrotnie powodem zniszczenia darni, ogołocenia stoków z wszelkiej roślinności, a nadto zniszczenia lasów, otaczających, i to w ich górnej granicy, gdzie są najcenniejszemi pomnikami przyrody i gdzie odnowienie ich jest najtrudniejsze. — Wykluczenie lub ograniczenie innych rodzajów użytkowania przedstawia o tyle mniej trudności, że użytkowanie takie aktualnie niema miejsca, zatem w nabytych prawach jego zakaz wyłomu nie robi.

Dla szerokich rzesz, zwiedzających Tatry szczególny interes przedstawiać będą ograni-

czenia mające się nałożyć turystyce. Tu przedewszystkiem ważne są ograniczenia nałożone stawianiu budynków, zatem i schronisk, tudzież budowie dróg i ścieżek. Budowle w strefie górnej wogóle są wykluczone, z wyjątkiem — u nas — schronisk już istniejących; u Czechów, którzy mają schronisk stosunkowo za mało, ilość ich i umiejscowienie mają być z góry oznaczone. To samo dotyczy dróg jezdnych a także ścieżek. Drogi jezdny nie mają nigdzie wychodzić poza granicę lasów, a ścieżki winny zachować typ pierwotny a nie zamieniać się w ścieżki „spacerowe." W strefie dolnej ograniczenia podobne istnieją, ale są luźniejsze. Szczególne niebezpieczeństwo zagraża celom rezerwatu ze strony zwiedzających. To też szereg przepisów obostrzonych karami określi zachowanie się w górach. Chodzi o ochronę flory i fauny, o niezaśmiecanie gór, o poszanowanie ciszej górskiej itp. Nie ulega wątpliwości, że sposób chodzenia po Tatrach z przed lat czterdziestu był o wiele przyjemniejszy — bo swobodniejszy. Paliło się ognie przy obozowiskach, rąbało w tym celu — i na posłanie kosówkę, śpiewało i hukało do woli, dla swawoli strącało głazy — olbrzymie nieraz — w przepaść, słuchając ich huku, płoszyło się uwidzianie kozice, aby napatrzeć się ich wspaniałym skokom, znosiło się ze sobą do domu całe naręcza kwiatów. Ale to było wtedy, kiedy w czasie całotygodniowej, w pełnem lecie wycieczce spotykało się jedną lub dwie małe grupki turystów, a czasem nie spotykało się żadnej. Pod tym tylko warunkiem dawny typ zachowania się w Tatrach byłby możliwy do utrzymania. To jednak skończyło się na zawsze — i z tem trzeba się pogodzić. Inaczej mielibyśmy w Tatrach zaśmiecony jarmark, a las, kosodrzewina zwierzęta i kwiaty przedstawiałyby ponury obraz zupełnej dewastacji, zanimby zupełnie nie znikły. Tatry stają się rodzajem muzeum, gdzie trzeba zachowywać się do przepisów i gdzie co krok czytamy: „uprasza się o niedotykanie przedmiotów!"

Na konferencji polsko-czechosłowackiej, która się odbyła 6. i 7. września w Zakopanem, podstawą dyskusji był projekt wygotowany przez stronę polską. We wszystkich zasadniczych punktach osiągnięto zupełne porozumienie. Okazało się przytem, że Czesi stawiali postulaty ochronne jeszcze dalej idące od naszych. Między innemi — i to reprezentant właśnie interesów turystycznych, delegat klubu turystycznego czeskiego, — stawiał żądanie wykluczenia skautu i campingu na terenie parku narodowego, a dalej kwestjonował potrzebę robienia ścieżek a nawet znaczenia szlaków na szczyty mniej uczęszczane. Ze strony turystycznej stawiano tylko pewne zastrzeżenia, co do projektowanego przez Czechów absolutnego zamknięcia niektórych ważnych terenów turystycznych jako rezerwatów kozicowych. Zażądano pewnej rewizji granic tych terenów, dozwolenia zwiedzania ich małym grupom turystów za specjalnemi pozwoleniami i przyjęcia zasady rezerwatów lotnych tj. zmieniających swe miejsce co pewien okres czasu.

To stanowisko Czechów względem ochrony przyrody było dla nas pewną niespodzianką, ale sprawili oni nam jeszcze drugę. Oto okazało się, że jakkolwiek u nas sprawa ochrony przyrody zapoczątkowaną była dawniej, oni zaczynają nas już na tem polu wyprzedzać. Podczas kiedy u nas od początku r. 1920 wygotowany przez tymczasową Komisję Ochrony Przyrody projekt ustawy o organizacji ochronę przyrody do dziś nie doczekał się załatwienia, u nich ustawa ochronna wchodzi już w życie, istnieją prawne organa ochrony a nawet docentura ochrony przyrody na Uniwersytecie praskim! U nas czynniki społeczne wyprzedziły społeczeństwo czeskie, rząd pozostał w tyle, — u Czechów odwrotnie — rząd kroczy przodem i niezasypia spraw. Obyśmy nie dali się zdystansować także i w sprawie parku narodowego! Dotąd inicjatywa jest w naszych rękach; czy tak będzie i wtedy, kiedy dalsza akcja przejdzie w ręce rządu i organów ustawodawczych? . . .

Biorąc udział w konferencji polsko-czechosłowackiej, jako referent ustawy rezerwatowej, nie mogłem się oprzeć szczególnemu uczuciu. Oto przed kilkunastu laty po raz pierwszy wypłynęła sprawa ochrony Tatr z okazji projektu, inż. Dzieślowskiego budowy kolejki na Świnicę i założenia kamieniołomu w dolinie Stawów Gąsienicowych, tudzież budowy hotelu szczytowego. Z kilkoma zaledwie przyjaciółmi zaczęliśmy akcję przeciw temu. Oświadczały się przeciw nam w imię kultury i postępu, interesów gospodarczych i Bóg wie czego jeszcze, wielkie nawet społeczne i naukowe powagi, poparcie kolejki uchwaliło było Tow. Tatrzańskie, popierał tę myśl Wydział Krajowy, rząd centralny przyrzekł subwencję! Na jednym z wieców gości w Zakopanem uchwalono popierać nietylko kolejkę, ale wysunięto szereg innych jeszcze postulatów — jak np. (wydaje się to legendą!) budowę całego szeregu altan („utulni") naokoło Morskiego Oka, i zaprowadzeniu na niem gondol. Mówiło się o wyzyskaniu siły Wielkiej Siklawy i Wodogrzmiotów. I czegóż się jeszcze nie mówiło! W kilka lat później, w roku 1912, powstaje jednak już przy Tow. Tatrzańskiem Sekcja Ochrony Tatr. Z jej inicjatywy wychodzi szereg broszur przeciw kolejce. Tow. Tatrzańskie, które się tymczasem wycofało ze swego stanowiska względem projektu kolejki, przy obchodzie swego czterdziestoletniego jubileuszu powierza referat „o przyszłych drogach Tow. Tatrzańskiego" prezesowi Sekcji Ochrony Tatr! Swoją drogą na drugi dzień — wbrew opinji Sekcji — uchwala budowę „dworku polskiego na reglu Czarnego Stawu! . . . Upływa kilka lat, powstaje rząd polski — i pierwszy jego minister oświaty inicjuje ustawodawstwo ochrony przyrody w Polsce. Tow. Tatrzańskie uchwala zasadę nie budowania więcej schronisk i nie dopuszczania dróg jezdnych do głębi



Fragment Parku *Fot. H. S.*

Tatr, tudzież zaniechania robienia dalszych ścieżek, a utrzymywania tych, co są w charakterze ścieżek prymitywnych. A w tym roku konferencja polsko-czechosłowacka i jednomyślna zgoda przedstawicieli dwóch narodów, przy udziale reprezentantów obu rządów, na zachowanie Tatr w charakterze parku narodowego w stanie o ile możności pierwotnym!...

Tak to zmieniają się czasy i poglądy. Nie można jeszcze powiedzieć, aby stanowisko to było powszechnem. Oto np. w jednej z książek niedawno wyszłych o Polsce współczesnej, — zresztą doskonałej — przy omawianiu Tatr powiedziano, że niestety nie są one jeszcze należycie udostępnione i brak im kulturalnych urządzeń. Niewątpliwie — brudzie i wiarygodne schroniska mogą i powinny być schludne i wygodne — ale też tylko tyle. Za tem oczywiście jesteśmy wszyscy. Ale kiedy się dziś mówi np. o poprawie urządzeń turystycznych nad Morskiem Okiem, to nie mówi się już o hotelu na morenie, z tarasami, na których rozbrzmiewa muzyka, i o gondolach i „utulniach" — ale mówi się o wygodnym, obszernym budynku, cofniętym o kilometr co najmniej od jeziora, z przerwami drogi jezdnej przed tymże ostatnim kilometrem — a o wytępianiu wszelkich śladów kultury ludzkiej poza tą nieprzewidzialną granicą. — „Kultura" ma tam wprowadzić nie trotoary i altany — ale kosodrzew i limbę. Tak się dziś zmieniły pojęcia o kulturze. Kulturą były dawniej kiermasze, odbywane w miejscach i dniach odpustów. Do konfesjonałów nawet dochodziły dźwięki katarynek i wywoływania jarmarcznych arlekinów i akrobatów. Dziś człowiek kulturalny chce w świątyni tatrzańskiej być kulturalny chce w świątyni tatrzańskiej być, jeśli już nie można sam na sam z Bogiem, to przynajmniej wśród spokoju i ciszy umożliwiających kontemplację i skupienie. Na kiermasz dość — aż nadto — miejsca na Krupówkach.

Jeżeli jednak tyle się zmieniło w ciągu lat kilkunastu, daje to otuchę i na przyszłość. Radzibyśmy nieco szybszego tempa — czasem zdaje nam się, że stoimy w miejscu. Ale pocieszajmy się słowami poety:

Wiedzieć jak trawa rośnie, próżno silisz oko
Lecz łacno dojrzysz, że już wyrosła wysoko.
W tem czerp ufność, nie jedno tak rąk ludzkich dzieło
Nie widać jako rośnie — naraz skądś się wzięło.

(*Rückert*
Z mądrości braminów).

O Fundacji Zamoyskich.

Sprawa ta zasługuje na szczególną uwagę. Nie każdy bowiem wie, co się kryje w oficjalnej, skromnej nazwie Fundacji: Zakłady Kórnickie. Społeczeństwo tu i ówdzie wie coś niecoś o rozmaitych Fundacjach dobroczynnych lub oświatowych, o celach ściśle ograniczonych, wyłącznych: Fundacja Skarbka, Fundacja Kickich, Zakład Hecla, Szpital Frenklówny, Ossolineum i może jeszcze kilka.

Inny zgoła charakter noszą Zakłady Kórnickie. Obszary wielkie, bo przeszło 19000 hektarów, około 13 000 w Wielkopolsce, a 6000 w Małopolsce. Tam klucz Kórnicki i Trzebawski, tu Dobra zakopiańskie. Wielkie i istotnie piękne szmaty polskiej ziemi, w znacznej części odkupionej, wydartej, niemal odbitej, jak Morskie Oko, od obcych, od wrogów. Stare lasy sosnowe, żyzne orne łany, prześliczne jeziora, na jednym z nich przepiękna wyspa z ruinami zameczku, pod Poznaniem, i wysokie najwyższe w Polsce góry tatrzańskie z pięknymi lasami świerkowymi, z Morskim Okiem i Czarnym Stawem, stawem Smreczyńskim. Na Rysach, na Mięguszowickim, na Żabim, wyryte być mogą krótkie napisy: „Odzyskał dla Polski Zamoyski".

Dolina Roztoki, Morskie Oko, Wodospady Mickiewicza, Wołoszyn, Tarasówka, Dolina Kuźnic, Białego, Strążysk, Za Bramką, Małej Łąki, Kościelisk, Pyszna i Ornak stały się własnością narodową, niepodzielną na zawsze póki Polska będzie polską.

Nadto Zakład Kórnicki, ten który po cichu konspiracyjnie pod oczami zaborców dokształcił i wychował już przeszło 4000 Polek; jeszcze fabryki (papiernia, trzy tartaki, elektrownia) i liczne domy w Kórniku i Zakopanem. Warsztaty pracy, dzięki którym skromnie co prawda, ale wiele ludzi losem gnanych przetrwało w uczciwej pracy i umiłowaniu wszystkiego co krajowi służyć mogło. Wiary w lepszą i niepodległą przyszłość i pracy wśród i dla swoich.

To wielkie mienie prywatne przeistoczone w Fundację, od pokoleń już wygasłych Działyńskich, było redutą bojową i umysłową sprawy polskiej, a znakomicie powiększone przez Zamoyskiego, w którego żyłach krążyła krew Działyńskich, stać się ma od niedawna, od chwili śmierci śp. Władysława Zamoyskiego wcieleniem wszechstronnej jego troski o podniesienie ducha narodowego w pracach i myślach, skromności osobistej i ofiarności społecznej.

To wielkie mienie przekazane Narodowi prawie bez długów ma służyć kilku celom, ma służyć ludziom dobrej woli szerokiego ogółu. Ma budować naukę niższą, średnia i wyższą, ma doskonalić na zdolniejszych. Za lakonicznym, miniaturowym prawie statutem Fundacji ułożonym przez śp. Fundatora, kryją się ważne, może na wieki obliczone skutki. Dziwny, nie zawsze i nie wszędzie pojmowany rozum Fundatora przeczuwał i ważył zwycięstwo w walce o byt narodowy w uzbrojeniu jednostek możliwie licznych w hart i wiedzę tak wielkie, by zdolne były wytrzymać rywalizację z narodami, które nie doznały materjalnych i moralnych cięgów niewoli. Tego hartu śp. Fundator składał liczne dowody i naprawdę — wiedzą ci, którzy nań patrzyli — był niedościgniony przykładem.



Władysław Zamoyski

A jeśli żyjąc i pracując miewał często maskę chłodnego rozumu, to zdarł ją i istotną treść swych marzeń i czynów, swych nadziei z gorącego serca płynących wyjawił w przepięknym liście do Prezydenta Rzeczypospolitej 16. lutego 1924 r.

Jest to spowiedź i testament, cześć oddana tradycji, i apel do przyszłości. W dzisiejszych niezbyt bogatych w porywy ducha czasach, raczej zmaterjalizowanych, zakleszczonych ciężkim przemysłem i międzynarodowym handlem, w czasach, nad którymi zdaje się powiewać sztandar w postaci karty amerykańskiej buchalterji, list ten jest bilansem krwawych mozołów niezależnych hardych duchów, odchodzacego wczoraj, a śmiałym i odważnym preliminarzem, pełnym nadziei na niepewne jutro.

List ten winien się znaleść w wypisach szkolnych, jako wzór męskiego szlachetnego stylu i mowy polskiej:

„Już dawno, za czasów niewoli, postanowiliśmy to, cośmy posiadali tak zabezpieczyć, by i nadal polskiej służyło sprawie."



Tor saneczkowy w Kuźnicach. *Fot. H. S.*

Dzisiaj, gdy możemy się zwrócić do Sejmu, do Senatu i do Rządu Polskiego, składamy przed nim prośbę, by raczyli zamierzonemu przez nas dziełu zapewnić opiekę Rzeczypospolitej i potwierdzić załączony statut.

Od rozbioru Polski każde powstanie Narodu, celem odzyskania utraconej niepodległości, jakiś przyniosło zaszczyt rodzinie właściciela Kórnika: śmierć, lub wyrok śmierci Działyńskiego. —

My, którym ostatni z nich spuściznę swą przekazał, wydaleni z Kórnika przez Niemców, od długiego, bo trzydziestu-kilku letniego szeregu lat, niejedną musieliśmy przerwać rozpoczętą pracę. Nie mogliśmy niejednego tak wykonać, jakbyśmy pragnęli. Mamy jednak nadzieję, że jak uzyskamy potwierdzenie tu przedstawionego statutu, pozwolenie, by majątki nasze nieruchome, tak odziedziczone, jak na wrogach zdobyte zostały zapisane na niepodzielną własność narodową i zapewnienie, że one pozostaną polem pracy polskiej i chrześcijańskiej, a że Zarząd Zakładami już w tych majątkach istniejącemi, lub mającemi w nich powstać, oddany będzie w ręce ustawionego tym statutem kuratorjum, — to się nie jedno da uzupełnić na chwałę i pożytek Ojczyznie. Dla zaznaczenia stosunku „Zakładów Kórnickich" do Kościoła i Ojczyzny, pragnęlibyśmy gorąco, by patronat nad Zakładami Kórnickiemi raczyli przyjąć Prezydent Rzeczypospolitej i X. Prymas, do których, jak i do Ich następców, pełni wiary i nadziei zwracamy się z prośbą serdeczną, by łaskawą raczyli otoczyć opieką dzieło, powstałe z gorącego umiłowania Ojczyzny i z pragnienia, by tych zakładów praca nie przestała za Bożą pomocą, przy udziale synów wszystkich ziem polskich, w najdalsze czasy polskiej służyć sprawie.

Do Kuratów, do Członków Zarządu, do przyszłych Naczelników, Kierowników Zakładów i poszczególnych działów, którzy jakikolwiek udział brać będą w pracy przez Zakłady Kórnickie podjętej, zwracamy się z równie serdeczną prośbą, by strzedz raczyli Zakłady Kórnickie przed każdym, którego by nie polecały jego dzielność, zdolność, roztropność, nieskalane ręce, przed wszystkiem, co by najlżejszą Krajowi ujmę przynieść mogło, — pamiętając, że na pracowniach, które z wielu wysiłków i poświęceń powstały, od długiego szeregu lat wrzała praca licznych Polaków i Polek w Imię Boże, w służbie Polski."

Prócz tych dóbr materjalnych, które by można waloryzować, Fundacja posiada i skarby idealne; to zamek Kórnicki z bogatą bibljoteką, pięknymi zbiorami historycznymi, zbiorem licznych manuskryptów bardzo starych i licznych narodowych pamiątek. Naprzykład ołtarz polowy Sobieskiego, lub rękopis „Dziadów" Mickiewicza i wieli innych. Dalej liczne naukowe wydawnictwa. Starożytne meble, bogata zbrojownia. Przy zamku jeszcze dobrze zachowanym, a pamiątającym czasy Wa-

lezego, piękny stumorgowy park z rzadkiemi okazami drzew krajowych i egzotycznych. Niepodobna rzeczy tych oceniać.

Z tych murów, z tych zbiorów, z tych ksiąg i snujących się po zamku wspomnień, tradycji i legend, wieją w otoczenie i grają jakieś dziwne surmy, jakieś nieodparte nakazy, za każdym razem, gdy się nadarzy sposobność iść naprzód z piersią i pięścią. Toć prawie wczoraj, gdy Wielkopolska powstała, — pierwszą kompanią co się do Poznania przeciw Niemcom zwaliła, była kompanja Kórnicka, a czyn ten nie był spóźnioną paradą, lecz miał swoje pełne wojenne znaczenie.

Strzeszczając powyższe z grubsza tylko przedstawiające mienie Fundacji, prawie nieodłużonej i wciągu ostatnich dwóch lat doprowadzonej pod względem gospodarczym do znacznego porządku (zdezorganizowanego w Zakopanem wojną), a w Kórniku trzydziestu-kilkuletnią banicją śp. Fundatora przez Prusaków i dewaluacją powojenną, z powodu której kontrakty dzierżawne były bez wartości dochodowej (materjalne dobra przedstawiają przeszło 7000 hektarów roli w 19 folwarkach, około 10 000 hektarów lasów nieźle zagospodarowanych, pod Poznaniem i w Tatrach, około 1000 hektarów rybnych jezior, wreszcie około 100 hektarów łąk, pastwisk), nieużytków i pomniejszych terenów, nakoniec handlowe domy, kilka domów czynszowych, no i pałac Działyńskich na Starym Rynku w Poznaniu. Dobra zaś idealne to tradycja patrjotycznych ofiar i prac, bibljoteki (Kórnicka, Batignolska, Lelewela), zbiory pamiątek i zbrój, prywatne zbiory śp. Fundatora z jego licznych podróży, stary zamek wielokrotnie plondrowany i przetrząsany przez wrogów, i połowa Tatr skalistych z Morskim Okiem i najwyższemi naszemi szczytami: szlachetne strofy historyczne, najpiękniejsze zakątki polskiej ziemi.

Ten narodowy dar zorganizowany i uprzemysłowiony należycie może dać wielkie dochody, tak znaczne w niedalekiej przyszłości, według opinji dokładnie cały majątek za lat dziesięć, że śp. Fundator nie wahał się wyznaczyć Fundacji kilka celów, a wszystkie wielkiej wagi, i znacznego pożytku narodowego. Mianowicie:

Ufundowanie Naukowego Instytutu Leśnego. Instytut ten w Polsce, która ma znaczne i różnorodne wielkie przestrzenie leśne; bagniste, nizinne, równinowe, podgórskie, górzyste i wysokogórskie — jest niezbędnie potrzebnym i stworzy konieczne uzupełnienie nauki twórczej gospodarstwa narodowego, podobnie jak dziś Puławy chlubnie reprezentują naukę gospodarstwa rolnego w Polsce. Społeczeństwo zdaje się niedoceniać tej myśli, może dlatego, iż nie wie, nie jest poinformowane, na jak nizkim poziomie znajduje się w Polsce gospodarka leśna, jak mało w Polsce mamy uczonych leśników, a jak wiele leśnych kupców, dla których obojętnem jest, czy kupiony las odrośnie i dokąd płynie spłukana gleba gór. Instytut Leśny Naukowy będzie tym aniołem stróżem, który nie dopuści do dłuższego trwania dzisiejszej leśnej gospodarki w Polsce, i tym, bezstronnym rzeczoznawczą, który obmyśli i przeprowadzi w życie ustawę leśną, dostosowaną do różnorodnych warunków przyrodniczych. Dziś las na Ornaku podlega tym samem paragrafom prawie co las na Helu.

Utrzymanie i rozwój szkoły Gospodarstwa Domowego dla Kobiet jest drugim celem Fundacji. Szłoka ta jest już czynna czterdziesty trzeci rok, łoży się na nią rocznie około siedemdziesięciu pięciu tysięcy złotych, i obecnie ma sto dwadzieścia uczenic. Są to znane w Polsce „czepczule“ z pod strzech słomianych i z pod wieżyc pałacowych. Ta do ostatnich lat zakonspirowana szkoła prócz nauczania tych prac, jakie kobieta w gnieździe swym każda znać powinna, kształciła młode dusze wierzyć, pracować i spodziewać się każdej przytomnej godziny, że Polska odżyje. I odżyła. Z tą chwilą dla szkoły powstają nowe zadania jawne i radosne, a dla kierowników jej nowe troski; rozbudować się, rozszerzyć zakres nauk, zdobyć prawa publiczne, polepszyć, to co z musu było za skromne, zachowując jednak ducha i zasadę, które przez lat czterdzieści trzy z Paryża przez Kórnik, Lubowlę, Kalwarję, Bystre zaprowadziły szkołę na stałe do Kuźnic, a dały Polsce przeszło cztery tysiące, to znaczy pułk, oddanych sprawie niewiast. Nie pierwszy to a może nie ostatni pułk Działyńskich i Zamoyskich, a w każdym razie bardzo miły.

Trzecim celem Fundacji są stypendja dla najzdolniejszych. Marzeniem ofiarodawcy było, by co rok dwunastu młodzieńców wykształconych w kraju — dla wyższych studjów, dla specjalizacji, do czasu póki wiedza dotychczas wolnych ludów przewyższać będzie stan nauk do niedawna ujarzmionej Polski — mogło udać się do najlepszych uczelni, do najkulturalniejszych ośrodków pracy, a po doświadczeniu wracało służyć Polsce, a to nie bagatela. Jeśli los pozwoli, to ten cel pochłonie rocznie chyba ze sześćdziesiąt tysięcy złotych. Są i cele skromniejsze; gospodarcze kursa, ze szczególnym uwzględnieniem nauki o kooperatywach dla włościan, popieranie wychowania młodzieży męskiej w duchu narodowym, konserwacja zamku, parku, bibljotek i zbiorów ku utrwaleniu tradycji, dzięki której powstały i przetrwały, wreszcie wykonanie zobowiązań, postanowionych przez Fundatora, opieki nad starymi towarzyszami pracy, którzy razem równocześnie z Nim przechodzili złe i dobre chwile, którzy nigdy nie patrzyli na szampan, a nieraz jadali suchy chleb z ziemniakami.

A pewna część dochodów ma być przeznaczana na melorację, uprzemysłowienie i w ogóle podnoszenie mienia tak, by jaknajwięcej rąk znalazło zatrudnienie i uczciwy zarobek.



Na szczyt. Fot. H. S.

Tadeusz Zwoliński

WYCIECZKA ZIMOWA NA SZEROKĄ JAWORZYŃSKĄ.

Wyiskrzona gwiazdami noc zimowa spowiła w ciszę dolinę zakopiańską, drzemiącą pod grubym kobiercem śniegu. Dachy chat, płaszczyzny rozległych pól, zbocza okolicznych wzgórz i skute w lodowe pancerze granie dalekich szczytów — lśniły seledynową poświatą księżyca na tle ciemnych lasów smrekowych i zalegających doliny czarniejszych jeszcze cieni. — Pogoda zapowiadała się znakomicie.

W taki to wieczór, dnia 23. marca 1923 — wyruszyliśmy parokonnemi saniami, zaopatrzeni w liny, raki i wszelki sprzęt górski (podpisany wraz z bratem Stefanem i p. Tad. Malickim) — w stronę Łysej Polany, mając w projekcie wyprawę narciarską na Szeroką Jaworzyńską, nader rzadko zwiedzany szczyt między dolinami Białej Wody a Jaworową, skąd roztacza się wspaniały panoramiczny widok na Tatry Wysokie.

Rozmarzeni urokiem cudnej nocy księżycowej nie spostrzegliśmy nawet, kiedy minęliśmy doskonałą sanną leśniczówkę w Zazadniej. Dalsza jednak droga wznosząca się na wierch Porońca, przetorowana była w głębokim śniegu już tylko jako wąski ubity szlak, w którym para koni nie mogła znaleźć miejsca — to też co chwila to jeden, to drugi z nich zapadał po brzuch w śniegu. Idziemy za saniami, popychamy je; wreszcie — zaprzęgamy konie na długiej linie turystycznej jednego przed drugim.

Sposób ten — mimo pesymistycznych zapatrywań naszego furmana okazał się praktycznym, to też wcale prędko wydostajemy się na szczyt Porońca. Tu jednak szlak przetorowany kończy się, zmuszając nas do odesłania koni. Wkładamy plecaki, przypinamy narty, wędrujemy dalej. Załamująca się co chwila skorupa szreni uniemożliwia spodziewany miły zjazd, to też docieramy dobrze już po północy do schroniska na Łysej Polanie, gdzie na rozesłanych materacach doczekaliśmy świtu.

Daleka czeka nas droga, więc opuszczamy gościenne progi przed wschodem słońca; tęgi mróz, niebo przeczyste, pogoda „murowana", humory naszej trójki świetne — suniemy więc żwawo linją gościńca ku Roztoce.

Zimowy poranek w górach . . . Przydrożne smreki lśnią narosłemi gęsto blaszkami i kryształami sadzi, sterczącemi na każdej igiełce, każdej gałązce . . . Narty nasze przerzynają stwardniałą skorupę szreni z metalicznym chrzęstem, miażdżą za każdem posunięciem nogi mirjady lodowych gwiazd, igieł, płatków, tworzących na powierzchni śniegu przedziwne, zawiłe desenie — zwiewną, kruchą, przelotną fantazję czarodziejki — zimy.

Za krzakami, na lewo, obłok pary unoszący się w lodowatem powietrzu wskazuje potoku Białki wśród zasp śnieżnych.

Słońce wyziera z za rozłożystego cielska Szerokiej Jaworzyńskiej, złocąc pierwszem dotknięciem wyniosłe czuby Wołoszyna i Miedzianego — gdy docieramy wreszcie wysokim, fantastycznie osędziałym lasem do schroniska Pol. Tow. Tatrzańskiego (zamkniętego, jak zwykle na zimę) w Roztoce.

Że jednak samem podziwianiem cudów zimowego poranku żaden jeszcze narciarz nie pożywił się (niestety) — a i my nie jedliśmy nic jeszcze — zaglądamy z ochotą w czeluście naszych plecaków, wydobywając na światło dzienne różnorodne przysmaki. Tymczasem płomień maszynki spirytusowej zamienia wnet najwspanialsze kryształy i gwiazdy śnieżne — w niemniej (coprawda z innego punktu widzenia) wspaniałą, gorącą „herbę".

Składamy na werandzie schroniska „naradę wojenną". — Tuż za Białką, na „czechosłowackim" jej brzegu, wznoszą się dość strome, gęstym lasem u dołu porosłe stoki Holicy, Zadniej Kopy, Horwackiego Upłazu i Zamków, stanowiących zachodnie odgałęzienie gniazda Szerokiej Jaworzyńskiej, a graniami ich powiedzie nasza na nią droga.

Na przełęcz między Zadnią Kopą a Horwackim Upłazem prowadzi z polany Białej Wody ścieżka myśliwska przez las, nie wydający się dobrym terenem narciarskim; dla turystów jest ta droga przez zarząd dóbr Jaworzyńskich, należących do księcia Hohenlohego, surowo zakazana, — nadto zaś ja jeden z całej trójki naszej zaopatrzony jestem w przepustkę graniczą — a był to właśnie okres sporu o Jaworzynę, szykan i utrudnień, jakie Czesi robili naszym turystom.

Postanawiamy więc unikać spotkania zarówno ze strażnikami leśnymi ks. Hohenlohego, czyli tak zwanymi przez górali „jegrami" — jak i z celnikami czeskimi, których zresztą w tej porze roku i przy takich śniegach nie spodziewaliśmy się tu zastać. — Wkładamy więc na ramiona plecaki i zdążymy nad Białkę.

Istniała tu przed laty kładka, zbudowana przez Tow. Tatrzańskie, a zburzona w czasie sporu o Jaworzynę przez naszą straż graniczną — zapewne w mniemaniu, że uda się w ten prosty sposób wytępić radykalnie przemytnictwo i uniemożliwić turystom przejście „suchą nogą" tej „mokrej" granicy. Niestety jednak zapomniano, że bystra i dzika Białka mało przypomina chociażby Wisłę pod Krakowem, i nie pousuwano głazów sterczących pośrodku jej koryta.

I naszej trójce głazy te — coprawda obmarznięte lodem i „niemożliwie" śliskie — posłużyły za niezgorszy most graniczny; stajemy więc za chwilę na pięknej, rozległej polanie Białej Wody, na terenie — (niestety) — czechosłowackim wówczas — a którzy i dziś, po „uregulowaniu" sporu granicznego jaworzyńskiego, dzięki tak „przyjaźni" cnych Aljantów jak i „energji" naszej dyplomacji — czechosłowackim pozostał.

Przechodzimy więc szybko parkan, którym ks. Hohenlohe chroni swoją zwierzynę od podobnie, jak nasze, nielegalnego przejścia granicy — i „obzieramy się" ostrożnie dokoła . . .

Cicho, pusto — słońce już wysoko. Przed nami, w głębi doliny Białej Wody drzemią w błękitnej śreżodze, przysute śniegiem majestatyczne olbrzymy tatrzańskie . . . Gierlach, Ganek, Wysoka, bliżej Młynarz . . . Ściany ich, pogrążone w mroźnym cieniu, obrzeżone na granicach słonecznym blaskiem, kreślą się strzelistemi, tak dobrze nam znanemi konturami na bladym lazurze nieba . . .

Wznosimy się w lewo, słoneczną polaną pełną jelenich i sarnich śladóp; za nią, na złomisku obalonego w jesieni wiatrem halnym lasu śnieg miękki i głęboki; mimo nart zapadamy po kolana prawie; wreszcie ogarniają nas strome, lesiste stoki wąskiego żlebu Rozpadliny, wiodącego ku przełęczy będącej naszym celem. Przed nami — ślad ludzki, zmierzający w tę samą stronę. Wędrówka na nartach przez gęstwinę młodych smreczków zarastających się coraz stromiej żlebek, staje się niezmiernie uciążliwą — a do przełęczy, leżącej około 500 m. wyżej, tak jeszcze daleko . . . Daremnie szukam śladów znaczonej na mapie — (notabene, jak wspomniałem, zakazanej) ścieżki myśliwskiej. Już postanawiamy rozpocząć wędrówkę lasem naprzełaj — gdy stajemy nagle przed stertą siana, przygotowanego dla jeleni. Od niej wiedzie ku górze wydeptany przez naszego poprzednika, zapewne „jegra" z zarządu dóbr ks. Hohenlohego, wysypany z noszonek przezeń sianem, ubity i przymarznięty szlak. Heureka! tego nam było potrzeba! Błogosławiąc jelenie i ich karmicieli a nawet — w tej chwili — ks. Hohenlohego, zdejmujemy narty i szybko już, jakby po wygodnych schodach wspinamy się na szczyt wysokiej „buli", pokonując tak bez zmęczenia zawaloną głębokim, grząskim śniegiem stromą górę lesistą w nadspodziewanie szybkiem tempie.

Nasza „droga sianowa" (termin nieznany dotychczas w literaturze taternickiej) — wiedzie wyżej jeszcze gęstym lasem na piękną polankę pod szczytem Zadniej Kopy, skąd zapewne to opatrznościowe siano znoszono.

Nagły blask słońca oślepia przywykłe do leśnego cienia oczy. Po chwili dopiero podziwiać możemy w całej pełni wspaniałość roztaczającej się stąd panoramy. Aparaty fotograficzne w ruchu; zresztą odpoczynek słusznie się nam już należy. Spoglądamy ku górze, w stronę Szerokiej Jaworzyńskiej. Od przełęczy, ku której zmierzamy, wznosi się ku niej falistą linją potężny grzbiet, najeżony szeregiem turniczek. Daleko jeszcze do szczytu — to też widok ten zniewala nas do dalszego szybkiego marszu.

W tem Stefan wskazuje szczyt Horwackiego Upłazu „Człowiek na grani!" Spoglądamy zdumieni — rzeczywiście, na tle nieba odcina się wyraźnie ciemna, drobna sylwetka. Zapewne „jegier", bo turyści nie chodzą tu prawie nigdy — wnioskujemy. Jeden z nas, znany z nader lojalnego usposobienia, zastanawia się nawet, co zrobimy, gdy strażnik ów, czatujący chyba na szczycie na nas, niepowołanych intruzów w krainę kozic i jeleni — zakrzyknie groźnie „halt!" wzbraniając upragnionego zdobycia Szerokiej Jaworzyńskiej. Rozważamy więc, wznosząc się słonecznem zboczem ku górze, gdy nagle ogłusza nas niesamowicie sil-



Cisza gór — *Fot. H. S.*

ne, chrapliwe gwizdanie. Liczny „kierdel" kozic, koło 20 sztuk, wypada z za pobliskiej skałki. Widząc nas tuż przed sobą, stają na chwilę jak wryte — zawracają błyskawicznie i lekkiemi skokami przebiegają po zlodowaciałym stoku na przeciwległe zbocze Szerokiej Doliny. przełęczy, wszelkie jego i nasze szanse — pro i contra — lecz dochodzimy wnet zgodnie do przekonania, że „jakoś to będzie", tem bardziej, że tajemniczy strażnik stoi „jak przymurowany" na szczycie, nie reagując zupełnie na nasz widok. Co dziwniejsza, wydaje się nam w miarę zbliżania podejrzanie opasły i brzuchaty (zapewne od piwa, zauważa złośliwie mój przyjaciel).

Dopiero przy pomocy lornety Zeissa rozpoznajemy w nieruchomej sylwetce na szczycie — baniasty metalowy przyrząd do mierzenia ilości opadów deszczowych (ombrometr), ustawiony tam na kamiennem podmurowaniu. Zabawne „qui pro quo" kończy się, dając temat do licznych żartów.

Stajemy na przełęczy za Zadnią Kopą i rozbijamy obozowisko na składce ponad nią. Znowu nieodzowne „warzenie herby" ze śniegu; zawartość plecaków zmniejsza się szybko; towarzysze moi kombinują dziwne, zapewne tylko w górach jadalne i dla narciarskiego żołądka strawne mikstury przeróżnych konserw, wędlin, wreszcie „lodów" śniegowych, popijając wszystko wrzącą herbatą. Odbite od powierzchni śniegu promieni słońca prażą niemiłosiernie, zrzucamy więc kurtki i sweatery, używając na tej wyniosłej turni, wśród śniegów głębokich — prawdziwej kąpieli słonecznej. Wesoło nam tu i dobrze. Cała nasza — tak nacgół „stateczna" trójca, bawi się i dokazuje jak dzieci . . .

Lecz spojrzenie na zegarek przywołuje nas do porządku . . . południe minęło, ruszamy dalej, pełni najlepszych myśli. I oto — przykra przygoda. Przyjaciel nasz, idąc ostatni, po zasypanym śniegiem i zarosłym kosówką stromym stoku — zapada nagle pod jej gałęzie i w upadku skręca boleśnie nogę. Po chwili namysłu decyduje się więc pozostać na przełęczy i zaczekać na nasz powrót ze szczytu.

Czas nagli — idziemy więc z bratem we dwójkę. Daleka i długa jeszcze grań przed nami. Grzbiet wąski, choć zrazu nie skalisty, opada stromemi zboczami w obie strony, piętrząc się w kilka wyniosłych kop, poprzedzielanych łagodniej ukształtowanemi „bulami". Śnieg w cieniu szreniowaty, zlodowaciały — na słonecznych zboczych taje z wierzchu, oblepiając ciężkiemi bryłami narty. Sterczące miejscami w grani małe skałki, zmuszają do zniżania się na stoki wzniesione nad doliną Rozpadliny, gdzie rozmiękły w słońcu śnieg grozi ruszeniem lawiny, zmuszając nas do niezwykłej uwagi i ostrożności.

Mijamy nieszczęsny ombrometr pod Horwackim Upłazem, wyglądający z bliska wcale niewinnie; dalej grzbiet staje się dość płaski, podchodzimy więc szybko pod grań Zamków, najeżoną ostremi turniczkami. Wychylając się

za jedną z nich — słyszymy charakterystycz-
Wkrótce spotykamy ich jeszcze więcej. Nigdzie gdzieindziej nie widzieliśmy dotąd tak licznych stad kozic.

W tem „koziem Eldorado“ żyją one spokojnie. Czujni „jegrzy“ ks. Hohenlohego nie dopuszczają widocznie naszych góralskich „raubsiców“ z polskiej strony, niezwykle zresztą utalentowanych w swym fachu, do zawarcia bliższej znajomości z miłemi, zwinnemi koziczkami. . . .

Stajemy wreszcie na Zamkach. Ze skał szczytowych zwieszają się nad lawiniastemi stokami Litworowej Doliny wspaniałe, ogromne nawisy śnieżne. Zjeżdżamy na przełęcz pod szczytem Szerokiej Jaworzyńskiej, która piętrzy się ponad nami wyniosłą piramidą, opancerzoną od północnego zachodu stromą powierzchnią zlodowaciałej szreni, na której spoczywają miejscami potężne „deski“ świeżego śniegu.

Podcięcie ich śladami nart lub stóp — to pewna śmierć pod śnieżną lawiną. Decydujemy się więc próbować wejścia samą granią, pozostawiamy narty na przełęczy, przypinamy ostre raki i rozpoczynamy dość trudną naogół wspinaczkę po niewysokich, lecz gładkich i pokrytych skorupą lodu ściankach i płytach.

Widnokrąg rozszerza się z każdym krokiem; słońce jednak zniża się coraz szybciej ku zachodowi, a zamierzone zdjęcie fotograficzne panoramy Tatr Wysokich ze szczytu, na którego wykonaniu nam tak zależy, staje pod znakiem zapytania . . . pniemy się więc zażarcie, zaniedbując nawet potrzebnej miejscami asekuracji, by uniknąć długich manipulacji z liną. Wreszcie, zmęczeni lecz rozradowani, stajemy na szczycie o godz. 4, na kilka minut przed zachodem słońca.

Pierwszą czynnością jest oczywiście zdjęcie fotograficzne; wreszcie „mamy“ na kliszy, a raczej na kilku kliszach całą rozległą panoramę; teraz możemy odpocząć i rozejrzeć się w szczegółach.

Nawprost nas w niewielkiej odległości piętrzy się groźnie łańcuch najwyższych szczytów tatrzańskich. Zwłaszcza imponująco wygląda grupa Lodowego i otoczenie doliny Białej Wody. Kontury poszarpanych granitowych turni i szczegóły rzeźby potężnych ścian rysują się w ostatnich promieniach słońca z nieporównaną wyrazistością.

Ku północy widać, jak na dłoni pasmo Tatr Bielskich; poza niemi giną w barwnych łunach zachodu i sinej pomroce rozległe horyzonty Spisza i Podhala dalekie wierchy i łańcuchy Beskidów . . . w zachodniej zaś stronie kopuła niebios opiera się hen poza Tatrami aż na odległych górach Śląska i Orawy . . .

Szybko podnoszą się cienie w dolinach, różowieją i płoną czuby olbrzymów tatrzańskich; na dalekim samotnym szczycie przeżywamy jedną z najpiękniejszych, bezcennych chwil.

A myśli nasze wyzwolone z trosk szarego codziennego żywota bujają śmiało, wesoło po tym rozległym, ukochanym świecie gór — hen, daleko jak wzrok sięga.

Lecz czas znowu nagli; zrywamy się, pakujemy szybko przybory i plecaki — i zesuwamy się po skałkach, zbiegamy na rakach zaszrenionym żlebkiem ku przełęczy, przypinamy wreszcie znowu narty.

Próba ominięcia szczytu Zamków i przetrawersowania od przełęczy nad Szeroką Doliną po stoku stromym i zlodowaciałym, naraziła nas na trudne i żmudne przerąbywanie przejścia przez dość wysoki nawis śnieżny, którego nie spodziewaliśmy się zastać z tej strony grani.

Wreszcie wspaniały, oszołamiający, błyskawiczny zjazd granią między skałkami i kosówką — sprowadza nas na przełęcz pod Zadnią Kopą do oczekującego niecierpliwie przyjaciela.

Tymczasem zapadł zmrok. Pędzimy lasem przez polanki, obok ścieżki zasłanej sianem — w zupełnej prawie ciemności. Pod koniec zjazdu prawie po omacku, ostrożnie i wolno przedzieramy się przez wykroty na polanę Białej Wody.

Przejście po ciemku prze potok Białkę na polską stronę nie pozbawione było również przygód i „silnych“ wrażeń — jak cała ta piękna wycieczka, której szlak, wiodący śnieżnemi graniami obserwowaliśmy wkrótce — nie bez wewnętrznego zadowolenia — na tle wygwieżdżonego nieba, siedząc przed schroniskiem w Roztoce.

Jednak jeszcze nie tutaj skończyć się miała nasza dzisiejsza wycieczka. Według umowy — konie czekać nas miały do godz. 9-tej wieczór na szczycie Porońca za Łysą Polaną. Wobec opóźnienia, musieliśmy zdecydować się na marsz przyspieszony. Długo, długo wędrujemy lasem i gościńcem po nocy. Plecaki i rynsztunek zaczynają dawać się już we znaki, wydając się cięższemi, niż z rana, gdy docieramy do Łysej Polany, po to tylko, by dowiedzieć się tam, że konie aż w Zazadniej czekać będą.

Mimo silnego znużenia, mimo że od południa nie jedliśmy jeszcze — suniemy drogą, wydłużającą się w nieskończoność, na wierch Porońca, zjeżdżamy lasem na skróty, pędzimy nawet — lecz w Zazadniej nowy zawód; dowiadujemy się, że furman „przed chwilą właśnie“ odjechał.

Może go dogonimy — mówimy sobie uparcie, sunąc dalej gościńcem. Napróżno. Kilometr za kilometrem ubywa, wreszcie z Cyrli zabłysły w dole światełka Zakopanego; Poświata księżyca, towarzysząca nam dotąd wiernie, ustąpiła miejsca pierwszym blaskom świtu, gdyśmy aż na Krupówkach zakończyli ten oryginalny nocny „bieg płaski za koniem“ na przestrzeni Roztoka-Zakopane . . .

Zaręczam też szanownym czytelnikom, że najcięższym „problemem“ w całej tej górskiej wyprawie — było „zdobycie“ pierwszego piętra wracając po schodach naszego domu . . .

Zakopane, w lutym 1925 r.

ZAKOPANE DZIŚ.

(Wywiad z dr. T. Gabryszewskim).

Ponieważ Zakopane ma ambicje uzdrowiskowe i jako takie chce odgrywać i odgrywa dużą rolę w życiu zdrowotnem Polski, przeto uważaliśmy za swój obowiązek zasięgnięcia informacji co do warunków uzdrowiskowych Zakopanego u najmiarodajniejszego źródła- a mianowicie u lekarza klimatycznego.

W tym celu udał się nasz sprawozdawca do pana dra Gabryszewskiego.

Woń środków antyseptycznych, szereg narzędzi i przyborów lekarskich, biurko a za niem w biały płaszcz odziana postać, wskazują, że znajdujemy się u celu.

Pan doktor bystro i badawczo spoglądając z za binokli, wskazując ręką krzesło, pyta:

— Co może tyfus?...

— Nie, broń Boże... tylko wywiad...

— W sprawie?

— W najbliższym numerze „Giewontu" pragnęlibyśmy dać dłuższy artykuł o roli Zakopanego, jako uzdrowiska, o jego zaletach... no i wadach, gdyż o ile obowiązkiem naszym jest oświetlać Zakopane przedewszystkiem ze strony dodatniej, to jednak, przyzna pan doktór, właśnie w imię dobra Zakopanego, nie wolno nam pomijać objektywnego omówienia wad...

— Pewnie! pewnie...

— W tym też celu chcieliśmy prosić pana doktora o parę słów...



Dr. T. Gabryszewski.

— Proszę pytać, a na wszystkie pytania postaram się odpowiedzieć zupełnie bezstronnie, niczego w bawełnę nie obwijając...

— Pozwoli więc pan doktór, że postawię pierwsze pytanie. Jak się przedstawia ustawa uzdrowiskowa i jaki jest jej stosunek do Zakopanego?



Zakopane w zimie



W puchach śniegu, widok z Gubałówki *Fot. H. S.*

— Ustawa uzdrowiskowa — prócz kilku dodatnich postanowiń — rozwiązała nieszczęśliwie sprawę zarządu uzdrowiska, zamiast wziąć wzór z istniejących już i w świecie wypróbowanych urządzeń, rozdzieliła znowu administrację między radę gminną a komisję uzdrowiskową, względnie ich organ wykonawczy.

W uzdrowiskach naprawdę światowych, do których zjeżdżają ludzie ze wszystkich okolic kraju, rada gminna jest zarazem komisją uzdrowiskową, a dyrektorem jeden z burmistrzów czy assesorów gminy, jako przewodniczący urzędu zdrowia składającego się z odpowiedniej ilości lekarzy wraz z całym personalem pomocniczym t. j. kontrolorami żywności, odkażalnią, weterynarzem stale czuwającym nie tylko nad jakością mięsa, ale dozorującym przetwory mleczne i stan zdrowotny bydła miejscowego.

Przy takiem kierownictwie uzdrowiskiem interes uzdrowiska pokrywa się z interesem każdego obywatela i całej gminy, o czem wie każdy mieszkaniec i dąży do jaknajlepszego rozwoju swej miejscowości, gdyż leży to i w jego własnym interesie. Wśród tych warunków członkowie gminy nie zwalczają tych urzędów, ale je wspierają, gdyż stanowią one rękojmię wspólnego przez wszystkich szanowanego i zrozumianego dobra. Dzieje się to zaś dzięki poziomowi duchowemu obywateli, o który się starano przez lat dziesiątki, co wpajano dzieciom już od wczesnego dzieciństwa.

Do głównego zakresu troski zarządu takiego uzdrowiska należy: hygiena mieszkań stałych mieszkańców i gosci, powietrza, wody, komunikacji, środków żywności, zapobieganie chorobom zakaźnym, leczenie obłożnie chorych przyjezdnych, uwzględnianie wpływów psychicznych t. j. zapewnianie gościom spokoju i ciszy szczególnie w nocy, regulowanie potoków, kierowanie potrzebami ruchu turystycznego i t. d.

Tyle o stosunku ustawy do zarządów zdrojowych zagranicą.

— A jak się rzecz przedstawia w Zakopanem?

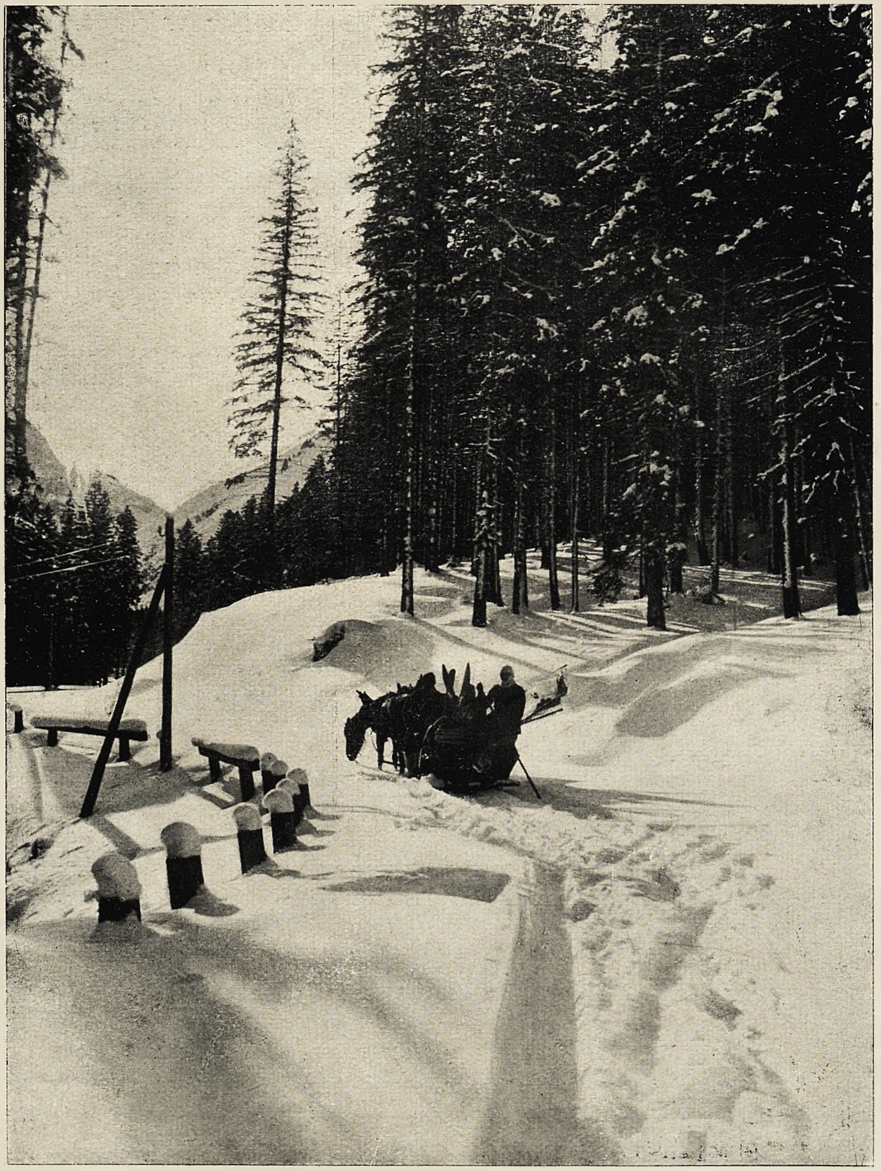
— Przedstawiłem ten typ zarządu uzdrowisk zagranicznych, by zrozumieć, że wśród naszych warunków, poziomu intelektualnego społeczeństwa i niejednolitej ręki kierowniczej, uzdrowisko nie może się podnieść ku tym wyżynom, na których chcielibyśmy je widzieć.

Jak co roku po głównym sezonie zwracamy uwagę jak on wypadł, czy ciągle podnoszone w dziennikach, odczytach, zjazdach, zarzuty i krytyki były słuszne itd. Postęp pewien bez wątpienia istnieje, jest ciągła dążność do działania produktywnego, szczególnie staranie o polepszenie czystości ulic, naprawy chodników, skrapianie i t. d. Wszystko się robi jedynie pracą instytucji publicznych, prywatna inicjatywa ogranicza się do ciągłego gorączkowego budowania nowych domów. Społeczeństwo niestety nie rozumie, że poza władzami ono samo ma być regulatorem postępu, krytykuje ich działalność, chcąc, by one wszystko wykonywały, jak w bajce, biorąc fundusze niewiadomo skąd — samo usuwając się wszelkiemi siłami od płacenia. Jak długo takie zapatrywanie będzie trwało — tak długo o europeizowaniu się Zakopanego mówić nie można.

Istnieje w Zakopanem stale szereg niedomagań i błędów, które też spisuje prasa, wytacza społeczeństwo, krytykując wszystko bez uwzględnienia przyczyn, które je powodują. Wady te powtarzają się stale, usuwa się je bądź bardzo powoli, albo i całkiem nie, gdyż usunąć nie można. Przyczyna tego leży bądź w braku środków materjalnych, koniecznych do przeprowadzenia zamierzeń lub ulepszenia istniejących, bądź w braku doraźnej egzekutywy a w końcu w braku energji władz a oporności wykonawców.

— Jak wyobraża sobie pan doktór idealne ujęcie tej nadzwyczaj aktualnej sprawy i w czem widzi główną przyczynę obecnego zła?

To obszerniejszy temat, dam Wam do następnego „Giewontu". K. K.



Droga do Morskiego Oka *Fot. H. S.*

Kazimierza Alberti

Zjawa.

Chwiały się — huśtały
cuchy na wichrze, niby żagle
gdy po zbójnicku, od Lewoczy
pod brzask wracali nagle.
A gdy ich siwy ojciec Krywan zoczy —
jak gnają zgraje od węgierskich pust —
Fajkę z zawiędłych wyjmie ust
i stare, życie rozpogodzi oczy.

Czarny pod nimi jęknie, stęsknie las —
przepaść frajerka skłoni się im w pas,
świsną, zawisną nad przepastnem dnem,
czerwieńców złotem w twarz jej cisną —
albo siekierą srebrną błysną —
i jednym tchem —
zawiną się — wypłyną —
ponad zamarły, pusty zleb,
Zewrą się, stłoczą,
nad błękitną zboczą,
z Świenicą z północnej strony się zmierzą —
i nutą — z zbójnicka — śmiechem prysną
o nieba pomarszczony sklep
zawadzą — uderzą.

Nocą — nad ogniem watry — zamigocą,
gęślami zachłysną się, zapłaczą,
tańcem w skier mietli zamajoczą,
i jak potoków rozszumiałych ścieki —
polecą w Luptów, za Smeks, w Spisz, daleki.

Zahuczą halnej nuty gradem
nad Białką, Wagiem i Popradem.

A za kozicy nikłym cieniem
Przejdą Mięguszowieckie sienie.

Czasem ich orla, czarna głowa
na szubienicy pod Budzyniem błyśnie,
slebodnym krzykiem jęknie, zwiśnie.

Albo harnasia tajemnicę schowa
orawskich zamków mur.

Tacy się śnili niedawno temu —
nocą, wśród sępich gór —
Witkiewiczowi, Chałubińskiemu.



Widok na Kopę Królowej *Fot. H. S.*

MORSKIE OKO.

...Nazajutrz konie parskają przed domem. Gmina zakopiańska ofiaruje mi uprzejmie powóz do Morskiego Oka; daje mi więcej, najmilszego i najbardziej interesującego z przewodników: przewodniczący Komisji klimatycznej ma towarzyszyć mi osobiście. Jego ród pochodzi z Alzacji, nigdy jednak nie widział ziemi swych przodków. Wypytuje mnie o ten kraj daleki a nieznany, który kocha — a niebawem w labiryncie skał i śniegów tatrzańskich zacznę mu opowiadać o Wogiezach, o zamczyskach z czerwonego piaskowca, wynurzających się z ciemnych lasów i o pięknym ogrodzie nad wielką rzeką, gdzie białe jaśnieją dzwonnice.

Nie chcę też pominąć naszego woźnicy, dzielnego górala o wzięciu marsowem; jest szczęśliwy, pokazując cuda swej krainy i dumny, że nieraz towarzyszył wybitnym ludziom.

Wkrótce minęliśmy główną ulicę Zakopanego pośród ogrodów i domów wiejskich w stylu góralskim. Wjeżdżamy w milczące lasy. Przyjmują nas, pielgrzymów, zbliżających się do świętego przybytku; myślimy o magicznym, tajemniczym królestwie, jakie nas czeka.

Oto na skręcie drogi kościół z drzewa, maleńki jak dziecięca zabawka, wdzięczny, z małemi oknami łukowemi i odstającymi wieżyczkami. Tutaj przychodzą uklęknąć robotnicy leśni; nie znaleźliby domu bardziej odpowiedniego dla swej modlitwy. Ich wielcy przyjaciele, drzewa górskie chroniące ich w dobrych i złych dniach, łączą się na tej małej przestrzeni, by otoczyć modlitwy i śpiewy. Podziwiając kościołek z drzewa, delikatnego i rzeźbionego, myślę o podobnych kaplicach z krain północnych. Wywołuję z pamięci Stave-Kirke w Norwegji i nagle wizja cudowna przepływa przez mój umysł. Miraże lodowców i rzek błyszczących, które spieszą do ciemnych fiordów, nawiedzanych przez widma, zacierają na chwilę widok polskich gór.

Niekiedy wynurzamy się z lasu, przejeżdżając szerokie polany. Stada owiec, szałasy, odcinają się na tle nieba a w oddali lasy, doliny i obłoki złączone w jedną falę niebieskomglistą tworzą równinę galicyjską.

Naraz powóz staje. Mój towarzysz wyciąga ramiona, mówi: „O Tatry“...

Nad linją twardą i niewzruszoną smreków, które jak straż królewska czuwają przed bramą zaczarowanego pałacu, zjawiają się w surowym majestacie, w płaszczu śniegogronstajów, w koronie promieni słońca — Olbrzym Tatr.

Patrzymy — jak opisać stan duszy?

Przejmuje nas wzruszenie religijne. Góry władcze, współżyjące jedynie z niebem, burzą i lodem, czy nie są od prawieków dziedziną, jaką Bóg rzucił na ziemię, by wrażeniem potęgi rozniecić pragnienie odgadnień z za świata. Morze, pustynia i góry, to trzy klasztory, gdzie człowiek wznosi duszę ponad przeznaczenie mijające, gdzie nie dochodzi dzwon godzin czasu i żyje się na fali Wieczności.

Witam was królowie Tatr. Wznosimy się do waszego grodziska. Przywitajcie nas wesołym głosem rogu.

Po trzech godzinach dojeżdżamy do brzegów rwącego potoku; toczy on swe błyszczące fale przez skalne złomiska. To Białka, granica tymczasowa między Galicją a Jaworzyną, o którą Polacy i Czesi spierali się przed zawieszeniem broni. Most kamienny wznosi się na tym potoku. Ponure, skalne mury i morze lasów ciemnych czynią obraz wąwozu, który ku Słowaczyźnie i brzegom Dunaju prowadzi do innego kraju i pod inne niebo.

Każda granica ma w sobie coś wzruszającego. Przechodzi się pas górski, rzekę albo poprostu rów, otoczony kamieniami i jest się już w nowym świecie, gdzie śpi różna przeszłość sławy, czy niepowodzeń. Jest to inne ciało o innem sercu. Ale Białka jaworzyńska budzi jeszcze myśl bardziej dramatyczną. Ta rzeka to przepaść, wydrążona między dwoma ludami jednego plemienia; walczyły one o jeden ideał niepodległości i często przeciw temu samemu przeciwnikowi; oba te narody są zaprzyjaźnione z Francją, a jeszcze dzisiaj nie podają sobie dłoni.

Dopiero jutro mam przekroczyć granicę. Morskie Oko, do którego jadę, jest położone na ziemi polskiej, wchodzę jednak na most, by porozumieć się z celnikami czesko-słowackimi. Pukam do drzwi małej chaty. Przejście podróżnego przez Białkę musi być wydarzeniem rzadkiem, ponieważ dwaj ludzie, zjawiający się pod niskiemi drzwiami, mają twarze bardzo zdziwione. Widziałem na świecie dużo twarzy celników, widziałem w ich wyrazach uczucia najbardziej sprzeczne. Od uprzejmości Włocha, pobłażliwości Francuza do poprawnego zachowania Anglika i złego humoru Niemca; podziwiałem również olimpijskie oblicze, naładowane piorunami, które przyjmuje podróżnego na granicy szwajcarskiej w Bazylei, ale nigdzie nie widziałem takiego osłupienia w rysach majordoma u wrót swego kraju.

Ci panowie z Czeczosłowacji mają piękną powierzchność, poprawne zachowanie i żołnierską postawę. Badają długo moje dokumenty, poznaczone mozaiką wiz różnych państw. Daję im list, polecający konsula czeskosłowackiego z Krakowa: są zadowoleni i obiecują przepuścić mię nazajutrz. Jest to przywilej; płonąca ziemia Jaworzyny nie jest otwarta dla wszystkich nawet, gdy się ma paszport w porzadku.

Konie ruszają dalej, okolica staje się coraz dzikszą, mijamy schronisko górskie i wodospady Mickiewicza. Parę tygodni temu, straszna lawina spadła w wąwóz, tak silna, że wzniosła się na przeciwną ścianę, wyłamując szmat lasu. Dookoła miejsca katastrofy szczyty drzew są jeszcze pościnane, jakby toporem.

Za wodospadami droga w serpentynach wznosi się z piętra na piętro, aż nakoniec dosięga poziomu Morskiego Oka.

Tradycja góralska mówi, że jezioro tatrzańskie jest w połączeniu podziemnem z Oceanem.“. — Stąd ta nazwa tak poetyczna. Neptun, gdy zmęczy się burza, przychodzi tu na chwilę, wypocząć i patrzy na ciche lasy.

Jezioro, położone na wysokości 1400 m, otoczone jest koliskiem wierchów skalnych o kształtach dziwacznie fantastycznych. Oto Rysy: wznoszą się nad jeziorem o 1200 m. Do czerwca okolica ta zalana jest śniegiem, dopóki trwa biała powłoka, odnaleźć można wybitne podobieństwo w widoku Morskiego Oka z położeniem jeziora Oeschinnen koło Kandersteg u stóp Blumlisalp.

Obchodzimy jezioro, torując sobie drogę poprzez śniegi. Przy brzegu i w ujściach strumieni spostrzegamy pstrągi, zebrane w gromadki.

Mgła napływa, nie przeszkadza jednak zachwycać się wspaniałym widokiem. Przeciwnie, potęguje go, bo co chwila rwie się mglista osłona wyłaniając na tle nieba, ten szczyt lub inny, który zjawia się wtedy w chaosie ruchomych obłoków jak widmo olbrzyma.

Deszcz chłoszczący wpędza nas do schroniska. Jest to dom zbudowany z drzewa, przez Towarzystwo Tatrzańskie. Wygodnie urządzony posiada 14 pokoi, salę jadalną z werandą. Możnaby go nazwać hotelem, gdyby się zwracało uwagę tylko na urządzenie, ale cel tego domu jest turystyczny. Przyjmuje się tu podróżnych zaledwie na trzy dni, muszą następnie ustąpić miejsca innym, którzy jak oni, pragną złożyć pokłon bóstwom Tatr.

Dzierżawca wita nas radosnym okrzykiem, szczęśliwy, że widzi podróżnych w samotni głębokiej, jaka panuje w górach w porze śniegowej.

Twarz piękną o cerze bronzowej, spojrzenie spokojne i bystre, zaciśnięte usta, znamionujące energię męską — oto typ przewodnika górskiego, spotykany w Zermacie i Chamonix. Prowadzi nas do izby sypialnej. Czekany, liny, raki porozwieszane na ścianach, tworzą tam dekorację surową, ale malowniczą. Dogodność tego pokoju, to łatwe ogrzanie. Istotnie nasz taternik otwiera od czasu do czasu drzwi do przyległej kuchni, mowiąc po prostu: „To mój kaloryfer.“

C. d. n.



Zbiórka *Fot. H. S.*

Dr. M. Strzelecki.

SEZON ZIMOWY W ZAKOPANEM.

Dawno już zima tak nie sprzyjała sezonowi, jak obecna. Obfitość śniegu, dostateczny mróz i sucha pogoda dopisywały niemal stale. Niestety tym razem acz zima nie zawiodła, zawiodły finanse, trudności walutowe odbiły się fatalnie na frekwencji, a jeszcze dotkliwiej dały się we znaki w sumie zostawionych tu złotych.

Żyjemy w znaku oszczędności posuniętej do najskromniejszych granic. — A przytem Zakopane takie jak jest dzisiaj tych najzasobniejszych w walutę nie nęci, zamało daje wygód, komfortu, zabaw itp.

Gadaj takiemu dolarowemu waluciarzowi o wschodach i zachodach słońca, o zawodach narciarskich, o cudach przyrody, o wierchach perciach, reglach, ani bestja drgnie! Nawet modą jak ongi powodowany, ani myśli zbrojny w ciupagę, plecak, linę, raki i podkute buty, wałęsać się po Krupówkach.

Po co?

On tego nie potrzebuje!

Po co ma robić z siebie taternika, kiedy wystarczy, gdy upomadowany, w lakierach, zjawi się u Trzaski na dancingu!

I toury ma ciekawe, i widoki zgoła niepowszednie, i drapać się można do woli, a nawet trzeba i schronisko przy bufecie pewne, po co mu tam Gąsienicowa. Zawrat albo jaka inna Swinica. Jest pani Fela, panna Irma, Tola, Lola, jest jazz, w kociołku tłamsi się bostona, szimmi, on-stepa, two-stepa i w dodatku jeżeli komu grozi upadek, to tylko danserce. —

Ostatecznie żeby nie okazać zupełnej ignorancji opiewanym Tatrom idzie się do Tatrzańskiej, a około drugiej w nocy do Morskiego Oka, gdzie w smoczej jamie można robić perskie oko! —

Niestety — zda się niepowrotnie minęły czasy świetności Zakopanego. Prawda, jest garść zapaleńców, którzy przyjeżdżają tu naprawdę dla gór, robią się wycieczki to tu, to tam, uprawia się sport narciarski, saneczkowy, ale wszystko to bez rozmachu, tężyzny i tego ukochania trudu i mozołu dla jednej chwili słońca i horyzonta skąpanego w djamentowych bryzgach lodów i śniegów.

To też ożywienie sezonu notować się daje głównie w dni świąteczne i na krótkie terminy, tydzień, najwyżej dwa i basta.

Akcji propagandowej niema, inicjatywy brak, a władze miejscowe jak dotąd nie uświadomiły sobie należycie, że stereotypowe „jakoś to będzie", dziś już wystarczyć nie może.

W mieszkaniach zimno, w lokalach ciemno, ceny warszawskie, a jeżeli pogoda nie dopisuje, z nudów wściec się można. —

Dobrze, że chociaż tej zimy śniegu nie brak, i puchowym, a w słońcu djamentami skrzącą się zasłoną zakryte, są skrzętnie chroniczne szpetoty tej naszej perły Tatr.



Na gładkiej drodze *Fot. H. S.*

Z nowości w tym sezonie zaznaczyć trzeba nader ważną tu placówkę, nowopowstałą, mianowicie teatr eksperymentatorski Witkiewicza, niestety albo zapóźno, albo zawcześnie powołany do życia, gdyż obecnie zjeżdżająca tu publiczność, albo nie stoi na odpowiednio przygotowanym kulturalnie poziomie, albo cierpi na snobizm, albo zgoła nie interesuje się bądź co bądź ciekawemi wysiłkami nowatorów, o ileż większem powodzeniem cieszył się w tymże samem Morskiem Oku, gdzie grywa ów teatrzyk, taki np. bal kostjumowy z nagrodami dla najpiękniejszych stroi. Przyznać należy, że bawiono się naprawdę wyśmienicie, a nagrodzone kostjumy p. Birtusówny i Snizińskiej były urocze.

Z dziedziny sportu zanotować należy kursa narciarskie i zawody, te ostatnie mimo nowej skoczni, dobrego śniegu dotąd nie zaznaczyły się ani wybitnie ani doborem świeżych sił, wszystko dobrzy, starzy znajomi. Z zainteresowaniem oczekują tu zawodów międzynaro-



Start *Fot. H. S.*



Kalatówki Fot. H. S.

dowych zapowiedzianych w lutym, które może będą w wynikach bardziej ciekawe.

Smutnie zaznaczył się obecny sezon kilku tragicznemi wypadkami w górach, i ostudziło to nieco lekkomyślnych wycieczkowiczów od przedsiębrania wycieczek bez odpowiednich przygotowań i przewodników, ale i dobrych przewodników w Zakopanem coraz mniej, a nawet prawie brak zupełny. —

Pesymistycznie brzmi tym razem moja korespondencja, ale cóż robić depresja ogólna, drożyzna powszechna a horoskopy nie wesołe dla wszystkich, myślałem, że ucieknę w góry i odetchnę chociaż w Zakopanem, ale i tu nie lepiej, a może nawet beznadziejnie gorzej. Muszę przestać na tem, gdyż elektryczność tutejsza tak się świeci, że oczy tracę, w dodatku zapowiadają halny.



U mety Fot. H. S.

Ostatnio w styczniu odbyły się pierwsze zawody o mistrzostwo, tym razem Zakopanego. O wynikach dowiedzieli się już zapewne czytelnicy z komunikatów sportowych, więc ich nie podaje.

Pierwszy dzień zawodów — biegi — odbyły się przy niezbyt sprzyjających warunkach, gdyż śnieg utrudniał zawodnikom forsowanie trasy — wyniki jednak były wcale dobre i w biegach seniorów i juniorów bez większych niespodzianek. Okazało się przytem, że o ile chodzi o biegi dystansowe, to obaj bracia Bujacy zachowują dotychczasową swą formę i styl. Ogólnie dobrą formą i to tak w biegach, jak i skokach, okazał Stanisław Gąsienica-Sieczka, zdobywający tytuł mistrza Zakopanego. Młody ten zawodnik ma duże szanse utrzymania w swych rękach palmy pierwszeństwa. Niespodzianki przyniósł natomiast bieg pań, w którym zwycięstwo osiągnęła 14-letnia Bronisława Staszek-Polaczkówna, bijąc mistrzynię świata, p. Ziętkiewiczową, o przeszło pięć minut. Zwycięstwo Polaczkówny, chociaż spodziewane, sprawiło mimo wszystko kolosalne wrażenie, przyczem podkreślić należy, że różnice między następnie przybyłemi do mety zawodniczkami wynosiły 19, między p. Ziętkiewiczową i Loteczkową i 4 między tą ostatnią a p. Leszczyńską sekundy. Nieproporcjonalna wprost różnica między Polaczkówną a p. Ziętkiewiczową pozwala przypuszczać, że w młodej narciarce sport nasz zyskuje wprost fenomenalną siłę.

Skoki na dużej skoczni, gruntownie rzemontowanej, odbyły się dnia następnego, przy bardzo dobrych warunkach i w obecności bardzo licznie zebranej publiczności.

Dobre tegoroczne warunki zimy tatrzańskiej sprzyjają rozwojowi narciarstwa, nic więc też dziwnego, że wyzyskuje się te warunki w całej mierze, a sport narciarski odgrywa dominującą rolę w życiu Zakopanego i to nawet z pewną krzywdą innych dziedzin.

Podobne tylko jak narciarstwo powodzenie mają różne reduty, bale kostjumowe i wogóle wirujące zabawy. Jednemi z najbardziej udatnych zabaw były reduta malarzy i bal kostjumowy Tow. teatralnego. Występów artystycznych poza jednym wieczorem deklamacji Rychterówny, dawno już nie było.

Z tematu artystyczno-kulturalnego jest do zanotowania tylko jedna właściwie wartościowa rzecz, a jest nią wystawa zakopiańskich karykatur Zdzisława Czermańskiego.

Temat wystawy i jej walory artystyczne zapewniły wystawie wielkie powodzenie. Znaczna część kartonów już zakupiona. Szkoda wielka, że o kupno całego zbioru nie postarała się gmina czy klimatyka. Zbiory karykatur zakopiańskich przedstawiają przecież dla Zakopanego pewną wartość historyczną i jako takie powinny znaleźć się kiedyś w przyszłości czy to w salonach przyszłego domu zdrojowego, czy też w salach Muzeum tatrzańskiego.

Dzięki warunkom atmosferycznym sezon tegoroczny należy do udatnych, a ruch gości wzmógł się znacznie w ostatnich dniach i zapowiada się jeszcze lepiej na luty, w którym odbyć się mają międzynarodowe zawody narciarskie, stanowiące niemałą atrakcję. Do zawodów tych przygotowuje się Zakopane gorączkowo i spodziewać się należy, że w zrozumieniu własnego interesu zrobi wszystko, aby zawody wypadły pod każdym względem pomyślnie.



Zawody narciarskie młodzieży.



O świcie — *Fot. T. Zwoliński*



Widok ogólny Zakładu Kurnickiego.

CZEPULKI.

ZAKŁAD KURNICKI

Toczą się ulicami Zakopanego ku kościołowi furki, zapełnione dziewczętami. Rumiane i zdrowe twarze, rozjaśnione pogodą życia i zadowoleniem wewnętrznem, rozglądają się wokół — radośnie i miło, potęgując pogodny wyraz twarzy, połyskują śnieżną białością białe ubranka główek. Przechodnie zaciekawieni stają, spoglądają w te rozjaśnione twarze i zaciekawieni pytają: Cóż to za kawalkada?

— To!?... Czepulki!

— Co to znaczy?

— To popularna nazwa wychowanek zakładu kórnickiego w Kuźnicach...

— Aha, to zapewne jakaś szkoła lub pensjonat...



Sypialnia

— W każdym razie coś w tym rodzaju. Są to wychowanice, raczej uczenice zakładu kórnickiego w Kuźnicach.

Nim przystąpimy do szczegółowego opisu celów i organizacji zakładu, w paru słowach opiszemy jego historję. Zakład kórnicki założyła w roku 1882 śp. generałowa Zamoyska, właścicielka Kórnika w Poznańskiem w Kórniku — kierunek czysto narodowy i katolicki zakładu nie podobał się władzom pruskim, które po całym szeregu szykan ze swej strony skazały zakład na wydalenie z granic. 9. lipca 1886 przenosi założycielka zakład do Lubowli na Spiszu, gdzie pozostaje do 17. października 1887, t. j. do chwili przeniesienia go do kalwarji zebrzydowskiej. Po nabyciu przez syna śp. generałowej Władysława hr. Zamoyskiego dóbr Zakopańskich, przenosi się w roku 1889 zakład do Zakopanego, na razie na Bystre by wreście 11. września 1891 ulokować się już na stałe w budynkach obecnie przez zakład zajmowanych w Kuźnicach.

Do roku przeszłego, t. j. do chwili utworzenia przez rodzinę hr. Zamoyskich z dóbr kórnickich i zakopańskich fundacji narodowej, powstawał zakład pod bezpośredniem kierownictwem i opieką śp. generałowej i jej córki hrabianki Marji Zamojskiej. Z chwilą utworzenia fundacji zakład przeszedł pod protektorat kuratorjum fundacji, rządząc się osobnym statutem. Na czele zakładu kórnickiego stoi przełożona i rada, składając się z czterech pań

radnych i zastępczyni. Obowiązki przełożonej, pań radnych i zastępczyni, sposób wyboru itp. omawia bardzo szczegółowo statut, wchodzący wprost w najmniejsze szczegóły i tem samem bezwzględnie jasny i wzorowy.

Poza radą — należą do składu zarządu i organów wykonawczych, zarząd czyni i współpracownice stałe i czasowe. Cała gospodarka zakładu, oparta częścią o własne źródła dochodowe z ziemi, inwentarza żywego, częścią z dotacji z kasy fundacyjnej zakładów kórnickich, podlega kontroli kuratorjum fundacji, które deleguje co roku do spraw zakładu swego przedstawiciela.

Tak się przedstawiają w krótkości dzieje i organizacja zakładu — zakładu, który stworzony wysiłkiem dzielnej i wierzącej w przyszłość jednostki, przetrwał najcięższe burze, w latach niewoli budząc ducha narodowego i wpajając w niewinne serca dziewczęce miłość ku ojczyźnie i Bogu, uczył je pracy dla siebie i drugich, pod hasłem „Bogu na chwałę — ludziom na pożytek."

A teraz cele. Głównem zadaniem zakładu jest zastosowywanie poprzednio nabytych wiadomości do zajęć i obowiązków kobiecego życia, wychodząc z tej zasady, że teorja czy to cnoty, czy wiedzy, bez praktycznego zastosowania, zostaje martwą literą. Zakład kórnicki tem się różni od innych zakładów wychowawczych, że uczenice jego nie są dziećmi, mają pewne pojęcie o życiu, jego obowiązkach, celu i trudnościach, stąd łatwiej przyswoić sobie mogą udzielane im wskazówki i zdać sobie sprawę z tego, jakie korzyści przynieść powinna nabywana przez nie nauka. Szczególny kładzie się nacisk na wszystkie gałęzie gospodarstwa kobiecego i na pracę ręczną. Uczenice zakładu same ręki do wszelkiej pracy przykładają i same sobie usługują, poznając przez to wartości czasu, ucząc się zapobiegliwości, samodzielności i hartu.

W zakres nauki wchodzą:

Usługa przy stole i w kredensie, lampiarnia, mleczarnia, piekarnia, kuchnie, spiżarnia i piwnica: przechowywanie owoców, jarzyn i wszelkiego rodzaju zapasów, obsługa chorych, pralnia, prasowalnia, szwalnia: krój, biały haft, szycie bielizny, naprawa szalów, dywanów, koronek, porządki domowe: utrzymanie sprzętów i pościeli, sporządzanie materjałów i kołder itp., gospodarstwo folwarczne i podwórzowe, rachunkowość i prowadzenie kasy, elementarna nauka kupiectwa, introligatorstwo: oprawa książek, klejenie pudełek, teczek itd. (To ostatnie zajęcie jest dowolne.)

Z programu nauki widać, że zakład jest szkołą domowej pracy i ma na celu uzdolnienie dziewcząt wszelkiego stanu do zajęć wchodzących w zakres obowiązków kobiecych.

Zakład nie podejmuje się udzielenia nauk szkolnych; uczenice powinny do niego przybywać po ich ukończeniu. Uczenice dzielą się obecnie na dwa oddziały (dawniej trzy) opłatny i bezpłatny.



Jadalnia



Mleczarnia



Szwalnia



Prasowalnia



Piekarnia



Kuchnia



Pralnia



Hodowla

Uczenice opłacające, którym chodzi raczej o uzdolnienie się do kierowania domem i gospodarstwem, niż o zawodowe poświęcanie się pracy domowej, poświęcają tylko pewne godziny nauce. — Uczenice z drugiego oddziału oddają się pracy przez cały dzień, a to w celu nabrania odpowiedniej wprawy i biegłości.

Na przejście przez wszystkie zajęcia potrzebują przynajmniej trzech lat nauki.

Zmiana zajęć odbywa się co miesiąc 1-go i 15-go i tak jest urządzona, że w zajęciu pozostaje przynajmniej jedna uczenica pracująca tam od dwóch już tygodni, kiedy nowa doń wstępuje. Przebywając w danem zajęciu, uczenica jest obowiązana nietylko wykonywać odpowiednią pracę ręczną, ale zarazem poznać zasady kierujące tą pracę, a takie utrzymywać odpowiednią rachunkowość.

Po ukończeniu nauk w każdym wydziale pracy uczenice składają egzamin, to znaczy, że przez parę dni, mając sobie powierzony zarząd danego wydziału, dowieść muszą, że nabyły potrzebnej w nim umiejętności.

Wydziały pracy zostają pod kierunkiem odpowiedzialnych dozorczyń, które co tydzień zdają przełożonej sprawę z postępu uczenic i ich zachowania się.

Po ukończeniu nauki, uczenice, które złożyły dostateczne dowody umiejętności i sumienności, mogą stać się dozorczyniami wydziałów pracy lub pomocnicami.

Kilka razy na tydzień przełożone miewają pogadanki z ucznicami, odnoszące się do ich obowiązków chrześcijańskich, narodowych, rodzinnych i gospodarskich, czy to obecnych, czy czekających je w dalszym życiu.

W roku bieżącym przełożoną zakładu jest panna Julja Zaleska, zarządczynią panna Aniela Strawińska. Uczenic posiada zakład przeszło sto, nauczycielek, współpracowniczek i pomocnic około 50 osób.

W sali przyjęć zakładu umieszczona jest dużych rozmiarów mapa ziem polskich, na której szpileczkami z różnokolorowemi chorągiewkami zaznaczone są miejscowości, z których przebywające w zakładzie uczenice pochodziły. Najgęściej rozmieszczone są chorągiewki w dzielnicy poznańskiej, górnośląskiej i krakowskiej — z tych też terenów, a potem z Warszawy najwięcej zakład uczenic posiadał. Nie znaczy to aby z innych dzielnic nie było ich, przeciwnie cała Polska jest chorągiewkami naszpikowania, i to daleko poza obecne granice, bo aż do Kurlandji, Smoleńszczyny, Dzikich pól — a nawet rdzennej Rosji — wreszcie Szwecji, Anglji itd.

Świadczy to o dużej popularności zakładu kórnickiego w całem społeczeństwie polskiem i świadczy o zrozumieniu przez społeczeństwo idei przewodnej zakładu, że zdrowa i gospodarna kobieta polska, to przyszłe zdrowe i gospodarne społeczeństwo polskie.

PIERWSZY FILM W ZAKOPANEM

Jedną z sensacji ubiegłego roku w Zakopanem było filmowanie, t. j. zdejmowanie fotografji do polskiego scenarjusza, treść którego całkowicie rozgrywa się w Zakopanem i w górach.

Niezmiernie energiczny i rzutki artysta fotograf miejscowy p. Henryk Schabenbeck, zapalił się do stworzenia w Zakopanem wytwórni filmowej i niezrażony brakiem wszelkich akcesorji wziął się do pracy. Traf zdarzył, że w Zakopanem, przebywał równocześnie art. dram. i reżyser p. Leszczyc.

Od słowa do słowa postanowiono spróbować. P. Leszczyc napisał scenarjusz, zaangażował w Krakowie artystów i wzięto się do pracy, rokując sobie i inicjatywie własnej powodzenie, rozwój nowego przemysłu, ba oczyma fantazji widziano już olbrzymią wybudowanę halę nowej polskiej wytwórni filmowej w Zakopanem.

Przy pomocy miejscowego Tow. Sokoła sprowadzono niezbędne aparaty i zorganizowano statystów w osobach miejscowej inteligencji a także grupy górali i pewnego ranka, z goła niezwykle można było się w Koście-



Pierwsza próba.



H. Kwiecińska

liskiej natknąć na grożnych zbójników w wysokich kołpakach, jak robili próbę zbójnicką, obserwowano niezwykłe porwanie z ustronnego dworku na drodze do Białego, gdy w biały dzień przez nikogo nie napastowany porywał herszt zbójników zemdloną piękność, po drogach ukazywały się niesamowite wiedźmy, wymalowani w cudacznych strojach ludzie, słowem Zakopane miało swoją sensację. Tekst scenarjusza osnuty był na podaniu czy legendzie o skarbie zbójnickim, dukatach w kotliku, nieszczęśliwem kochaniu itd.

Było to już po sezonie, coś we wrześniu, jesień była cudna, góry co dnia kąpały się w błękicie i słońcu (jak zwykle gdy niema już przyjezdnych), i co dnia grupy artystów z reżyserem i operatorem (tę rolę wziął na siebie p. H. Szabenbeck), udawały się w góry, by zdejmować poszczególne części filmu, rozwijającego swą akcję na tle najpiękniejszych widoków. Wysoce rozwinięty zmysł artystyczny p. H. Szabenbecka, któremu nawiasem mówiąc „Giewont“ zawdzięcza niezrównane fotografje Zakopanego i Tatr, rutyna i doświadczenie reżyserskie p. Leszczyca dawały wszystko co



Publiczność podczas zdjęć

zrobić i dać było można, by stworzyć film naprawdę piękny i interesujący. —

Niestety nie liczono sił z rozmiarami powziętego zadania.

Brak, jak zwykle u nas, poparcia kapitalistycznego, dla inicjatywy prywatnej, nie pozwoliły sprowadzić ani takich aparatów, ani reflektorów ani tysiąca innych rzeczy niezbędnych w tego rodzaju imprezie.

A jednak mimo niemal prymitywnych środków, film stworzono i doprowadzono do końca. Nie udał się tak jak był powinien, naprawdę, nie z winy inicjatora. reżysera i artystów, ile z braku odpowiednich środków, ale jak to mówią „pierwsze koty za płoty". P. Szabenbeck jest uparty, p. Leszczyc o ile wiem też, może jednak przy wytrwałości uda im się następnym razem. — W każdym razie, gdzie jak gdzie, ale w Zakopanem możnaby stworzyć film pierwszorzędnie propagandowy, z rozwinięciem najcudniejszych widoków, z udziałem pierwszorzędnych naszych sił artystycznych, zakrojonym na miarę środków, kapitału i pracy w tych rozmiarach, by naprawdę stworzyć obraz polski Tatr pierwszorzędnej wartości.

Podajemy tu fragmenty zdjęć, oraz bohaterkę danego filmu p. H. Kwiecińską z p. Leszczycem w rolach głównych.

Może w którym z następnych zeszytów „Giewontu" będziemy mogli zilustrować drugą próbę, już na szerszą skalę zakrajonych zdjęć. Warto by o tem pomyśleć i chcieć, a stworzyć możnaby naprawdę rzecz europejską. Czy i tu będziemy czekać na cudzoziemców?

R. J.



Na falach Morskiego Oka



Rita Sachetto-Zamoyska.



Rita Saccheto Zamoyska.

DUCH GRECKIEGO PIĘKNA W NOWOŻYTNEJ FORMIE

Jak kształcić piękno linji i gestu? Co to jest rytmika plastyczna? Szkoła Rity Saccheto w Zakopanem.

Musimy przenieść się myślą do starożytnej Grecji, jeżeli chcemy poznać początki rytmiczno-plastycznych gimnastycznych ćwiczeń, stanowiących nieodzowną część składową zreformowanego tańca nowożytnego, który również i w Polsce znajduje coraz szersze koła zwolenników.



Po wielu najprzeróżniejszych metamorfozach, jakim w ciągu wieków ulegało ciało ludzkie, a z niem razem i taniec, kształtujący się stosownie do mody i poglądów danej epoki, — zaznacza się znowu dążenie do powrotu antycznej prostoty linji i gestu.

Już przed Wielką Wojną z północy Europy, ze Szwecji, Norwegji, Anglji szła fala reformatorstwa gimnastyczno-tanecznego rozszerzając się na całą Europę i zapuszczając zwolna, ale silne korzenie w naszym gruncie. Połączenie ćwiczeń gimnastycznych koniecznych dla rozwoju ciała z artystycznemi rytmicznemi produkcjami stanowiło podstawę kierunku, którego jedną z najwybitniejszych bojowniczek była Izadora Duncan.

Czasy wojenne nie sprzyjały rozwojowi sztuki, a zwłaszcza takiej sztuki jak taniec plastyczno-rytmiczny. Polska ogarnięta zawieruchą wojenną niszczona ogniem i mieczem zarzuciła wszystko to, co dawniej w tym kierunku już zrobiono.

Po wojnie tedy i zmartwychwstaniu kraju nadszedł czas właściwy, aby ta szlachetna gałęź sztuki, ród swój wiodąca z słonecznej Grecji, uplastyczniająca piękno ducha w pięknie rytmicznych poruszeń — mogła się rozwijać należycie i celowo.

Pierwszym i najważniejszym krokiem w tym kierunku było stworzenie odpowiednich szkół. Dotychczasowe próby zakładania szkół gimnastyki rytmicznej i tańca plastycznego nie odpowiadały swemu zadaniu, a przedewszystkiem nie obejmowały całości.

Dopiero szkoła projektowana w Zakopanem przez znakomitą tancerkę Ritę Saccheto, dając pełne i wszechstronne wykształcenie w tym zakresie — może stać się i najpewniej stanie się punktem wyjścia dla dalszego rozwoju sztuki tańca.

Program tej wzorowej szkoły można ująć w następujące punkty:

Gimnastyczno-plastyczny taniec jako środek rozwoju ciała, nadający mu giętkość, elastyczność i odporność. Hygieniczne przepisy muszą być uwzględniane w jak najszerszym zakresie.

Nauka muzyki, udzielana przez wybitne siły pedagogiczne, kształcenie poczucia harmonji i rytmu.

Celem dania jak najpełniejszego artystycznego wykształcenia — uczennice będą próbowały widziane w tańcu rzeczy uplastyczniać rysunkiem, a nawet stosownie do zdolności ilustrować barwami. Tego rodzaju rysunki mają stanowić przygotowania do prac z zakresu sztuki stosowanej.

Uczennice zapoznają się z historią tańca i teoretycznie i praktycznie. Przechodzić będą kolejno wszystkie charakterystyczne tańce minionych epok, poczynając od starożytności, przyczem dostarczoną im będzie możność wczucia się w styl i charakter każdej poszczególnej epoki dziejowej.

Sporządzanie kostjumów oraz wszelkiego rodzaju artystyczno-dekoracyjne ręczne roboty, kształcące smak i pobudzające artystyczną wyobraźnię, to również jeden z ważnych punktów programu szkoły. Po ukończeniu semestru każda z uczennic posiadać będzie własnoręcznie sporządzoną artystyczną wyprawkę.

Pisemne ćwiczenia wchodzić będą również w zakres nauki szkoły Rity Saccheto. Ponieważ taniec rozbudza myśl i podnieca fantazję, więc uczennice będą spisywać swe wrażenia, starając się w miarę sił i zdolności tworzyć małe scenarjusze taneczne.



Produkcje przy końcu każdego semestru, wykłady, wystawy prac, mają służyć jako środek do pobudzenia polności i ambicji.

Nauka obcych języków będzie również szeroko uwzględnioną. Ukwalifikowane siły udzielać będą lekcji języków francuskiego, angielskiego, włoskiego i niemieckiego. Przy pomocy najnowszych metod uczennice doskonalić się będą w obcych językach.

Dama z najlepszego towarzystwa, która sama prowadziła dom na wielką skalę, kiero-





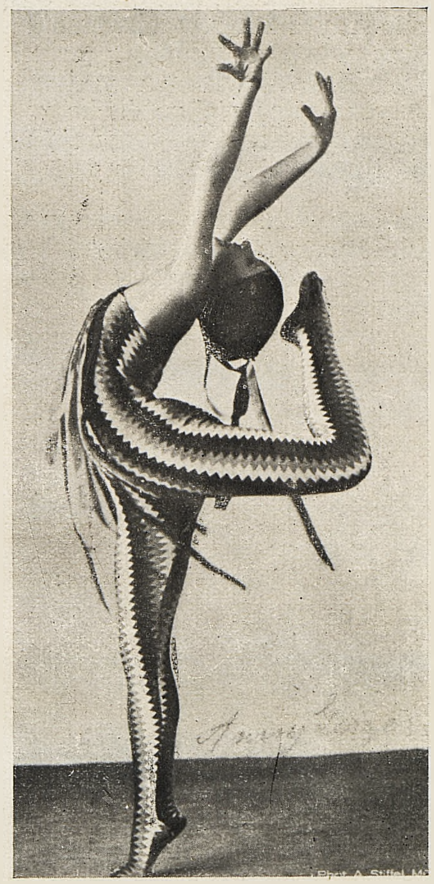
wać będzie kursem praktycznego wychowania, dając wskazówki, jak należy urządzić dom i salon i jak się prowadzi dom w najlepszym stylu. Uczenice szkoły pobierać będą też lekcje sztuki najgustowniejszego podawania potraw i nakrywania stołu.

Każdego przedmiotu, wchodzącego w program nauk szkoły, udzielać będą siły pierwszorzędne, fachowo wykwalifikowane.

Główne kierownictwo obejmuje Rita Sacchetto, która sama osobiście poprowadzi kursa plastyki rytmnicznej, gimnastyki i tańca. Motto szkoły Rity Saccheto streszcza się w następujących wskazaniach:

„Wdzięk, artyzm, piękno-praktycznie zastosowane upiększają życie, nadają mu pociągającą treść zadowolenie artystyczne.

Wprawdzie szkoła ta w pierwszym rzędzie przeznaczoną jest dla artystek zawodowych, wszelako i te dziewczęta, które nie zamierzają się potem poświęcać zawodowo sztuce tanecznej — mogą z niej wynieść poważne wartości, dodające ich istnieniu blasku i uroku. Wszakże wdzięk ruchów, artystyczny smak w własnem ubraniu i urządzeniu domu, rozwinięta muzykalność — niezbędne są dla każdej kobiety, która pragnie roztaczać wokół siebie czar piękna.

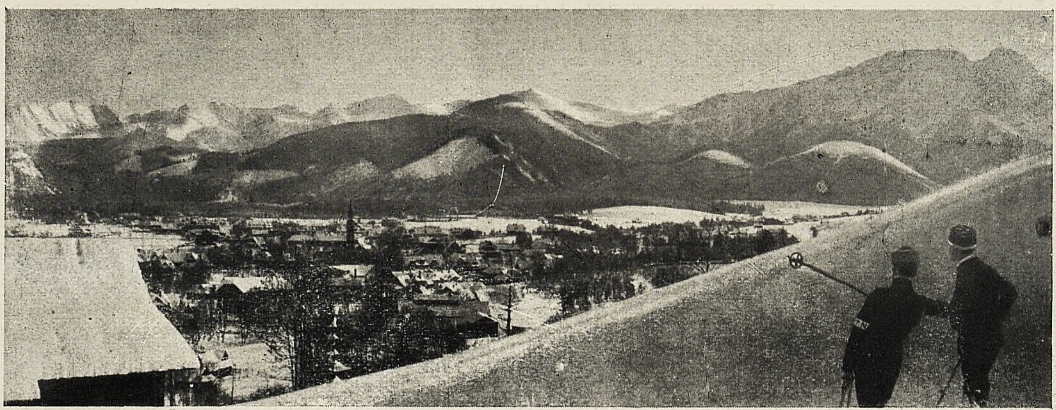


Semestr w szkole ma trwać pół roku i dzieli się na semestr letni i semestr zimowy.

W ten sposób pojęte plany, o ile zostaną urzeczywistnione, mogą sprawić, że Zakopane stanie się kolebką nowego kierunku pedagogicznego, wznoszącego w życie ludzkie prawdziwe piękno, zdrowie ciała i ducha antycznej Romy i Hellady.

Zdjęcia przedstawiają b. uczennice Rity Sacchetto.





ŚWIATEK ZAKOPIAŃSKI.

Ciekawym komu tu do głowy
przyjdzie, że sezon to zimowy?!
Deszczyk wciąż siąpi — i psia pora
Rankiem, w południe, czy z wieczora
Nocą wyłażą z za chmur gwiazdy
By śmiać się z ceprów razem z gazdy,
Bo wszystko dzieje się opacznie
Jak tylko sezon się tu zacznie.

Dopóki ceprów nimo — haj!
Na Sabałowej skrzypce graj
Co tylko kces — Boże ci daj!

Lecz tylko zjadom te miastowe
Już piknie Giewont stracił głowę.

Już halny w pełni
Chmury wełni

I z Bożej łaski — przyjdzie orawski

A potem deszcz jak zacznie lać!
Niema się cepry czego bać
Możecię słonka w zimnie drzące
Jak kierdel owiec czekać i miesiące

Wtem świta ranek, patrzysz śnieg
Z radości człeku być się wściekł.
Nie wiele warty ale jest
Więc heroiczny czyniąc gest
Z narty szykujesz się na bieg.

Z ciupagą, żywca mkniesz, gdzie turnia
A słońce robi z ciebie durnia
Boś ledwo dopadł Gubałówki
Już deszczyk siąpi w rytm trzydniówki

Snieg znikł, w mig, jak dziewczyńska cnota
Wichura, zimno, błocko, słota
Tak się zaczyna zwykłym planem
Sezon zimowy w Zakopanem!

Pełne rankoru z mokrego dworu
Pełzną figury i klną na chmury
Lecz przy bufecie góral — ten wie przecie

mówi że właśnie
robi się już jaśniej

I czuje w śpiku, po mocnych bez liku

Że mało wiele
tak przez niedzielę

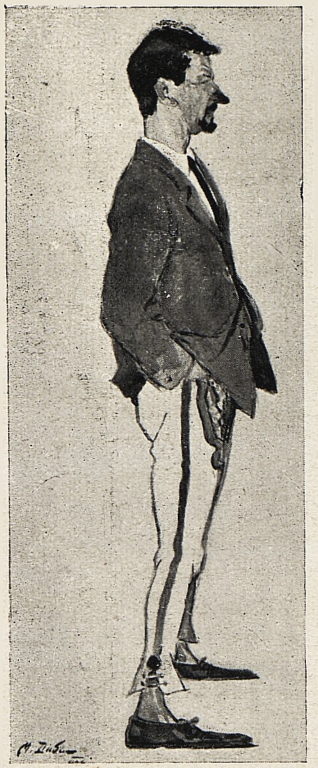
Albo dwa tydnie — wichr wszystko
wydmie

I doświadczeniu bacy wirzcie panie
Pogoda będzie — jeno deszcz
ustanie

Wieczór zaś ceper zgoła zakopiański
Na karty, z narty, idziesz do Tatrzańskiej

Tu stół obsiadły same matadory
Na salce dancing odchodzi z amory

Kręcą się wyższe sfery z Marilory
Z wyrazem twarzy upadło anielskim
Liczą herbatki Bilewicz z Jasielskim



W. Orkan



Dr. T. Gabryszewski

Już dzionek czwarty
Deszczyk uparty

Tak się już dzieje, leje,
leje, leje.
Na narty wsparty,
zgonion jak charty

miast jeździć na ski
siadasz u Trzaski

Wypijasz słodką, gorzko
się czujesz
powtarzasz drugą i klątwy
żujesz
z losem cię jednak w lot Jędruś godzi
Kropisz se gorzką — i jest ci słodziej.

Deszcz ciągle leje
jakby z donicy

Złażą się zewsząd juz taternicy
I na werandzie u Trzaski gwarno
Kolejki idą harno — mocarno.

Tu Bieder smoli wiersz do kobiety
Tam Stryjeńskiemu gość podpity,

Przyznaje owszem w planach wielką rację
Byle z pogodą zrobił regulację.

W sali gra Kotek — nastrój już intymny
Ranek trwa, mokry, chmurny, ciemny, zimny.
W Porębie, szlak że w deszcz nie do przebycia

W kątku przytulnie w rytm do wichru wycia,
Orkan wiersz płodzi o „pogodzie życia



A. Zamoyski

Dancing tak samo u Trzaski lecz bujniej
Co chwilę słychać, „co pan robi — uj nie!"
Serdecznie tłoczno i upiornie duszno
Gra jazzband — „Salcze z lewe nogę, ruszno!"
Tak się zabawia w kolorowych swetrach
Mniejszość bynajmniej nie z rodzona wmitrach.
Jeden dancingom sali nie użycza,
Zgoła nie godząc się na tłum prostacki

Mam tu na myśli gazdę Korpowicza
Bonz Konfraterni archiliterackiej
Prawda że dawne czasy już „mineli“
Dużo wytarło się z hardego czuba
Lecz tak Honorcia jak i Lola gruba
Dziś jeszcze czasów tych nie zapomnieli
Jako tu było ongi podczas podczas wojny
Jak się tu wiodło żywot strojny, zbrojny
Jak „na przełęczy“ kartę Europy
Robiły pierwsze pędzla, pióra chłopy!

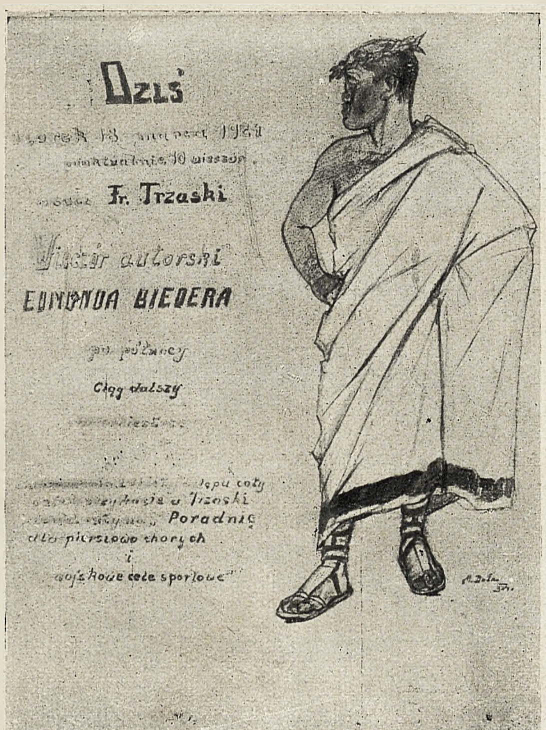


W. Gebel

Illo tempòre! Było... już nie będzie!
Stolików brakło na wielkiej werendzie!
Tu Przybyszewski króluje z za stoła,
Tam był Żeromski, siedział Ryemont,
Solski,
Tu Jan Kasprowicz z głową apostoła



T. Dmuszewski



E. Bieder

I tylu innych — cały Parnas Polski
Tu jadł, pił, wzdychał, jak mawia
Karpowicz
I tu chcą dancing!? — Głupiemu to
powiedz!
Tak to bywało... kiedyś — latoś —
ongi
Z wron się kwiczoły, z smerd robiły
pstrągi

Wino się lało — i były dochody
Dziś w Zakopanem coraz już mniej wody
Jak Gabryszewski twierdzi, znany rybołowca
Dalej tak pójdzie — wilkiem bedzie owca
Piechty z potoków wylizą łososie
A zbraknie wody, mnię tyż tu nie będzie
To co ostanie? — ładna polityka
Tyfus, mór, gmina, deszcz i klimatyka!
Tu rzucam pióro, bo coś od miesiąca
Raz pierwszy słońce szczyt Giewontu trąca
Nim znów lać zacznie (a jestem pechowiec)
Może się uda — i zdążę na dworzec.

Karykatury art. mal. M. Dudy

Mors.

Triolet wiosenny

Jako melodja niegdyś usłyszanej pieśni
Na życie całe czarem serce nam uwięzi,
Płatek wonny padając z kwitnącej gałęzi,
Każe śnić puchy srebrne minionych czereśni:
Ach, bo sen wiosen dawnych nigdy się nie prześni !
Jako melodja niegdyś usłyszanej pieśni,
Płatek wonny padając z kwitnącej gałęzi,
Na życie całe czarem serce nam uwięzi.

*

Za trudno sercu tęsknić

Za trudno sercu tęsknić, gdy szczęścia w niem zbyt wiele,
Więc po miesiącach słońca czarne nastają noce;
Za ciężko drzewu dźwigać wszystkie swoje owoce,
Więc w południe majowe rodne spadają biele;
Za wątła łódź twa, człeku, byś płynął przez topiele;
Za trudno sercu tęsknić, gdy szczęścia w niem zbyt wiele,
Więc po miesiącach słońca czarne nastają noce.
Za ciężko drzewu dźwigać wszystkie swoje owoce,

*

Nic się nie powtórzy

Choć wszystko wciąż powraca, nic się nie powtórzy:
Na wieczność milkną dźwięki dzwonów, gdy przedzwonią;
Życie uśmierca życie bezlitosną dłonią —
Choć wszystko wciąż powraca, nic się nie powtórzy.
I upojne jaśminy w noc letnią po burzy
Nie pieszczą ziół uśpionych zawsze jedną wonią!
Choć wszystko wciąż powraca, nic się nie powtórzy:
Na wieczność milkną dźwięki dzwonów, gdy przedzwonią.



NOWY SZPITAL KLIMATYCZNY W ZAKOPANEM

Rozwój Zakopanego z końcem XIX. i początkiem XX. wieku nabierający coraz większego rozpędu, postawił radę miejską przed ważnem zagadnieniem a mianowicie wybudowaniem dużego i nowoczesnego szpitala. Dotychczasowy bowiem drewniany budynek, położony tuż nad rzeką i w dole, przy samej drodze, był przedewszystkiem już za mały, a prymitywem swoim urągał wprost nowoczesnemu kierunkowi szpitalnictwa. Odczuwając potrzebę wybudowania nowoczesnego budynku szpitalnego, zawiązuje się w roku 1913 pod przewodnictwem p. Marji hr. Tarnowskiej komitet budowy szpitala, który zebrał w ciągu półtora roku około sześć tysięcy koron, równocześnie gmina za inicjatywą dr. Chramca ofiarowała z funduszu ubogich siedm tysięcy koron, a komisja klimatyczna dwa tysiące. Za te pieniądze zakupiono plac, którego właścicielem stała się komisja klimatyczna. Po kilku latach przerwy, spowodowanej wojną, podjęto jeszcze w czasie trwania tejże z inicjatywy ówczesnego wójta p. W. Regieca i dr. Gabryszewskiego dalszą akcję w kierunku zrealizowania projektu budowy szpitala i w tym celu dokupiono dalszy obszar gruntu, część materjałów budowlanych i wykonano plany dzisiejszego szpitala, które zaprojektowali inż. Ka-



Dr. Karol Morawski



Dr. St. Maysner

mienobrodzki i śp. inż. insp. szp. dr. Władysław Müller.

Rok 1920 był przełomowym w dziejach budowy szpitala. Oto ówczesny komisarz dla spraw walki z epidemjami, a raczej jego komisarz prof. dr. Emil Gorlewski zorganizował miejscowy komitet budowy łazenek i szpitala. Do komitetu tego weszli przedstawiciele komisji klimatycznej i gminy pod przewodnictwem burmistrza Zakopanego p. posła Medarda Kozłowskiego. Środków pieniężnych, jakoteż materjałów budowlanych dostarczał N. N. komisarjat.

Pomoc komisarjatu posunęła tak dalsze sprawy naprzód, że z chwilą zwinięcia i likwidacji tegoż, dalszą akcję budowy objąć mogły bez wielkich trudności gmina i klimatyka, które też budowę wraz z wewnętrznym urządzeniem dokończyły, oddając szpital w roku 1923 do użytku publicznego. Uroczystego poświęcenia i odwarcia dokonano w dniu 4. sierpnia 1923 roku w obecności p. prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego.

Urządzenie wewnętrzne otrzymał szpital z komisarjatu dla spraw walki z epidemjami, był to komplet szpitala polowego amerykańskiego, oraz sześćdziesiąt łóżek siatkowych.

Obecny szpital klimatyczny wybudowany według nowoczesnych wymogów szpitalnictwa, posiada kilka oddziałów, które dzięki osobnym wyjściom, oddzielnym łazenkom i kuchniom można zupełnie od siebie odseparować.

W szpitalu klimatycznym, posiadającym sześćdziesiąt siedm łóżek prowadzone są działy: chorób płucnych, chirurgiczne i ginekologiczno-położniczy, dalej chorób wewnętrznych, zakaźnych, wreszcie ambolatorjum dla chorych dochodzących z miasta.

Szpital znajduje się pod kierownictwem dwóch lekarzy etatowych, którymi są prymarjusz p dr. Gustaw Nowotny, sekundarjuszem p. dr. Stanisław Meysner. Prymarjusz prowadzi poza ogólnem kierownictwem dział chirurgiczny i administrację, sekundarjusz dział chorób płucnych, wewnętrznych i zakaźnych. Dział ginekologiczno-położniczy prowadzi jako konsulent p. dr. K. Morawski spec. ginek. akusz. Opiekę nad chorymi sprawują siostry ze zgromadzenia służebniczek S. J. w liczbie dwunastu. Pod ich zarządem znajdują się administracja, kancelarja, pralnia, po jednej siostrze, kuchnia (dwie siostry), reszta pracuje na oddziałach i w sali operacyjnej. Siostry pełnią prócz swoich zajęć dyżury 24 godzinne z wyjatkiem sióstr zajętych w kuchni i kancelarji. Służby niższej posiada szpital ośmioro, w tem woźnica, stróż i palacz.



Leżalnia.



Ambulatorjum.



Dr. Gustaw Nowotny.

Pisząc o personalu szpitala, warto ze względu na jego charakter użyteczności publicznej wymienić parę cyfr co do pobieranego przezeń wynagrodzenia. Pensja prymarjusza wynosi 350 zł., sekundarjusza 200 zł., więcej mieszkanie i całkowite utrzymanie, których prymarjusz nie otrzymuje. Za specjalne zabiegi lekarskie i operacje zamożniejsi chorzy opłacają honorację według umowy. Siostry pobierają po 60 zł. miesięcznie, służba niższa od 20 do 50 zł., oraz mieszkanie i utrzymanie.

Nim przejdziemy do omówienia budżetu szpitalnego, przedstawimy nieco cyfr statystycznych co do rodzajów chorób i ilości leczonych w latach 1923 i 1924.

Rezultaty w leczeniu w szczególności gruźlicy płuc są znakomite, a zupełne wyleczenie chorych należy do bardzo częstych wypadków.

O pożyteczności szpitala klimatycznego w Zakopanem, nie należy chyba nikogo przekonywać.

Z przeprowadzonej zaś w r. ubiegłym inwestycyj z dochodów bieżących zarządu, okazuje się, że gospodarka szpitala jest bardzo oszczędnościowo i racjonalnie prowadzoną i że szpital po tej linji idąc i pozostając nadal pod dotychczasowem kierownictwem nie tylko że spełnia swoje zadania, ale ma przytem widoki pomyślnego rozwoju na przyszłość. K. K.



Sala chorych.



Kazimiera Alberti.

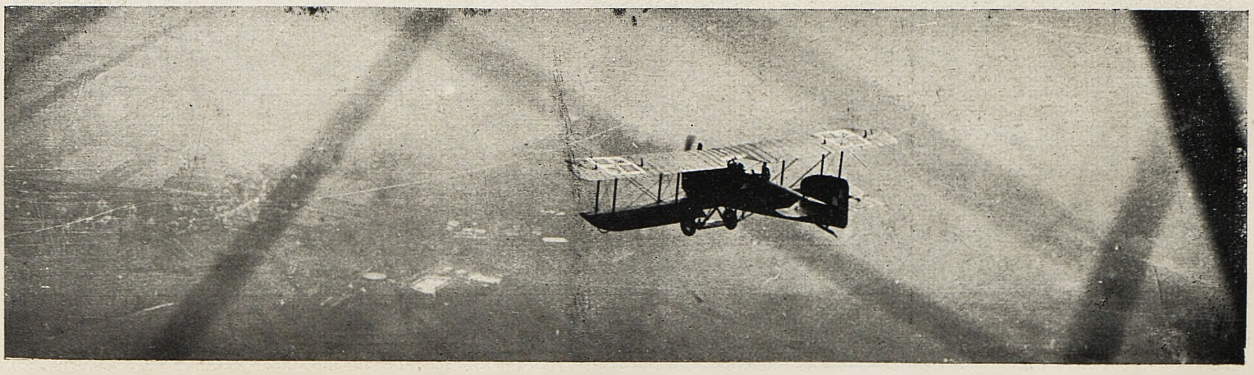
Halny.

Rozraduj serce, słuchaj — już —
od Orawicy leci, leci —
w sto, tysiąc, miljon hucznych burz,
niebieskie za nim mkną tumany,
ciepły, promienny, złoty kurz . . .
W gorących, halnych słońc zamieci
gwiaździste pędzą, grzmią rydwany.

Ruch, falowanie, wir, lot, pęd,
łoskot walonych drzew,
muzyka, szum, organy,
jeszcze jeden załom, żleb i skręt —
i znów oddech, uśmiechy, zmęczenie,
szerokie równie, doliny, niż,
puste gościńce, wyręby, przestrzenie,
pijana radość, impet, rozpasany taniec —
i nowe siły — cudowny pęd wzwyż,
jedna ubocz, wał, kamienny szaniec —
trupami chojarów zaścielona głąb —
wyrwy w reglach, zniszczony, stratowany zrąb —
i w lesie — po wyszarpanych pniach — głębokie rany.

W dole na głuchych, opuszczonych drogach
już tylko strach i zachwyt i trwoga.

Chodźmy w najwyższe szczyty Tatr —
W taki szaleństwem dzień nabrzmiały
wir zmiecie gruzły naszych watr
zagrają wrzącej krwi hejnały —
zahula młodość jak ten wiatr.



NOWY TARG.

Na rozległej dolinie zamkniętej od północy łańcuchem Gorców, od wschodu Pieninami, południa niebotycznym łańcuchem Tatr, a od zachodu grzbietem babiogórskim rozsiadło się w widłach Białego i Czarnego Dunajca starodawne miasto, będące obecnie stolicą powiatu i skalnego Podhala, a noszące od XIV. stulecia nazwę Nowy Targ.

Początki tego miasta gubią się w zamierzchłej przeszłości. Starodawne dokumenta wskazują, że już z końcem XIII. stulecia istniała w tem miejscu osada lokowana na prawie miejskiem, posiadająca wójta i plebana. Istnieją w prawdzie jeszcze dawniejsze dokumenta jak przywilej księcia Henryka z 1234 roku, nadający zezwolenie krakowskiemu wojewodzie Cedrze na sprowadzenie na terytorjum między rzekami Ostrowsko, Dunajcem i Czarnym Dunajcem, Rogoźnikiem osadników i z 1238 roku, którym tenże Cedro nadaje przywilej Rychaldowi Neu Markowi i innym na założenie w tem miejscu miasta pod nazwą Neumarg vulgo Nowy Targ. Istnieje dalszy dokument z 1252 roku Bolsława księcia krakowskiego i sandomierskiego, którym tenże nadał Cysterom ze Szczyrzyca przywilej na założenie miasta na prawie niemieckiem pod nazwą „Novum Forum“. Wszystkie jednak te trzy dokumenta mają być falsyfikatami, sporządzonemi przez Cystersów w późniejszym okresie,



Kościoł parafjalny w Nowym Targu



Kościoł Św. Anny na cmentarzu

w okresie procesów między tym klasztorem a królami o ziemie w Nowotarzczyźnie obecnej leżące, na co wskazywałby w pierwszym rzędzie wydany w 1346 roku przez Kazimierza Wielkiego przywilej na założenia miasta Nowego Targu. Z drugiej strony ślady wykazują, że jednak przed tą datą istniała w tem miejscu osadą zwana „Novum Forum“, gdyż znajduje się ślad w kronikach, że w roku 1327 występowali w pewnej sprawie świadkowie, będący obywatelami miasta Novum Forum a więc późniejszego Nowego Targu. Można więc przyjąć, że obecne miasto Nowy Targ sięga początkami swemi już jako „miasto“ w lata między 1287 a 1327. Ślady wskazują, że jednak już w XI. wieku istniała w tem miejscu osada, a podanie ludowe głosi, że nazywała się ona Kozi Targ, biorąc assumpt do tej nazwy od już w tych czasach na wielką skalę utrzymywanej hodowli owiec, baranów i kóz.

Zdaje się więc, nie ulegać wątpliwości, że Nowy Targ należy do szeregu starszych miast polskich, a jako taki zasługuje z wielu względów na poświęcenie mu miejsca w „Giewoncie“, mającym za zadanie zobrazowania historji ubiegłej i obecnego stanu w pierwszym rzędzie Tatr i Zakopanego, a w dalszym i całego Podhala.

Dziś Nowy Targ przedstawia się jako schludne i dążące z postępem czasu miasteczko, bardzo korzystnie. Rozbudowane na rozległej Dolinie, sprawia zdala wrażenie miasta



M. Rajski, Burmistrz Nowego Targu

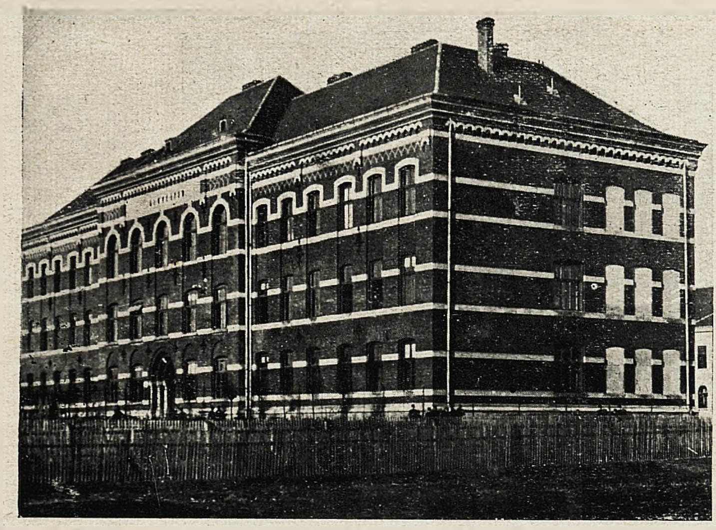
znacznie większego niż jest w rzeczywistości, posiada bowiem niespełna 10 000 mieszkańców. Jako miasto powiatowe i stolica Podhala posiada cały szereg urzędów, szkół, instytucji społeczno-oświatowo-kulturalnych i przemysłowych, a więc starostwa nowotarskie i spisko-orawskie, sąd powiatowy, radę powiatową, inspektorat skarbowy, kontrolę i izbę skarbową, urzęda pocztowo-telegraficzny i kolejowy, powiatową komendę uzupełniającą, notarjat, gimnazjum męskie (państwowe), seminarjum żeńskie nauczycielskie (miejskie), dwie szkoły siedmioklasowe (męską i żeńską), szkołę koronkarsko-hafciarską „Szarotka“, szkołę przemysłową dokształcającą, trzy instytucje finansowe: pow. kasę oszczędności, towarzystwo zaliczkowe, tow. roln. handl. „Porhale“, składnicę kółek rolniczych, Bazar Polski i wiele innych. Z instytucji kulturalnych i społecznych wymienić należy przedewszystkiem: Tow. gimn. „Sokół“, Ochotn. straż pożarną, Oddział Pol. Tow. Tatrz. „Gorce“, T. S. L. itp. Inteligencja nowotarska koncentruje swoje życie towarzyskie w założonym przed kilku laty kasynie. Posiada przytem Nowy Targ własną prasę, a mianowicie wychodzącą od 13 lat „Gazetę Porhalańską“ — pismo tygodniowe, bardzo dobrze redagowane, a poświęcone sprawom całego Porhala. W Nowym Targu stacjonowane są dwie baterje artylerji polowej, a w pobliżu miasta znajduje się strzelnica wojskowa, przeznaczona dla ćwiczeń w ostrem strzelaniu artyleryjskiem.

Zdawałoby się, że Nowy Targ, jako tak stare miasto, powieien posiadać cały szereg zabytków średniowiecznych, niestety dwukrotne a doszczętnie miasto niszczące, pożary śladów średniowiecza pozostawiły bardzo mało, a należą do nich kościołek św. Anny przy cmentarzu i kościół parafjalny z starodawną i piękną dzwonicą.

Kościół św. Anny zbudowali jak legenda niesie, zbójnicy, gdzieś w pierwszej połowy XIII. stulecia. Kościołek ten posiada słynny obraz św. Anny. Słynny przedewszystkiem tem, że według podania, ma on pochodzić z kradzieży w klasztorze Cystersów dokonanej przez zbójników, którzy go do budowanego przez siebie kościoła przenieśli. Kościołek św. Anny zbudowany z drzewa modrzewiowego, dzięki trwałości materjału i starannej



Obchód 3-go Maja na Rynku



Gimnazjum

opiece ludności dochował się do dzisiejszych czasów w bardzo dobrym stanie. Będąc obecnie pod opieką miasta, służy za kaplicę cmentarną.

Kościół parafjalny musiał istnieć już w XIII. wieku, gdyż w tym wieku istniała tu już parafja. Jednak obecnie stojący, po parokrotnych pożarach, odbudowany w 1758 roku zdaje się ani szczątków z średniowiecza nie posiada. Jedynia dzwonica osobno stojąca, posiada charakter lat dawniejszych.

Miasto długie lata żyło swem własnem ograniczonem życiem i dopiero ruch przy-



Pierwsza próbna rzeźba (kopja) „niewolnika" Michała Anioła, wykonana w Kamieniu z łomów Szaflarskich



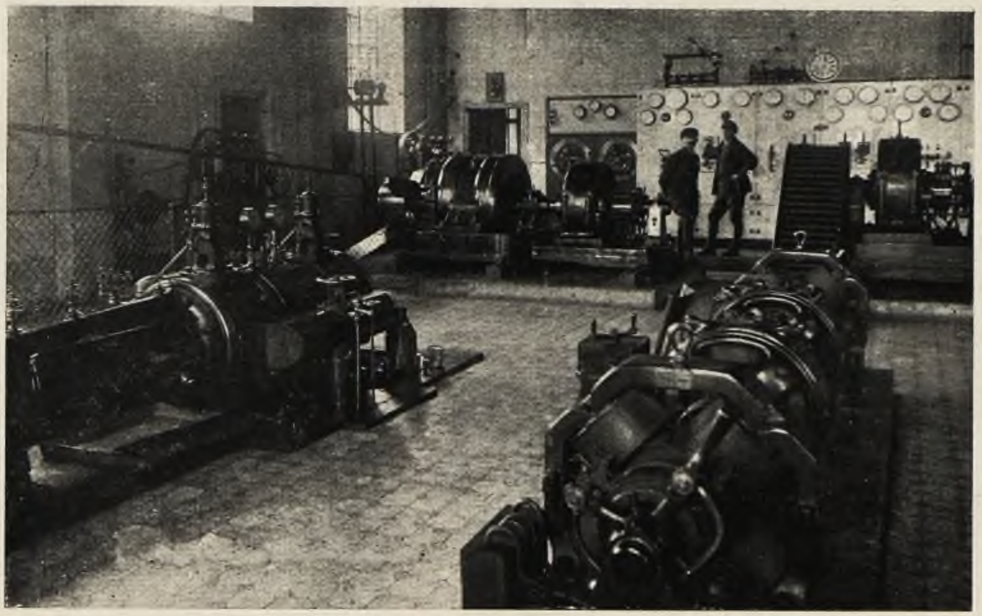
Gmach sokoła

jezdnych z Tatry i Podhale, powstanie stacji klimatycznej w Zakopanem, pchnęły życie Nowego Targu na nowe i szersze tory. Do podniesienia miasta przyczynił się przedewszystkiem energiczny i bardzo dzielny burmistrz tegoż M. Józef Rajski, który od dwudziestu ośmiu lat pracując w radzie gminnej (od 1907 roku niemal bez przerwy, jako burmistrz) wywarł duży wpływ na podniesienie miasta, za co w uznaniu jego zasług nie tylko dla miasta, ale i powiatu, ludność obdarzyła go w 1919 roku mandatem poselskim do pierwszego sejmu wolnej Polski.

Elektrownia powstała w 1912 roku. Energję wytwarzają dwie turbiny o sile 240 koni maszynowych i rezerwa parowa (dwa kotły i



Ratusz



Nowa Elektrownia

maszyna parowa) o sile 160 koni maszynowych. Dwa dynamo, z których jedno do prądu zmiennego, drugie stałego, dostarczają światła całemu miastu w dostatecznej ilości, oraz do poruszania miejskich i prywatnych zakładów przemysłowych, jak cegielni, młyna, browaru. Na czele zakładu stoi p. inż. Sarnowicz.

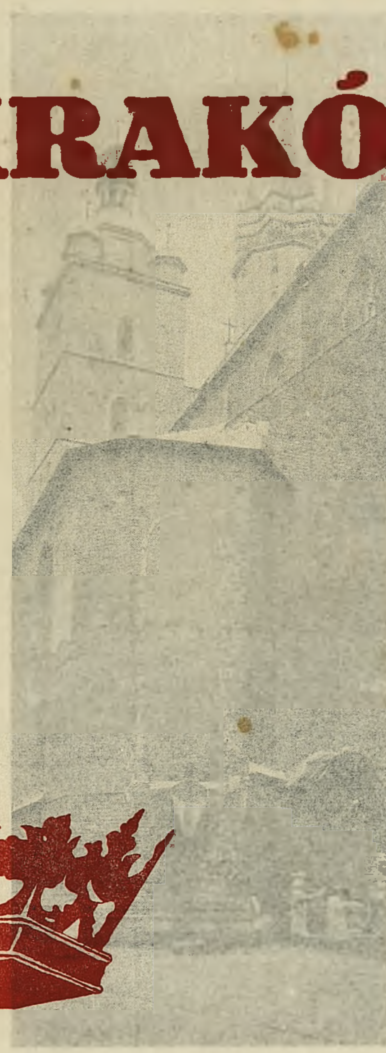
Cegielnia, jako miejskie przedsiębiorstwo, istnieje od 1898 roku, czasu jako cegielnia ręczna, o produkcji rocznej jednego miljona cegieł. W roku 1912 rozbudowano zakład, przez uruchomienie fabrykacji maszynowej, podnosząc roczną produkcję do dwóch miljonów cegieł. Wobec tutejszych warunków klimatycznych cegielnia bywa czynną tylko przez cztery miesiące letnie. Aby zwiększyć produkcję i tem samem móc pokryć zapotrzebowanie całego powiatu, przy obecnym stanie produkcji nie zaspokojone, istnieje projekt dalszego rozszerzenia zakładu, a raczej przystosowania go do zimowej produkcji. Pierwszym pozytywnym zyskiem tej inwestycji byłoby znaczne obniżenie ceny cegieł, szczególnie na rynku zakopiańskim.

Dalej posiada miasto, własny młyn, od roku 1912 o popędzie elektrycznym, oraz browar, wytwarzający piwo marcowe, narazie z powodu istniejącego projektu rozbudowy i unowyżytnienia, nieczynny. Początki istnienia młynu sięgają niepamiętnych czasów, browar należał ongiś do kamery austrjackiej, a przeszedł na własność miasta w drugiej dziesiątce lat XIX. stulecia, z okazji likwidacji dawnej królewszczyzny.

Z prywatnych większych zakładów przemysłowych istnieje tu betoniarnia p. Edwarda Polaka, dostarczająca wszelkich wyrobów betonowych na potrzeby powiatu. Z większych dostaw, wykonała fabryka zamówienia płyt betonowych na chodniki dla Zakopanego, słupów granicznych dla komisji delimitacyjnej polsko-czosko-słowackiej itp. Pozatem fabryka ta eksploatuje słynne i jedyne w Polsce kamieniołomy andezytu w Kluczkowcach, wyrabiając z nich wymienione wyżej słupy graniczne, pomniki, nagrobki itp.

Gdyby powiat nowotarski zechciał zejść z błędnie obranej drogi, utrzymującej charakter rolniczy, a poszedł w kierunku uprzemysłowienia na wzór szwajcarski i zaczął na większą skalę prowadzić chów bydła i owiec, oraz kultywowanie lnu, a z tem połączone gałęzie przemysłu, jak sernictwo, kożusznictwo, fabrykację wełny i płótna i połączone z tem inne gałęzie, jak hafciarstwo, koronkarstwo itp., to Nowy Targ mógłby kiedyś w przyszłości odegrać znacznie większą rolę w życiu ekonomicznem Polski i podnieść się do szeregu większych miast polskich. Zdajemy sobie sprawę z tego, że urzeczywistnienie tego projektu, przy konserwatyźmie naszego ludu, napotka na wielkie trudności, niemniej jednak ojcom i przodownikom tego ludu nie wolno tej sprawy zasypiać, a przeciwnie w jaknajszerszy propagować sposób. Powiat nowotarski ma taki zasób sił ludzkich i przyrodzonych, a przedewszystkiem wodnej, że bez uszczerbku dla czystości powietrza mógłby się cały pokryć szeregiem warsztatów pracy, przynoszącej ludności znacznie większe od ubogiej gleby podtatrzańskie zyski i dochody.

KRAKÓW





Hejnał!

Hejnał!

Jak ptak rozkołysany
w przestworzu . .
Srebrnopióry ptak!
Mknie trąbki dźwięk
w błękity — rozedrgany
melodja . . . . .
w słońca złoty szlak!

Hejnał!

Z Marjackich wież ...
taki ..., rozmodlony,
w ...ótczy lot.
w sokoli ...,
jak wypuszczony z cięciw grot,
Jak z tąk
dziewczęcej piersi śpiew,
rozkołysany, rozkochany,
i tak przeczysty, wniebowzięty,
waży w błękitach się
I mknie....
jakby swym lotem
hen z orlęty
wzbić się chciał . . . .
...

Hejnał!

Gadają mu zegary —
już świt, już świt . . . .
Ozwał się kur!
Pamiętasz gwary ci fanfary
w grom armat
Hen z bitewnych chmur
piorunolicą błyskawicą
na wrót,
w zagładę, ...

Bogarodzico dziewice
nad Twej korony wieżycą
... się . . . .
daj Polsce zbawienie.

Hejnał!

Dygocą witraże;
Wawel zamienił się w słuch —
Zew idzie w narodu straże:
...
Mkną wici — Czuj duch!
Gra trąbka ...
Wkrąg wtór ...
...
Oręzna w ...
... zwycięstwo lub zgon!

Hejnał!

Z Marjackiej wieżycy
Złoci się w słońcu korona
Królowej Marji, Dziewicy.
Zew płynie
Polska zbawiona

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Hejnał!

Jak ptak rozkołysany
w przestworzu . . . .
Srebrnopióry ptak!
Mknie trąbki dźwięk
...

„GIEWONT" WYDAŁ I REDAGOWAŁ: ADAM KOWALCZEWSKI-SIEDLECKI

WYKONAŁA: DRUKARNIA KATOLICKA, KATOWICE-ZAŁĘŻE
POD KIEROWNICTWEM DYREKTORA ZAKŁADU FR. HERTLA

ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE: ZAKOPANE: H. SZABENBECK; KRAKÓW: J. GARZYŃSKI, J. KUCZYŃSKI
AGENCJA ŚWIATOWIDA ORAZ P. P. MUCHA, PAWLIKOWSKI I KARAŚ

KLISZE WYKONAŁY ZAKŁADY J. WELANYKA I JABŁOŃSKIEGO W KRAKOWIE ORAZ POLONIA W KATOWICACH / OKŁADKĘ Z KORONĄ ZDOBIĄCĄ WIEŻĘ KOŚCIOŁA MARJACKIEGO RYSOWAŁ ART. MAL. W. MODZELEWSKI



Nowa Elektrownia

maszyna parowa o sile 160 koni maszynowych. Dwa dynamo, z których jedno do prądu zmiennego, drugie stałego, dostarczają światła całemu miastu w dostatecznej ilości, oraz do poruszania miejskich i prywatnych zakładów przemysłowych, jak cegielni, młyna, browaru. Na czele zakładu stoi p. inż. Sarnowicz.

Cegielnia, jako miejskie przedsiębiorstwo, istnieje od 1898 roku, czasu jako cegielnia ręczna, o produkcji rocznej jednego miljona cegieł. W roku 1912 rozbudowano zakład, przez uruchomienie fabrykacji maszynowej, podnosząc roczną produkcję do dwóch miljonów cegieł. Wobec tutejszych warunków klimatycznych cegielnia bywa czynną tylko przez cztery miesiące letnie. Aby zwiększyć produkcję i tem samem móc pokryć zapotrzebowanie całego powiatu, przy obecnym stanie produkcji nie zaspokojone, istnieje projekt dalszego rozszerzenia zakładu, a raczej przystosowania go do zimowej produkcji. Pierwszym pozytywnym zyskiem tej inwestycji byłoby znaczne obniżenie ceny cegieł, szczególnie na rynku zakopiańskim.

Dalej posiada miasto, własny młyn, od roku 1912 o popędzie elektrycznym, oraz browar, wytwarzający piwo marcowe, narazie z powodu istniejącego projektu rozbudowy i [illegible] młynu sięgają [illegible] należał ongiś do [illegible] szedł na własność miasta w drugiej dziesiątce lat [illegible] królewszczyzny.

Z prywatnych większych zakładów przemysłowych istnieje tu betoniarnia p. Edwarda Polaka, dostarczająca wszelkich wyrobów betonowych na potrzeby powiatu. Z większych dostaw wykonała fabryka zamówienia płyt betonowych na chodniki dla Zakopanego, słupów granicznych dla komisji delimitacyjnej polsko-czesko-słowackiej itp. Pozatem fabryka ta eksploatuje słynne i jedyne w Polsce kamieniołomy andezytu w Kluczkowcach, wyrabiając z nich wymienione wyżej słupy graniczne, pomniki, nagrobki itp.

Gdyby powiat nowotarski zechciał zejść z błędnie obranej drogi, utrzymującej charakter rolniczy, a poszedł w kierunku uprzemysłowienia na wzór szwajcarski i zaczął na większą skalę prowadzić chów bydła i owiec, oraz kultywowanie lnu, a z tem połączone gałęzie przemysłu, jak sernictwo, kożusznictwo, fabrykację wełny i płótna i połączone z tem inne gałęzie, jak haftciarstwo, koronkarstwo itp., to Nowy Targ mógłby kiedyś w przyszłości odegrać znacznie większą rolę w życiu ekonomicznem Polski i podnieść się do szeregu większych miast polskich. Zdajemy sobie sprawę z tego, że urzeczywistnienie tego projektu, przy konserwatyźmie naszego ludu, napotka na wielkie trudności, niemniej jednak ojcom i przodownikom tego ludu nie wolno tej sprawy zasypiać, a przeciwnie w jaknajszerszy propagować sposób. Powiat nowotarski ma taki zasób sił ludzkich i przyrodzonych [illegible] dla [illegible] pokryć [illegible] szeregiem warsztatów [illegible] przynoszącej [illegible] podtatrzańskie [illegible].

„GIEWONT" WYDAŁ I REDAGOWAŁ: ADAM KOWALCZEWSKI-SIEDLECKI
WYKONAŁA: DRUKARNIA KATOLICKA, KATOWICE-ZAŁĘŻE
POD KIEROWNICTWEM DYREKTORA ZAKŁADU FR. HERTLA
ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE: ZAKOPANE: H. SZABENBECK; KRAKÓW: J. GARZYŃSKI, J. KUCZYŃSKI
AGENCJA ŚWIATOWIDA, ORAZ P. P. MUCHA, PAWLIKOWSKI I KARAŚ
KLISZE WYKONAŁY ZAKŁADY J. WELANYKA I JABŁOŃSKIEGO W KRAKOWIE ORAZ POLONIA
W KATOWICACH. OKŁADKĘ Z KORONĄ ZDOBIĄCĄ WIEŻĘ KOŚCIOŁA MARJACKIEGO RYSOWAŁ
ART. MAL. W. MODZELEWSKI

Hejnał!

Hejnał!

Jak ptak rozkołysany
w przestworzu . .
Srebrnopióry ptak!
Mknie trąbki dźwięk
w błękity — rozedrgany
melodją . . . . .
w słońca złoty szlak!

Hejnał!

Z Marjackick wież korony,
taki przeczysty, rozmodlony,
w jaskółczy lot,
w sokoli zew,
jak wypuszczony z cięciw grot,
Jak z łąk
dziewczęcej piersi śpiew,
rozkołysany, rozkochany,
i tak przeczysty, wniebowzięty,
waży w błękitach się
I mknie....
jakby swym lotem
hen z orlęty
wzbić się chciał . . . .
budzić gwiazdy w śnie.

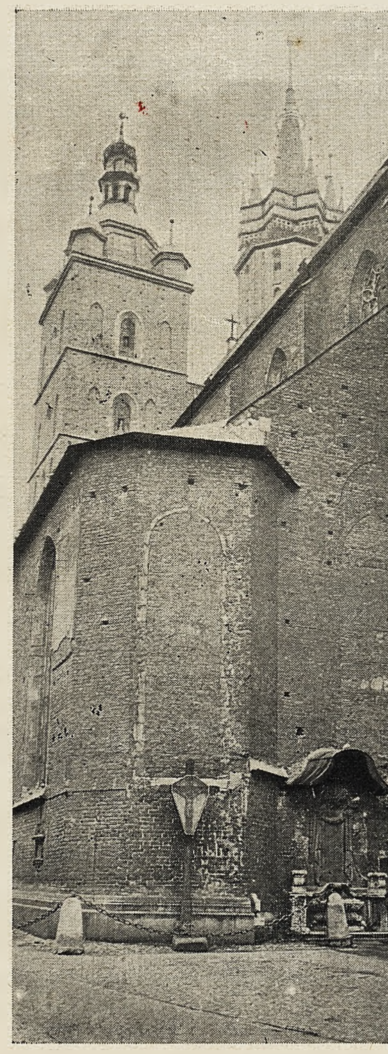
Hejnał!

Gadają mu zegary —
już świt, już świt . . . .
Ozwał się kur!
Pamiętasz grały ci fanfary
w grom armat
Hen z bitewnych chmur
piorunolicą błyskawicą
na wtór,
w zagładę, zatracenie . . . .

Bogarodzico dziewico
nad Twej korony wieżycą
zżal się . . . .
daj Polsce zbawienie.

Hejnał!

Dygocą witraże;
Wawel zamienił się w słuch —
Zew idzie w narodu straże:
Baczność!
Mkną wici — Czuj duch!
Gra trąbka . . . .
Wkrąg wtór grają działa,
Zygmuntów ozwał się dzwon,
Orężna w proporcach śni chwała —
Ojczyźnie zwycięstwo lub zgon!



Hejnał!

Z Marjackiej wieżycy
Złoci się w słońcu korona
Królowej Marji, Dziewicy.
Zew płynie
Polska zbawiona

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Hejnał!

Jak ptak rozkołysany
w przestworzu . . . .
Srebrnopióry ptak!
Mknie trąbki dźwięk
w błękity — rozedrgany
melodją . . . .
w słońca złoty szlak!

Dr. Stanisław Alberti

W A W E L

Prawieczną legendą osnute Wawelu dzieje — — — — — — — — — — — —

Nad Polski nieprzejrzanym borem — hen — u schyłku tysiąclecia pierwszego drewniane się wzniosło grodziszcze, a w nim w skórę odziane rządziły woje — — — —

Na skałcu, co jak guz w wiślane nurty się wciska stare się poczyna zamczysko. A że guz w ludowej gwarze „wąwel“ się wykłada, — stąd Wawelu nazwa.

Od legendowego na zamczysku pana — Krakusa, co ze smokiem wawelskim zwycięską miał sprawę — miasto, co wokół dworzyszcza się rozsiadło — swe wywodzi miano. —

— A potem szereg lat długi . . . niespisany . . . z półmrocznej historji Klechd, pergaminów starych . . . zmurszałych pamiątek jeno wiadome — królewskiego dworca i wawelskiej katedry dzieje tysiącletnie — — — —

Wielekroć razy wawelskie wzgórze panów zmieniało, a chyża dłoń czasu — wygląd zamku rzeźbiła. —

— Miasto drewnianego grodziszcza — murowane katedry sklepienia stanęły — i potężne zamczyska mury. Na miejscu dla Polski świętem bije nieprzerwanie i wiecznie źródło polskiemu sercu umiłowane, co się testamentem Kraka, Mieszka, Bolesławów, Kazimierzów, Jagiellonów i Zygmuntów niesie — — — —

W Wawelską historję wielkie narodu imiona i czyny się wplatają, — a przeszłość ta, to Polski potęga i chwała — — — —

— Jeno w cichą godzinę w baszt dawnych zaułku — w dawne się wsłuchaj szepty — —

* * *

— Nad boru ciemnego — nieprzejrzaną gęstwą drewnianych baszt ostrokół zamknięty — — — a wokół polskiego zamczyska germańskie, Rydygierowe hufy stanęły i wrażą przemocą po miłość Wandy z dziew najpiękniejszej władczyni — — sięgają — — —

— Hej — nie ulęknie się polskiej dziewoji mężne serduszko i Rydygierowej żądzy — krasy nie odda swej — — —

Wiślanej wstęgi fala ukojna przemożnym śmierci snem — władykę przy hołubi białą — — — a naród kopiec Wandy usypie — — —

— Wiślanej fali tajemnica pierwsza — — —

* * *

Wawelskie drewniane dworzyszcze za Piastowskiego rodu w świetności porasta. Gdy Bolesław Krzywousty Polskę między synów dzieli, zwierzchnictwo nie innemu oddaje, tylko temu, co wielkim księciem krakowskim się mieni.

Za Bolesława Wstydliwego (1265) góra cała gmachami się pokrywa, boć przecie szeroko władnie krakowski gród i możne jego pany.

Zasię Wacław czeski mury i wieże zamkowi przydaje.

* * *

Władysława Łokietka na tron uparte powroty — — —

Na wzgórzu wawelskim z piastowego dworca zgliszcza jeno pożarne (1306).

Nic to — — — żądzą polskiej potęgi uparty tułacz do zamkowych zgliszcz po dwakroć — tęsknie powróci, a wiślaną falą — — kędyś po północe rubieże koronacyjne pojdą hejnały, a w plusku nieustannym radosne pójdzie wołanie . . . król . . . król . . . król . . .

Po burzach wojen i tatarskiej pożogi łunach toń srebrna lata szczęśliwe głosi — — —

Jeno patrzeć — a zgliszcza drewni wawelskich — kamiennem miastem porosną, a obok murowanej królów siedziby katedra stanie gotycka, — boć przecie na wawelskim zamku rządy sprawuje ten, co drewnianą Polskę na murowaną zamienił: — Łokietkowego króla — wielki syn. —

A fale wiślane Kazimierzową sławią wielkość.

W królowej komnacie sypialnej, co w „kurzej stopce“ się mieści, smutek się rozsiadł i długie udręki godziny — — —

Czarnemu w katedrze Chrystusowi święta królowa swe smutki powierza — i wraz silna i bolesna nad toń wartką Wisły pośpiesza — — Hej! fale wy tajemne — — — przed laty . . . laty . . . ledwoli pamiętne — — wawelskiej władczyni cześć nieskalaną skryłyście — a teraz polska królowa ofiarną swą tajemnicę wam powierzy — — — Do sypialnej komnaty nie wnijdzie już Wilhelm modny — w biały ze złotem zdobny atłas i słodkiego nie przyniesie miłowania, ale na północ pogańską z krakowskiego zamczyska święte pójdą krzyże — a dziki władca litewskich borów za sprawą białej, świętej królowej dusz złączy narody.

A smutki twe Jadwigo zamknęły wody wiślanego koryta i ukochały i po wsze czasy o świętej ofierze przedziwną będą szemrać gędźbę — — —

— Litewski władyka wraz mury warowne podwyższa i w baszty obronne zbroi. A żeć piastowskie ukochał dworzysko Kazimierzowe dalej prowadzi dzieło i nowe wznosi pawilony.

* * *



Wawel

Wojenne królów pokolenie coraz bardziej zamek obronnym czyni; Kazimierz Jagiellończyk wielkie baszty wznosi, z których trzy: „Senatorska", „Sandomierska" i „Złodziejska" do dnia dzisiejszego się zachowały.

*

* *

Znów pożar 1500 r. Szczęśliwa jednak gwiazda na tronie osadza króla, co starań ni grosza nie szczędzi, by polska stolica należnym błysnęła splendorem. Zygmunt I. wznosi na gotyckim dole renesansowy pałac projektu włoskiego budowniczego de la Lore, dokończony przez Berecci'ego. Katedrę zaś ozdabia perłą renesansu kaplicą Zygmuntowską.

— Ze zdobycznych armat ulany (1520 r.) na Zygmuntowskiej wieży spiżowy zawiśnie „Zygmunt", po dziś dzień gromkiem wołaniem radości i smutki polskiego serca roznosić będzie. — — —

„Zygmunt" — spiżowej gardzieli rozkołysana głosu potęga . . . dziejów strażnik niezłomny . . . lecz sam wieczny . . . nieumilkliwy po polach szerokich polskiej potęgi piewca.

— I jako ongiś przed dworem Zygmuntowym daleko zwycięstwa poniósł głos — tako i dziś na wieczne narodu zmartwychwstanie rozbrzmiewa. — — —

* *

*

Dworce królewskie żałobą się okryło — — Na żywot Zygmunta Augusta — na dni jego radosne padł ból nieukojony — — — i smętku kirem — królewskie wyniosłe przysłonił czoło nad Barbary łożem śmiertelnem — — —

A „Zygmunt" śmiertelne niósł podzwonne — a Wisła królewskie wchłonęła łzy — — —

Nie lubił Zygmunt August pałacu — choć do budowy jego niejedną przydał cegiełkę, — — — wileńskie bowiem — szczęściem pamiętne upodobał sobie strony. — — —

* *

*

Potem się sploty dziwnych zewrą zdarzeń. Koło baszty „Lubranki" nocą . . . cichaczem — Walezjuszową — w ucieczce — zalśni kreza biała — — — żalu po sobie nie ostawi. —



Kościół Marjacki

rę odzianych wojach — w pancerne złoto husarji zakutych.

— A Wisła swe dorzuci tajemnice — — —

* * *

Szwedzkie rabunki (1655 r.) zamieniają zamek na ruinę prawie. Sejm polski odroczenie jego uchwala.

— Zagra raz jeszcze rozgłośnie — radośnie stary Zygmunt, gdy na Janowej głowie korona zabłyszczy złota. — — Zalśnią od świateł zamkowe komnaty, gdy po wiktorji wiedeńskiej waleczny wróci król . . . po dziedzińcach husarnych skrzydeł powieją zaszumy — wartownicze rozpalą się ognie — — — ale ostatnie to już dla zamku słońce. — — —

Szwedzka inwazja pod Karolem XII-tym łupi i pali zamek doszczętnie (1702 r.) Nie podniósł się już królewski dwór. —

— Chociaż August II i August III w katedrze wawelskiej słowa przysieg złożą . . . jednak saskie echo nie rozbieży radośnie po kraju jako dawniej bywało — swoistym rytmem nie zapuka do serc.

* * *

—Niedługo zasię (1576 r.) koronacyjne Stefana Batorego hejnały na zamku zaszumią . . . zagrają; — — król potem niejedną godzinę z wielkim kanclerzem Janem Zamojskim na zamkowych przegwarzy pokojach — — — tęskne oczy na Wisłę pośle — — — w duszę piastowskie nakładzie dumy i Bolesławów . . . Kazimierzów godnym się stanie spadkobiercą — — —

— W cieniu „Lubranki" zamajaczy postać jakowaś Samuela Zborowskiego przepyszny... dumny . . . nieugięty cień — — —

Z kilku po sobie następujących pożarów (1549 i 1595 r.) dźwigała zamek restauracja Zygmunta III i Władysława IV. Lecz oto po wiekach królowania pustoszeje Piastów i Jagiellonów stolica. Zygmunt III. przenosi rezydencję królewską do Warszawy (1609 r.)

Na arkadowym dziedzińcu królewskie ścichły kroki — — —

Po zgłuchłych komnatach jeno minione błądzą echa — o owych bitewnych wymarszach... zwycięskich powrotach . . . królewskich koronacjach, szrankach i galach . . . o owych w skó-

Purpurą w oknach zabłyśnie łuna, gdy garstka barskich straceńców z Puławskim na czele (1772) zamek na dni niewiele zdobędzie.

— W roku 1787 w murach swych ostatniego gości króla — „Króla Stasia" — — — ale źle się tu czuje miękki . . . rokokowy esteta. — Jakże inny od tamtych . . . dawnych monarchów. — — Smutno tu pudrowanej peruce i śnieżno-koronkowym żabotom — w tych komnatach, gdzie się po nocy tłuką jeszcze echa Kazimierza i Batorego kroków. — — — Uperfumowaną, w białe koronki strojną — „najmniejszą w Polsce ręką" sypnie z własnej szkatuły 300 dukatów rocznej zapomogi na zamku restaurację i do swych miękkich powróci Łazienek. —

A potem ostatni już broni się Wawel (1794 r.) przed pruskim najeźdźcą.

Na basztach wawelskich miast Orła białego znaku — kir pogrzebny. Po komnatach królewskich przejdą wraże pruskie — austrjackie mundury i z resztek świetnej przeszłości ostatnie rozgrabią splendory.

* * *



Dawne Sukiennice

Na chwilę znów Wawel dawnych wspomni gości, boć oto Polski król niekoronowany książe Pepi na zgłuchłym się zjawi dziedzińcu i wespół z Dąbrowskim — napoleońskie przyniesie słowo: „Polska żywie!"

* * *

Nie zapomniał o Wawelu Senat Rzeczypospolitej Krakowskiej. Zaczętą przez się restaurację Wawelu upamiętnił napisem nad bramą główną: „Senatus populusque cracoviensis restituit" — ale dzieła nie dokończył.

W roku 1846 wkraczają do Krakowa Austrjacy, a zamek królewski zamieniają na koszary. Z całym wandalizmem niszczyła szelmowska ręka austrjackiego żołdaka wszelkie pozostałe jeszcze ślady dawnej świetności. —

— Na obszernym placu przed katedrą, na miejscu zburzonych kościołów św. Jerzego i św. Michała, domu psałterzystów fundacji Długosza i pałacyku Zebrzydowskich — wzniósł rząd austrjacki szpecące całe wzgórze budynki dla szpitala wojskowego.

Dopiero w roku 1906 po długich staraniach b. Sejmu galicyjskiego zdołano usunąć z Wawelu wojsko, a wtedy można było pomyśleć o restauracji zamku.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

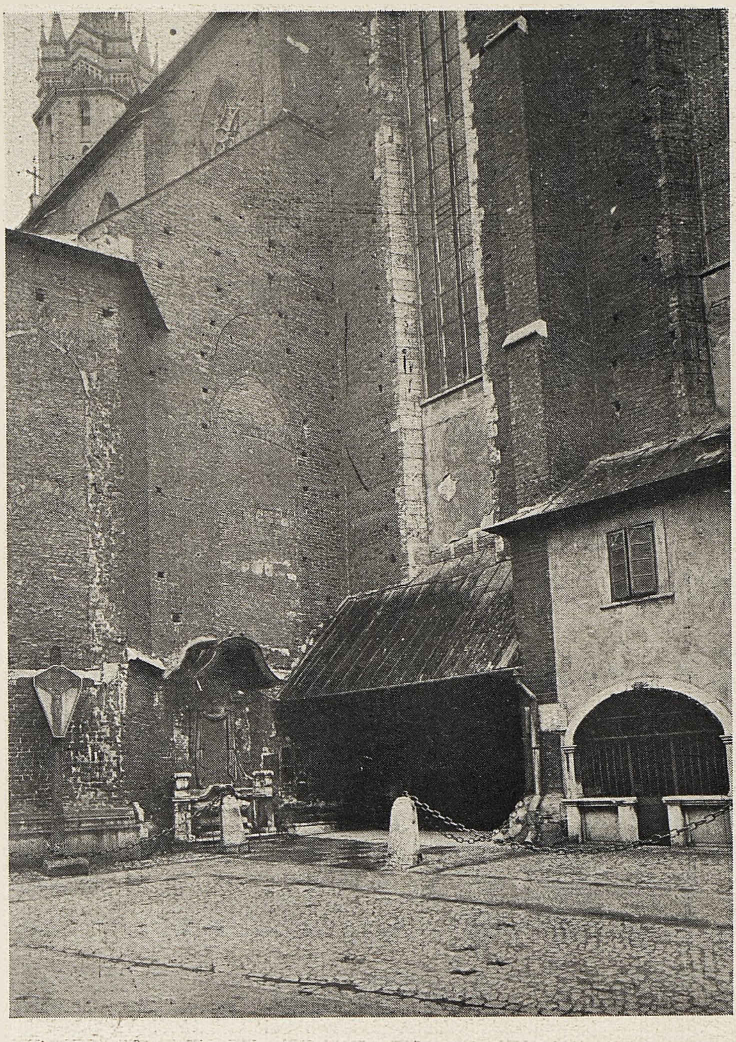
— — — — — — — — — — — —

Niełatwe zadanie stanęło przed restauratorami zamku. Z dawnych rysunków i obrazów, planów, fragmentów, a często z opisów tylko rekonstruować trzeba było wygląd całego wzgórza i poszczególnych części Wawelu. Liczne pożary, późniejsze przebudówki, umyślna ruina sprowadzona przez wojsko austrjackie, zatraciły w wielu miejscach dawny charakter zamku i tylko duża wiedza oraz żmudne badania dać mogły gwarancję, że wielkie dzieło odbudowy wskrzesi przepyszny pomnik historji, z którym żaden inny się równać nie może.

Pracy tej jął się początkowo architekt inż. Hendel, a potem wziął ją w swe ręce obecny kierownik odbudowy Wawelu architekt dr. Szyszko-Bohusz.

Projektów odbudowy było kilka. Pierwszy p. Hendla choć na ogół udatny, nie zgadzał się jednak w wielu szczegółach z dawnym charakterem zamku, zarzucono go więc w ciągu budowy i zastąpiono projektem p. Bohusza, przyjętym przez koła fachowe z niezwykłym aplauzem. —

Wielką oryginalnością odznacza się projekt „poety Wawelu" Stanisława Wyspiańskiego, który do wawelskiego tematu w dziełach swych ciągle powraca.



Fragment Kościola Marjackiego

Wyspiański chce widzieć na Wawelu Akropol i Panteon polski; w fantastycznym pomyśle swym daje na Wawelu miejsce Sejmowi, muzeum i mauzoleum polskiemu.

Na uwagę zasługuje też projekt artysty-rzeźbiarza Szymanowskiego, przedstawiający alegorję „Pochodu na Wawel".

Rzeźba ta odlana w nadnaturalnej wielkości, umieszczona na wysokości pierwszego piętra — na kolumnadzie — miała stanowić zamknięcie czwartego boku dziedzińca wawelskiego, gdzie znajdowały się kuchnie królewskie. Projekt ten wywołał żywą polemikę i znalazł wielu zwolenników; dopiero odkrycie w tem skrzydle pałacu, które musiałoby w razie przejścia projektu Szymanowskiego być zburzone, niezwykle ciekawej kaplicy św. Adaukta i Feliksa pogrzebało mylnie ten projekt. — i Feliksa pogrzebało zupełnie ten projekt. — Przyjęto projekt p. Bohusza, by przystosować

— Wawelski zamek szybko obecnie z ruiny się podnosi. Jeszcze p. Hendel pokrył dach nową, czerwoną dachówką, a obecne kierownictwo dokończyło już nader szczęśliwie odnowienia zewnętrznej fasady zamku. Umyślna patyna przydana wyprawie murów, podnosi wrażenie starej budowli, która królewskim zaiste majestatem góruje nad krakowskim grodem. Tylko deskami jeszcze zabite okna o niedokończonem przypominają dziele. Lecz i one znikną i setkę szyb w słońcu zabłysną.

Szczęśliwie odrestaurowano też krużganki 1 i 2 piętra okalające dziedziniec wawelski. Odkryte pod grubą warstwą tynku prześliczne freski pozwolą na historycznie wierne zrekonstruowanie tej części zamku. Mniej szybko postępuje odbudowa sal zamkowych, które po opuszczeniu ich przez załogę austrjacką przedstawiały istny obraz ruiny. Marmurowe oddrzwia, framugi okien i kominki zsiekane szablami, freski zamalowane wapnem, wymagają niezwykle zapobiegliwej a ostrożnej pracy, by z fragmentów tych nic nie uronić, tylko zachować je jako wzory przyszłej odbudowy.

Kilka fragmentów ocaliła zapobiegliwość oficerów-Polaków z armji austrjackiej, którzy bojąc się, by te arcydzieła sztuki nie padły jak inne pastwą wandalizmu — kazali je rozmyślnie zakryć lub pokryć tynkiem.

Dziś opustoszałe, rumowiskiem zasłane komnaty królów czekają na swą kolej, by wskrzesić zamarłą przeszłość i zajaśnieć marmurem oddrzwi i kominków, fresków wielobarwną tęczą — dębowych stropów potęgą. —

Lecz lata upłyną jeszcze, nim Polska najwspanialszą może na świecie królów rezydencją pochwalić się będzie mogła. — — —

Wiele już na Wawelu zrobiono, ale nierównie więcej do zrobienia pozostaje.

Dotychczas odnowiono zewnętrzną posadę zamku, przebudowano bramę wejściową i ozdobiono ją herbami, zniżono mury ochronne tak, że bez przeszkody napawać się można cudnym widokiem na Kraków i okolice aż hen — po Babią Górę i Tatry.

Uporządkowano też częściowo wały i otoczenie Wawelu, a u wnijścia umieszczono prowizorycznie pomnik Kościuszki.

Obecnie pracuje kierownictwo nad rekonstrukcją kaplicy św. Gereona, zaprowadzeniem centralnego ogrzewania i instalacji elektrycznej i wodociągowej. Wolno się jednak ta posuwa praca z braku środków finansowych.

Dalszem, równie ważnem zadaniem dla kierownictwa odbudowy Wawelu jest uporządkowanie wawelskiego wzgórza, gdzie stoją obecnie zniszczone i szpetne budynki poszpitalne postawione przez wojskowość austrjacką.

Projekt p. Szyszki-Bohusza domaga się tak ze względu na niemożliwość przebudowy i dostosowania do architektoniki całości Wawelu, jak też ze względu na otwarty widok na zamek — zburzenia wszystkich budynków poszpitalnych, a na uzyskanym placu przewiduje założenie Panteonu z miejscem na uroczystości narodowe i mauzoleum polskiego. Projekt ten choć przyjęty, nie prędko wejdzie jednak w stadjum realizacji, gdyż pociąga za sobą olbrzymie koszta usunięcia budynków i rumowiska.

Inne projekty dążą do przebudowy budynków poszpitalnych na muzeum narodowe i gmachy o przeznaczeniu kulturalnem.

Wracają też na Wawel, odzyskanie traktatem ryskim złupione przez Rosję bogactwa wawelskie. Między innemi kilkadziesiąt cudnych arsów cenną będzie ozdobą wawelskich komnat. Prace te wykonane na zamówienie króla Zygmunta Augusta w 1560 r. w Holandji przez długi czas zdobiły jeden z pałaców carskich.

Dzisiaj zmasakrowane wandalską, nie znającą się na wartości sztuki ręką w liczbie 82 dotychczas sprowadzonych do Polski, stanowią najbogatszą, bezcenną wprost kolekcję arasów na świecie. Osnute na jednolitych motywach biblijnych i zwierzęcych kompozycyjnym układem i doborem w wielu miejscach doskonale zachowanych barw stają się widokiem, do którego oczarowane oko z coraz większym pietyzmem dąży.

— — — — — — — — — — —

A teraz jedno jeszcze pytanie — czyim to sumptem wawelski wskrzesza się dwór? . . .

Po opuszczeniu Wawelu przez wojsko austrjackie zaczęto odbudowę z rocznych subwencji, udzielanych przez Wydział krajowy b. Galicji i z prywatnej szkatuły cesarza austrjackiego, oraz z niestałych a skąpo płynących darów prywatnych.

Po powstaniu państwa polskiego główne te źródła dochodów odpadły, a ponieważ młode państwo nie mogło odrazu wziąść na się tak kosztownego dzieła, zdawało się, że plan odbudowy chwilowej przynajmniej uledz musi zwłoce.

Wtedy wystąpił z niezwykle szczęśliwym projektem kierownik odbudowy Wawelu p. dr. Szyszko-Bohusz i nie oglądając się na pomoc rządową, zaapelował do znanej ofiarności polskiej. Nazwisko każdego, kto pokryje koszta robocizny jednego dnia, będzie wyryte na kamiennej cegiełce i wmurowane w mur długi obok wejścia.

Nie zawiódł się p. Bohusz na swym zbożnym projekcie. Apel jego odbił się szerokiem echem po całej Polsce i zewsząd napływać zaczęły ofiary tak ze strony jednostek, jak i zbiorowe, wśród których cegiełki od wojska prym dzierżą.

Do dnia dzisiejszego wpłacono około 6300 cegiełek.

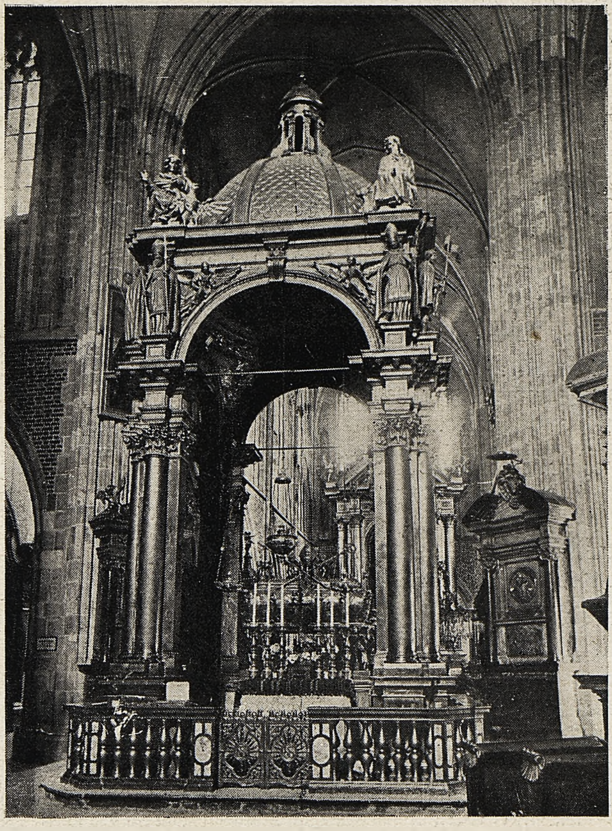
Obecnie jednak mimo przystępnej ceny 200 złotych za cegiełkę, napływ ich zmalał znacznie i w tym roku wyniósł zaledwie coś ponad sto.

Rząd wyznaczył wprawdzie na rok 1924 kredyt w wysokości 42 tysięcy złotych, ale z drugiej strony zażądał wpłaty do kasy skarbowej 60 procent dochodów z biletów wstępu do zamku i w ten sposób tę ofiarność swą zredukował właściwie do kilkunastu tysięcy.

Dochody z wstępów są też nieznaczne. Dlatego praca odbudowy żółwim idzie krokiem i długie jeszcze trwać może lata, biorąc jeszcze pod uwagę to, że przy połowicznej często zastanawianej pracy część wykonanych już robót niszczeje.



Fragment Kościola Św. Barbary



Grób św. Stanisława na Wawelu

Zaznaczyć należy, że kierownik odbudowy p. Szyszko-Bohusz bezinteresownie wkłada pracę w umiłowane swe dzieło.

Miljonów jeszcze trzeba będzie, by dawną królów siedzibę — królewską znów uczynić.

Kamienne oddrzwia, herby, to dzieło pracy kosztownej, bo kilkomiesięcznej często jednego robotnika-specjalisty, lecz przecie o skarb narodu tu idzie — a naród polski pamiątki swe czcić przecie umie — — —

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Królewskie zamczysko minionych dni błyskiem znowu porosło. — — —

Marmurowe kominki — w kryształnych żyrandolach świece — czekają jeno — by jako dawniej tysiącem rozbłysnąć migotów, — a w szybach lustrzanych stare . . . królewskie odbić purpury — — —

Oto w północną godzinę za kurów pierwszem pianiem — znów się zaludnią rycerskie komnaty korowodem długim — sławnym. —

W fal wiślanych plusku — Wandy postać blada — a przed Chrystem czarnym święta królowa krzyżem w rozterce się słania. — —

Wraz kute się otworzą — bramice — — — z dalekiej — hen — zwycięskiej wyprawy chrobre wracają króle. — — —

Za kura pierwszem pianiem obce — mocarne pokłonią się posły i o szczytne z Rzeczpospolitą poproszą przymierze. — — —

Znowu w tanach radosnych możne się ochocą pany — na ziemi rozległej wojewody liczne, kasztelany dumne — chwałą okryte . . . wyniosłe hetmany i te po ziemiach wszech rozgłośne, duszki przekorne. —

— Po trudach obożnych królewskie się raduje serce gwarem rozgłośnym, a z piwnic stuletnie . . . miodne idą antały — — —

Na arkadowym dziedzińcu w kopijnych igrzyskach młode się zetrą rycerze, boć przecie w pancernych zbroicach wawelskie chadzały pany — — —

A z wyżyn wieży „Zygmunt“ radosne . . . koronacyjne śle orędzie — boć dla Rzeczpospolitej nowa . . . złota znaczy się era. — — —

Hej — gwarno i radośnie dawniej bywało.

Trzeci już zapiał kur. — — —

Pusto i głucho w wawelskich komnatach, jeno się oczom stęsknionym złota przeszłość zamarzy — — — zamarłe przemkną, przeszybują zamkowe dzieje.



Kraków w nocy: Rondel

Aleksander Bolesław Cyps

Kraków w świetle ideałów literackich

(od pozytywistów do symbolistów)

Krwawe ślady roku 1863-4 przecięły jakby uderzeniem śmiertelnem kata na dłuższy czas ciągłość życia Warszawy i Wilna, Kraków stał się „ucieczką grzesznych". Nie tu miejsce malować sadzą czyny i wypadki, pomyłki i groźne konsekwencje fatalnego kroku dyplomatyki dyktatorów styczniowego powstania. Nie tu miejsce winić tę lub ową orjentację. Wszyscy byli winni, bo życie w niewoli jest zawsze, i musi tak być: chore, słabowite, nostalgiczne; do tego czar ideałów romantycznych był zbyt silny, by oprzeć się marzeniom a hołdować kalkulacji tam, gdzie życie staje się coraz więcej nieznośne, tragiczne, gdzie wszelka myśl zdrowa zamiera i zagłuszona jest jękiem niewolnika, krwią młodzieży, przekleństwem, że się jest pogardzanym, oszukiwanym, że się jest igraszką religji, narodowości i losu Tej, która mieniła się być Córą Boga a Siostrą Ukrzyżowanego, że się jest — Polakiem! Jak Mickiewicz powiedział: wtenczas i Rozpacz załamuje ręce...!

Kim dla Polski i Krakowa Szujski? Nie łatwo go ocenić: poeta, badacz, polityk, dramaturg, krytyk, marzyciel, moralizator-kaznodzieja... wszystko mało, by ocenić człowieka: człowiek pracy gigantycznej i ogrom żywotności, poeta czynu i tyran dusz — tytan krakowski! Bez Szujskiego nie możnaby dać Polsce Wyspiańskiego. Szujski nadewszystko — to Stańczyk. Wielkie niegdyś słowo i magiczne. Stańczyk - to znaczyło człowiek logiki, porządku, praworządności etycznej, surowy dla siebie i narodu, człowiek silnej ręki i pokory, gdy



Wieża ratuszowa

idzie o obowiązek — Stańczyk, to tragiczny człowiek śród wszechwładnie rozpanoszonej głupoty krzykliwego i etykietalnego szowinizmu zw. przez Lama pogardliwie „lwowskiej tromtatracji narodowej“, Stańczyk, to wróg historji, spazmu, mody, warjactwa i psychologji demokratyczno-trzodowego tłumu demagogji grających na nerwach hiper-patrjotów! — Wreszcie Kalinka. Ksiądz-historyk o umyśle nader jasnym, szerokowładającym tem co zdobył i przemyślał, twórca „Polityki dworu austrjackiego wobec Konstytucji 3-go maja“, „Sejmu czteroletniego“, „Galicji i Krakowa“. Wyżej wymienieni organizatorzy życia umysłowego w Krakowie to razem wodzowie wytrawnego słowa, pięknego, krasomówczego gestu, cnót organizatorskich w dobie rozbitych na złomy ideałów romantycznych. Myśl ich znalazła wytrawny styl przypominający epokę ks. Skargi. Za nimi kroczy u stóp Wawelu legjon: Piekosiński, Wojciechowski, Liskę, Kytwiński, Szmitt, Zakrzewski, Balcer, Semkowic, Ulanowski, Finkiel, Bobrzyński, Kubala, Lewicki, Smolka i Abraham.

Na tle tej epoki występuje Adam Asnyk. Pierwociny swoje otrzymały pseudonim: El...y Stożek. Talent swój związał z Krakowem; choć pozytywista ma liryzm epigona romantyzmu. Żyje w odmiennych warunkach, dlatego i jego ideały obniżyły się. Słyszał wołania publiczności po r. 1863: „Niech chcemy wrzasku szalonych derwiszy“... „co upojeni narkotycznym trunkiem kręcą się w kółko bez tchu i pamięci i myślą, że to cały świat się kręci. Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju ukazywały nową piękną stronę, któreby naprzód biegły w każdym boju, pokrzepiać serca słabe lub zmęczone.“ Poeta znalazł modus vivendi.

Potrzeba śmiać się więc narówni z wami,
I razem z wami nad przepaścią pląsać,
Potrzeba kryć się ze swojemi łzami,
I z własnych uczuć głośno się natrząsać,
Karmić się codzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
Potrzeba śmiać się... śmiać się i umierać,

By rzeczywistość nie skrzeczała, Asnyk uciekał w Tatry i tam krzepił ducha, unosił się marzeniem.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący watr
I ciemne chmury pędzi.
Nie widzi nic — błękitów tło
I całe widnokręgi
Zesnute w cień, zalane mgłą,
Porżnięte deszczem w pręgi.

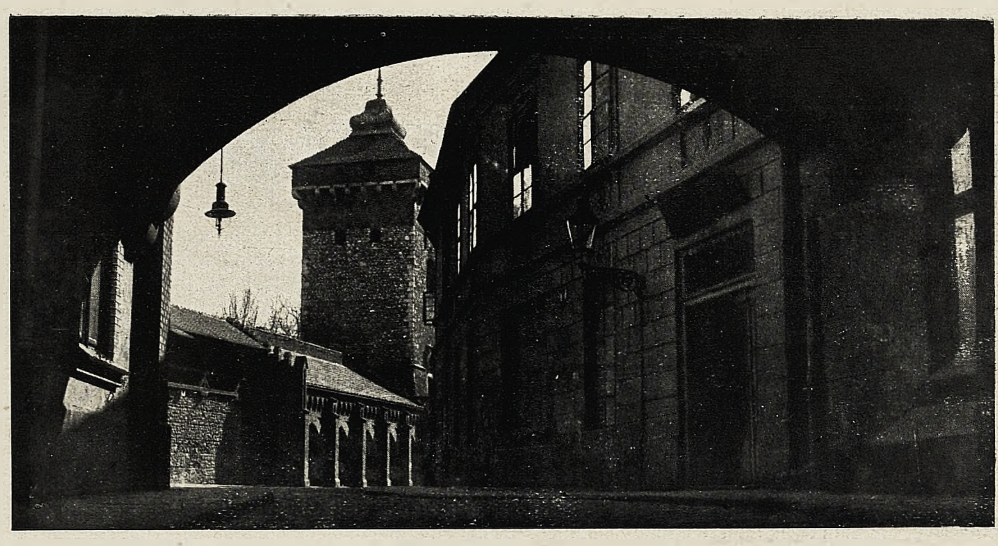
Tak perełkowa muza zawiesiła tęczę nad murami Krakowa, hen, po Zakopane! Światło, kolory, kojarzenie uczuć i filigranowość ustek zmiennych serduszek panieńskich: oto przejście zarazem epigonizmu do preromantyzmu symbolicznego, może, jak chciał Feldman, do... neoromantyzmu!

Drugim ulubieńcem Krakowa — to Bałucki. Jak Orzeszkowa, tak i Bałucki należał do pokolenia entuzjastów wobec idei humanitarnej. Malarzem jest mieszczaństwa, dobrobyt jest ideałem. Potrąca sprawę żydowską np. Żydówka. Szuka Bałucki ludzi „szlachetnych“, „dobrodusznych“ i „sprawiedliwych“. Kocha powieściopisarz księży postępowych. (Siostrzenica księdza proboszcza). Sympatją cieszą się u autora „Byle wyżej“ szewcy i krawcy na niekorzyść książąt i hrabiątek. Może jest tu Bałucki jednostronny malując demokratów dodatnio, czerniąc nad wszystko Kraków.

Ale jest to jego punkt widzenia!

Kraków znał, scenę opanował, publiczność zdobył, był człowiekiem teatru.

Pozytywizm się jednak zestarał, choć głębsze on miał walory w Krakowie jak w Warszawie. Jako kierunek społeczny i literacki nie ulegał on w Krakowie tylko hasłom postępu, nie wielbił tylko wiedzy, nie mówił tylko o użyteczności, nie sławił masy, gromady społecznej, nie szukał tylko placówek kresowych, nie był bezwyznaniowym, nie gonił za pieniądzem jak to wszystko głosiła Warszawa z Święto-



Muzeum Czartoryskich

chowskim. Ale „Młodzi" uderzyli w inny punkt słabej obrony, mianowicie w rządy klerykalizmu austrjackiego (Kniaź Puzyna), w suchy krytycyzm bez polotu i syntezy filozoficznej oraz w rządy towarzystwa wzajemnej adoracji (protekcjonalizmu i biurokratyzmu). Na czele ruchu „Młodych" stanął Stanisław Przybyszewski, za nim Wyspiański, Tetmajer, Jasiński i in. Walka rozpoczęła się w murach Uniwersytetu, Akademji Sztuk Pięknych, w prasie toczyła się przy stolikach w kawiarni „pod pawiem". W chwili, gdy młodzież ibsenizowała się, obalając pięścią moralistów starego typu, nietscheanizowała się i ulegała czarom Wilde'go Szujski w todze rektorskiej głosił, że: filozofja powinna dzisiaj być świecką siostrą teologji, wykazującą drogę rozumu i natchnienia to, co dotąd na drodze czystego rozumu obala, powinna badać hygienę ducha jako naukę wskazującą przepisy zdrowia ducha. To nie wystarczało już Młodym, śmiano się z takiej propedentyki gimnastyki społeczno - mentorskiej.

Przybyszewski rzucił hasło: sztuka to absolut, artysta to mag, celem twórczości to świat Nagiej Duszy.

Wyspiański głosił wrogom, że wizją wskrzesi dramat Piastowiczów, a

Chłop mnie na swoją hetkę nie przerobi,
Magnat nie będzie w nawie sztuk sternikiem.

Górski w „Monsalwacie" zbudował chłodem „nowego" Mickiewicza. I tak ławą symboliści rzucili się na starych. Sztukę wyemancypowali krakowscy artyści ze Stanisławskim, Fałatem, Mehoferem, Podkowińskim i Kurzawą. Warszawie zawtórowano z tam „życia" krak. „Rozum, wiara, talent, praca u ns, bratku, nie popłaci! Postęp i cywilizacja w kąt gdzie wchotyzm pokonały wreszcie swojszczyznę i tramdzi do gry racja!" Ale „Naga Dusza" i absolutadrację domorosłych pismaków.

Warszawa, która wypowiedziała walkę Rosji, stratowana, skopana, rozbita doszczętnie — omdlała i usta miała cenzurą zamknięte. Wtenczas duch zbiorowy odnalazł ujście w grodzie podwawelskim. Wojna wyludniła Warszawę, wojna Kraków zapełniła uchodźcami. I tu był warsztat pracy dnia codziennego, o czem marzyć nie można było na emigracji. Po katorgach rosyjskich wolność konstytucyjna Krakowa wydała się rajem. Towarzystwo



Brama Florjański

Naukowe (1857), późniejsza słynna i chwalebna na Polskę całą Akademja Umiejętności, katedra polska (pierwsza) na Wszechnicy Jagiellońskiej i od r. 1860 pierwsze publikacje roczników Akademji były rękojmią, że Kraków może być jedynem miastem umysłowej pracy, konkretnej, bo zachodnio-europejskiej wiedzy „ludzi czynu i światowego umysłu". W r. 1866 widzi się spolszczenie wszystkich katedr, rozwój instytucyj autonomicznych, mozolną pracę ludzi dobrej i silnej woli, gigantów tworzących przyszłość. W ognisku takiej pracy hartowały się indywidualności, krystalizowały się „fachowi ludzi".

Niestety za skromny jest Kraków, by chwalić się tym zastępem zaledwie nieco znanych mężów...! Najkulturalniej wystąpiła na czoło wiedzy: historja. Nazwiska ich to: Szajnocha, Kalinka, Szujski, Hekel, Tarnowski, Siemieński, Bielawski i in. Z teoretyków estetyki rzucają się na pierwsze miejsce: Kremer i Klaczko. Powieść historyczna ma reprezentanta w osobie — Kaczkowskiego. Sztuki plastyczne szczycą się Grottgerem, Kossakiem, Matejką. Liryka ówczesnej doby ma w Krakowie historyczny wątek, czy to w eposie, czy w dramacie.

Historja ma w Krakowie okres swego prometeizmu, dzięki wszechpotężnemu żywiołowi liryki. Był to cud — objawienie nad nurtami Wisły, u stóp Wawelu. Trup po klęskach warszawskich w Krakowie cudownie ożył, zmartwychwstał! Praca historyków krakowskich znalazła w wiedzy wzajemność, przyjaźń i wspólnotę ideową, co przeniosło się na pole literatury, sztuki, teatru, dziennikarstwa, życia publicznego, Kościoła, szkoły i polityki. Wzajemność jest i w tem, że jedno z drugiego bierze początek, i tak: bez Szujskiego nie byłoby Matejki, bez Szajnochy i Kubali — Sienkiewicza i t. d.

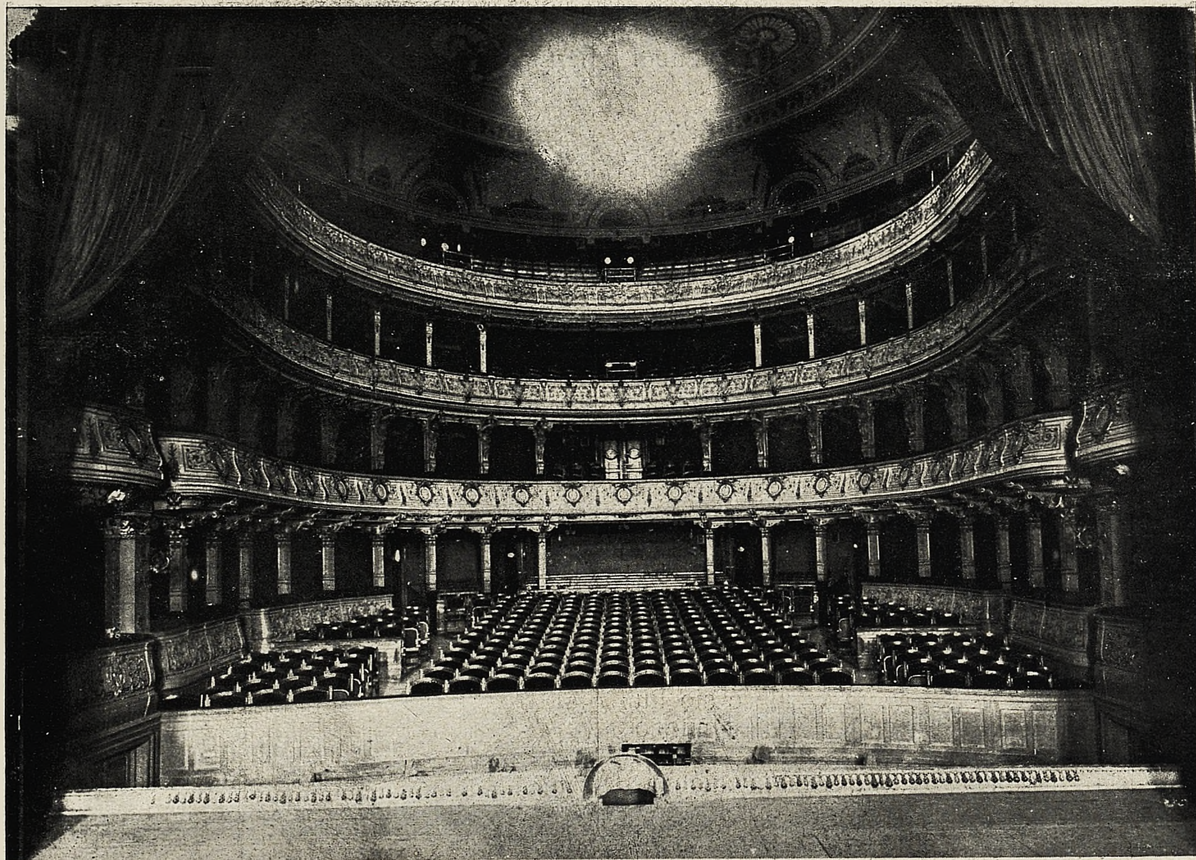
A jednak Kraków zrewidował romantyzm historjozoficzny, przefiltrował hasła uczuciowców, zwrócił wiedzę na drogę racjonalnej krytyki, umiaru, powagi i benedyktyńskiej pracy fundatorów „szkoły historycznej". Sprzyjały temu swoboda badań, archiwa- muzea, zabytki i lekcja moralności wynikająca z rozczarowania po „przegranej".

Szajnocha wystawia szereg spiżowych pomników osobom historycznym. „Bolesław Chrobry", „Święta Kinga", „Powieść o niewoli na Wschodzie", „Urazy królewiąt polskich", „Walgierz Wdały", „Jadwiga i Jagiełło", „Dwa lata dziejów naszych" i in. — oto gobeliny historyczne, godne zdobić zamek królewski pamiątek narodowych i wartościowych jakościowo bez lirycznego sentymentu. Hekel, Maczkowski, Bielowski gruntują materjały (Monumenta Poloniae historica). Szmit zasila pisma perjodyczne strawą historyczną. Kalinka i Szujski budują „metodę", „światopogląd historyki" oraz nader wszechstronnie podany „materjał". Do nich dochodzi jedno jeno nazwisko publicysty — Pawła Popiela.

Józef Szujski daje macaulayowski przewodnik po muzeum historycznych pamiątek. „Cecora i Chocim", Tadeusz Reytan", „Trzecia żona Zygmunta Augusta", „Sejmy za Zygmunta Augusta", Odrodzenie i Reformacja" i in. — oto pomniki pracy Szujskiego!



Wieża Florjańska



Widownia Teatru Miejskiego w Krakowie

Dr. Tadeusz Świątek

TEATR MIEJSKI W KRAKOWIE IM. JULJUSZA SŁOWACKIEGO

Teatr miejski w 25-letnią rocznicę otwarcia nowego gmachu przy ul. św. Ducha przybrał sobie za patrona arcytwórcę polskiego dramatu, Juljusza Słowackiego, i pod temi auspicjami rozwija się w ostatnich latach bardzo pomyślnie, snując nić świetnej tradycji pierwszej sceny literackiej w Polsce. Teatr miej. osiadł w nowym budynku w r. 1893 i prowadzony był aż do wybuchu wojny na zasadzie dzierżawy, która pozostawała w wytrawnych rękach znakomitych znawców i praktyków sceny: Tadeusza Pawlikowskiego, Józefa Kotarbińskiego i Ludwika Solskiego. Trudności gospodarcze i administracyjne, które wyłoniły się w okresie wojny i w czasie powojennym, skłoniły gminę do wzięcia całego ryzyka prowadzenia teatru na siebie i 10 lat tego regimu nietylko nie wpłynęły na osłabienie wysokich aspiracyj sceny krakowskiej, lecz przeciwnie, są to lata wzmożonej pracy artystycznej, która pochlubić się może za dyrekcji Siedleckiego i Trzcińskiego świetnemi rezultatami.

Twórcą gmachu jest wybitny architekt krakowski Jan Zawiejski. Jest to jeden z najpięk-



Dr. T. Świątek, kierownik literacki

doskonały w kompozycji i proporcjach, łączący pełne smaku zalety estetyczne z ekonomicznem niejszych przybytków teatralnych polskich, wyzyskaniem przestrzeni i uwzględnieniem potrzeb sceny i widowni. Gmach utrzymany jest w bogatym renesansie, zdobnym malowidłami pompejańskiemi w foyer. Wnętrze daje pomieszczenie 900 osobom i odznacza się celowem wyzyskaniem przestrzeni bez szkody dla estetycznego widoku i wygody audytorjum. Kurtyna Siemiradzkiego, mistrza sztuki dekoracyjnej, zawisła w gmachu teatru w nast. roku po jego otwarciu, jako bezinteresowny dar znakomitego artysty. Jest to kompozycja allegoryczna, dająca w 4 grupach figury związane z istotą dramatu i sztuki teatralnej. W grupie środkowej oglądamy Natchnienie, kojarzące Piękno z Prawdą, w grupie po stronie lewej tłoczą się widma i furje, bóstwa dobra i zła, nad któremi załamuje ręce uosobiona Tragedja. Na planie pierwszym Komedja przygląda się z uśmiechem uciesznym figurkom, które potrząsa przed nią Trefniś; po stronie prawej Psyche uwalnia się z więzów zmysłowości, usiłując za Muzyką i Śpiewem wznieść się ku niebu. Trudności konserwacji tego cennego dzieła skłoniły w ostatnich czasach gminę do zaciągnięcia opinji rzeczoznawców, jak uchronić tę ozdobę teatru od szkodliwych wpływów otoczenia. Postanowiono narazie pozostawić kurtynę w jej pierwotnem miejscu przeznaczenia; gdyby jednak przedsięwzięte środki kon-



Wejście główne



Wejście do lóż i na Foyer

serwacji nie odnosiły pożądanego skutku, postanowiono przenieść kurtynę do odpowiednio na ten cel zaprojektowanej sali przyszłego, mającego stanąć gmachu Muzeum Narodowego.

Teatr im. Słowackiego nosi na frontonie napis: „Kraków narodowej sztuce“. Jakoż wierny temu hasłu stał się on przybytkiem rodzimej literatury dramatycznej, wcielając w kształt sceniczny także te utwory romantycznej poezji polskiej, które uważane były kiedyś za niesceniczne. Statystyka przedstawień, którą w przejrzystym grafikonie oglądać można było w Pawilonie miast na tegorocznych Targach poznańskich, wykazuje stały przyrost twórczości rodzimej w stosunku do dramatu obcego. Tendencja ta przybrała zwłaszcza na sile za dyrekcji Adama Grzymały-Siedleckiego, który zapoczątkował nowy kurs retrospektywnego repertuaru polskiego, zwłaszcza komedji polskiej od Niemcewicza począwszy, z Fredrą jako punktem centralnym, odkrywając w tym repertuarze niezawodne znamiona żywotności, inscenizując na nowo arcydzieła poezji polskiej oraz popierając szeroko polską twórczość współczesną. Kurs ten kontynuowany jest również konsekwentnie za dyrekcji Teofila Trzcińskiego i wyraża się między innemi uznana w całej prasie inicjatywą w zakresie nowości polskich, śmiałem wprowadzaniem młodych nazwisk i wznawianiem w każdym sezonie jednego chociażby arcydzieła Słowackiego i Wyspiańskiego w nowej inscenizacji.



Fot. J. Kuczyński

Foyer Teatru Im. Słowackiego w Krakowie



F. Trzciński
Dyrektor Teatru



E. Żmijewska
Heroina



W. Szymborski
Weteran sceny Krakowskiej

Olbrzymie dramatyczne i teatralne walory Słowackiego na tej dopiero scenie zostały w ostatnich 30-tu latach formalnie odkryte. Kotarbiński pierwszy obalił przesąd o niesceniczności arcydzieł takich, jak „Złota czaszka", „Kordjan", „Sen srebrny Salomei", „Ksiądz Marek". W latach następnych wkroczyły na scenę poematy: „Zawisza Czarny", „Książe niezłomny", „Nowa Dejanira", „Beatrix Cenci". Po tych rewelacyjnych aktach „odnajdywania" Słowackiego wypróbowane te sukcesy przeniosły się dopiero na inne sceny polskie. Ogółem 13 dzieł Słowackiego zajęło 354 przedstawien, ponieważ z wyjątkiem 2 lat wojennych nie było ani jednego, bez choć paru dzieł Juljusza. W ostatnim sezonie „Kordjan" ujrzał światło kinkietów w nowej koncepcji reżyserskiej Trzcińskiego, uwzględniającej bez skrótu cały psychologiczny rozwój bohatera, t. zn. malujący po raz pierwszy właściwe intencje poematu. — Obok Słowackiego drugim „domowym" poetą teatru krakowskiego jest Wyspiański. Prawdę mówiąc poza teatrem krakowskim autor „Wesela" jest wielkością — nieznaną. Smutno to powiedzieć, ale nigdzie w Polsce, tylko w Krakowie żyje tradycja pierwszych, przez poetę kierowanych wcieleń jego arcytworów, przez tę scenę przeszły wszystkie prawie wizje Wyspiańskiego i tutaj tylko utrzymują się w żelaznym repertuarze. Teatr krakowski posiada makiety, rysowane ręką poety, kostjumy do „Bolesława Śmiałego", malowane jego pędzlem egzemplarze z jego skrótami i reżyserskiemi uwagami. Wobec takich źródłowych wska-



K. Bednarzewska



M. Jednowski
Reżyser główny



H. Klońska-Sauerowa

zań na nic się zdadzą tu i ówdzie pojawiające się błyski inowacji, które okazują się nie czem innym, jak fałszowaniem stylu Wyspiańskiego. Ostatnio n. p. próbowano w Warszawie pojąć „Wesele“ jako „plotkę“, ale próba ta uwieńczyła się też pełnem niepowodzeniem. Tymczasem wznowienia Wyspiańskiego w Krakowie — w bieżącym sezonie „Legjon“ — są zawsze zdarzeniem uroczystem a zarazem sukcesowem. Począwszy od „Warszawianki“ w r. 1898 a kończąc na „Klątwie“ w 1920, dziesięć sztuk wielkiego poety przeszło przez scenę krakowską. Gdy urzeczywistni się projektowana przez dyr. Trzcińskiego w przyszłym sezonie reprezentacja „Akropolis“, wtedy cykl scenicznych wcieleń Wyspiańskiego będzie zamknięty. Tu, u źródła jego kultu, musi też oglądać poetę, kto chce poznać nieprzemijający czar tego arcyteatralnego wizjonera.



H. Bednarska
z najmłodszych talentów

Pamiętać również trzeba, że na tej scenie rodził się cały niemal współczesny dramat polski; tu witano renesans poezji w okresie Młodej Polski w osobach zdobywających w tym teatrze laury pierwszych sukcesów pisarzy, o tak świetnych nazwiskach jak: Zapolska, Kisielewski, Przybyszewski, Rydel, Żuławski, Staff, Kasprowicz, Szukiewicz i i. Dlatego to pod opiekuńcze skrzydła teatru krakowskiego chronią się też dzisiaj najmłodsze talenty pisarskie polskie, znajdując zwłaszcza w obecnym



Jubilat Solski w swej dawnej garderobie. Zdjęcie zrobione specjalnie dla „Giewontu“.



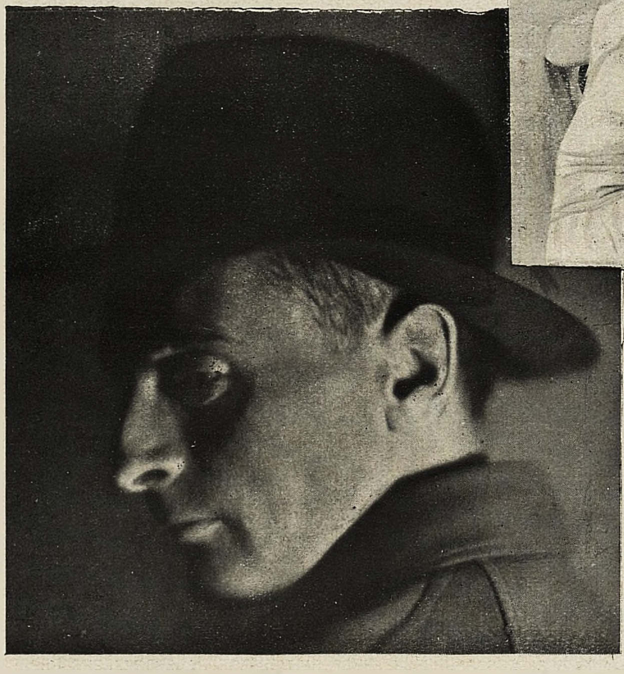
Słynna ściana w garderobie L. Solskiego
pokryta aforyzmami i portretami mistrzów sztuki i literatury. zdj. specj. dla Giewontu

dyrektorze orędownika pełnego zrozumienia i entuzjazmu. W ciągu 7-letniej swej działalności pozwolił Trzciński debiutować pisarzom, którzy dziś dobrze służą teatrowi polskiemu: Katerwa, Zegadłowicz, Czyżowski, Witkiewicz, Galica, Hulewicz, Wandurski. Za jego dyrekcji przesunął się przez scenę cały Rittner, nie wyłączając utworów pośmiertnych. Równocześnie pilnie obserwowano, cokolwiek doniosłego pojawiło się na horyzoncie twórczości obcej. Jak ongiś za dyrekcji Pawlikowskiego wszystko, o czem świat inteligentny dysputował i co młodzież fascynowało, pojawiało się równocześnie na scenie krakowskiej: Ibsen, Hauptmann, Becque, Curel, weryści włoscy, cały rodzący się wówczas modernizm europejski, — tak w ostatnich latach za dyrekcji Trzcińskiego pojawiały się poraz pierwszy na afiszu nazwiska powojennej twórczości Europy: Pirandello, Jewreinow, Kaiser, Benelli, Jensen, Claudel, Rosso di San Secondo, nieznane utwory Strindberga, Wedekinda i innych. W tych podróżach odkrywczych po własnych i obcych lądach twórczości jest współpracownikiem dyrekcji każdorazowy jej dramaturg i kierownik literacki. Stanowisko to, zajmowane ongiś przez wybitnych literatów: L. Rydla, A. Grz. Siedleckiego i K. Rakowskiego, piastuje obecnie niżej podpisany, redagując też jako organ teatru „Listy z teatru“, rodzaj rozumowanego programu, który towarzyszy ważniejszym zdarzeniom repertuaru.

Reformatorski prąd teatralny, historycznie to swierdzić trzeba, wyszedł również ze sceny



Teatr w roku 1914
zajęty przez wojska w czasie wojny





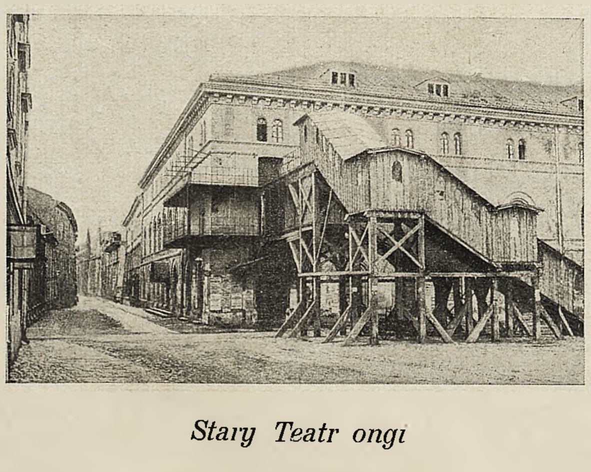


T. Białkowski *St. Mazarakówna* *Al. Szymański*

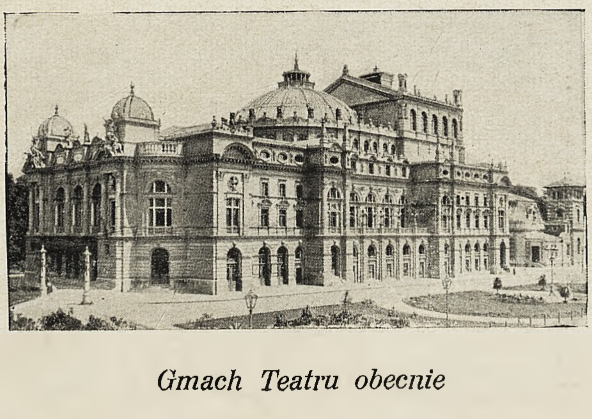
krakowskiej, zanim reformy te w świetniejszym wyrazie objęły inne sceny, zwłaszcza Teatr Polski Szyfmana. Z nazwiskiem Ludwika Solskiego, którego goscinę entuzjastycznie witaliśmy właśnie w ubiegłych miesiącach, złączone są u nas pierwsze próby nowatorstw scenicznych w zakresie plastyki scenicznej, oświetlenia etc. Od czasów Solskiego zaczyna się mówić o malarzu na scenie.

Obok sumiennego majstra kunsztu dekoracyjnego, jakim był Jan Spitzjar, weszły też do teatru nazwiska: Karola Frycza i Franciszka Siedleckiego. Staroświecko urządzona scena krakowska dzięki ich inwencji przeobrażała się wówczas w duchu nowych haseł inscenizacyjnych, które w realizacji scenicznej chcą zamiast popisu gwiazd widzieć ożywiony jedną myślą zespół wszystkich dostępnych scenie środków ekspresji. Nazwisko Karola Frycza widnieje dziś obok Winc. Drabika na czele twórców teatralnej sztuki dekoracyjnej. Po nim pracowali w tym zakresie pp. Wierciak i Iwo Gall, a w obecnym sezonie młody dekorator Feliks Krassowski złożył też dowody dużej pomysłowości zarówno w projektach do „Zaczarowanego koła“, jak zwłaszcza „Zwiastowania“ Claudela.

Że teatr krakowski jest pepinierą talentów aktorskich, to wiadomo powszechnie, bo wskazują na to nazwiska pierwszych aktorów warszawskich, którzy wyszli niemal wszyscy ze szkoły krakowskiej. Od najdawniejszych czasów szły stąd wszelkie sławy aktorskie w świat szerszy polski. Modrzejewska, Rapacki, Żela-



Stary Teatr ongi



Gmach Teatru obecnie



St. Wysocka

go talentu, wcielając się z równem powodzeniem w kreacje wybitnie charakterystyczne jak konwersacyjne-salonowe. Z młodszych sił kobiecych żywą sympatją publiczności niezwykłym wdziękiem i urodą, cieszy się St. Mazarakówna, obecnie już w Warszawie.

Odtwórczynią wytwornych dam starszego pokolenia jest p. Ada Kosmowska. Najmłodszemi adeptkami kobiecego zespołu są pp.: Bednarska, Śniadecka i Zaklicka. Panowie T. Białkowski i A. Szymański dzierżą stanowiska „pierwszych kochanków", p. Z. Chmielewski, doskonały zwłaszcza w repertuarze rosyjskim, i p. Leliwa, ciepły komik, dobrze czujący styl fredrowski, są czynnymi nabytkami ostatniego sezonu. Pomyślnie rozwija się wszechstronny talent p. A. Sochy i p. W. Krasnowieckiego oraz młodych wychowańków „Reduty": pp. Knobelsdorfa, Modrzejewskiego i Zawistowskiego.

P. R. Obecny sezon pozbawił niestety scenę krakowską wielu wybitnych talentów, które jak zwykle zabrała Warszawa i tak p. Stanisława Mazarakówna święci tryumfy na scenach warszawskich również pp. Szymański, Białkowski i inni.

Jest to już przeznaczeniem teatru krakowskiego być pepinierą talentów. Niemniej Czytelnicy Krakowskiego „Giewontu" z przyjemnością zobaczą zapewne fotografje swych ulubieńców i z ubiegłego sezonu.

zowski, Wojdałowicz, Roland, Frenkel, Tekla Trapszo, Siemiaszkowa, Przybyłko, Ordon-Sosnowska, Paliński, Solski, Śliwicki, Knake-Zawadzki, Józef Węgrzyn, Zelwerowicz, Jerzy Leszczyński, Junosza Stępowski, — niesposób wymienić wszystkich. Do licznych odznak honorowych naszej sceny przybywa i ta nienajpodlejsza, że jest zbiornicą sił aktorskich, rezerwoarem, skąd pełną dłonią czerpią kierownicy scen innych. Dlatego też w zespole dzisiejszym przeważają siły młode, dojrzewające pod doskonałym reżyserskim kierunkiem dyr. Trzcińskiego. Wśród starej gwardji, nawiązującej nić łączności między dawnemi a nowemi laty, przywodzą: zawsze niezawodna w rolach salonowych i konwersacyjnych p. Konstancja Bednarzewska, oraz jubilat, świetny odtwórca ról charakterystycznych i koturnowych wielkiego repertuaru p. Marjan Jednowski. Osobne honorowe miejsce zajmuje p. Stanisława Wysocka, ostatnia z pokolenia wielkich tragiczek polskich, która powróciwszy przed dwu laty na scenę krakowską, rozwija tu nader chwalebną działalność zarówno aktorską, jak i reżysersko-wychowawczą. Sympatycznym odtwórcą postaci kontuszowych jest p. Wacław Szymborski, w rolach chłopskich p. W. Miarczyński. P. A.Klońska-Sauerowa zadziwia niezwykłą szerokością skali swe-



Irena Solska



Karol Adwentowicz jako Hamlet Fot. J. Kuczyński.



Widok Krakowa

KRAKÓW

Jak to łatwo napisać — „Kraków dzisiejszy“. Stokroć trudniej napisać o dzisiejszym Krakowie.

Bo jakimże jest w dobie powojennej gród wawelski?

Powiedzmy otwarcie, jest śpiący, o ile zgoła nie zasnął na dobre!

Złośliwi twierdzą, że nigdy może, co godzina rozbrzmiewający hejnał z wieży Marjackiej nie był tak potrzebnym, jak obecnie. Budzi bowiem zacnych krakowian co godzina z nieustannej drzemki, inaczej niby owi legendarni rycerze „Giewontu“ zasnęli by snem kamiennym.



Rynek

Prawda, niestety, Kraków jeżeli jeszcze nie śpi, to drzemie całą parą, jeżeli się tak wyrazić można.

Jak w zaczarowanem grodziszcu baśni Andersenowskiej, śpią domy, śpią ulice, mieszkańcy, drzewa na plantach, urzędnicy w biurach, śpi inicjatywa, śpią talenty, śpią snem sprawiedliwych nawet niesprawiedliwi, śpią zegary, śpią instytucje, śpią zabytki, stragany, przekupki, konie dorożkarskie, hotelarze, restauratorzy, krawcy, szewcy, kupcy po sklepach, sklepy, panny przy kasach, maszynach do pisania, w magazynach, nawet na dancingu panna z krwi i kości krakowianka, uważa za wskazane i za objaw dobrego tonu, spać z otwartemi oczyma, kręcąc się anemicznie w rytm także tu śpiąco-anemicznego jazzbandu!

Wszystko śpi!



Plac Szczepański

Nie śpi jedynie — wiecznie ruchliwa plotka, nie śpi niechęć do warszawistów, nie śpią poszczególni dyrektorzy banków, różni dostawcy, ażjoterzy, meklerzy, słowem czarna giełda.

Czuwa strażak na wieży Marjackiej, policja, wojsko, „Kurjer Ilustrowany“, uniwersytet i Bisanc z Wołkowskim

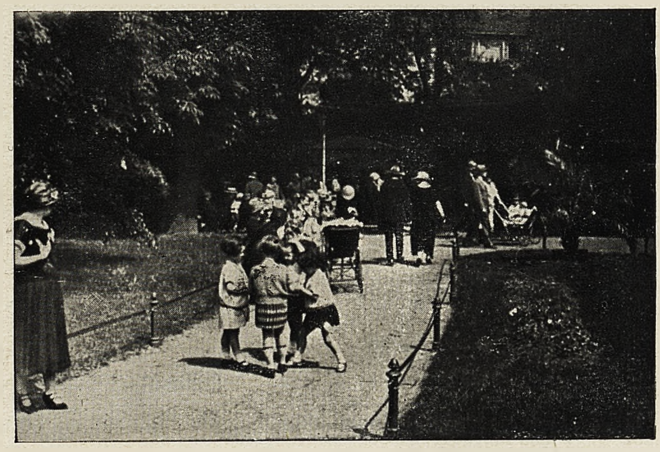
DZIŚ......



Sukiennice i wieża ratuszowa

A jednak i ta ogólna śpiączka jakby przez muchę „tse tse“ pokąsanych obywateli ma swój urok, przedziwnie harmonizuje z patyną dachów i murów, w nieuchwytnym zda się krążącem w powietrzu szelestem prawieków, i nadaje głęboki akord przedziwnej harmonji Krakowa.

Przyjezdny, który raz pierwszy zjawi się w Krakowie, gdyby był nawet zażartym busnesmanem, staje nagle na ulicach Krakowa, opanowany niesamowitym z głębin najskrytszej jaźni dobytym dreszczykiem. Rozejrzał się po Rynku, spojrzał na fasadę Marjackiej Świątyni, zawadził okiem o wieżę ratuszową, przystanął, przetarł czoło i nagle wściekły busnesman-dolarowiec, paskarz z krwi i kości, zapomniał o walucie, o wagonach z krochmalem, dostawach południowych owoców, cementu, skór — słowem nie śmiejcie się państwo — zahypnotyzowany urokiem miasta — już śpi!



Na plantach

I oto przed oczyma duszy, pozbawionego duszy gentlemana (nigdy o czemś podobnem nie słyszał) nagle zaczyna się rozwijać przedziwny film.

Przybysz, rozpędzony w stronę giełdy, nagle zawraca jak w śnie lunatycznym i zaczyna błądzić po Krakowie. Z ulicy w ulicę, z uliczki pod jakieś arkady, place, bramy o przedziwnych sklepieniach, wzgórza, schody, aż staje nagle przeniesiony z śródmieścia, niewiedzieć kiedy i jak nad szarą wstęgą Wisły do stóp, jakby z baśni wyczarowanego zamczyska.



Dwie Marysie — spotkały się

Bezradnie rozgląda się w koło . . . — W tem hejnał! — Zegarek —, łap za głowę, i kłusem ku giełdzie.

Obudził się!

To jest Kraków. —



Zimowy ranek

I cóż się dziwić stałym mieszkańcom Krakowa, że ukołysani wieków carillonem śpią jak u Pana Boga za piecem.

Może to i dobrze!

Napisać feljeton o dzisiejszym Krakowie? Dzisiejszy Kraków!?

Nie ma go! —

Jednak najłatwiej podobno pisać o tem czego niema? —

A więc spróbujmy.

Kraków kipi, wre życiem!

Na ulicach auta wszelkiego typu i marki, suną nieprzerwanym korowodem, w sklepach i magazynach pracownicy nie mogą nastarczyć wszelkiej narodowości klientom. Kraków stał bo się miejscem wędrówki narodów.

Nareszcie zwiedzieli się anglicy i amerykanie, jakie skarby zabytków i pamiątek gród wawelski kryje. Ale trzeba przyznać, że i miasto samo a raczej jego mieszkańcy szybko zorjentowali się w sytuacji.

Grzeczna uprzejmość personelu sklepów, biur i urzędów, ożywienie, ruch gwar zapanowały w całem mieście.

Nie słychać już przestarzałego i mocno wiedeńskim burgiem trącącego „Całuje rączki" — broń Boże!

„Good bay" — „Morning" — „Bon jour" — „Come stato signore" wieża babel języków.

Na skrzyżowaniach ulic policja w nowych hełmach z angielskim spokojem reguluje ruch, informuje turystów, zapobiega wypadkom — no jednem słowem pycha. Teatry przepełnione, w restauracjach aż szumi od gwaru i uciechy.

Wszyscy się bawią, weselą, robią wyborne interesa, ulice zalane światłem barwnych elektrycznych reklam, wszędzie muzyka, jazz. U b. Michalika na Florjańskiej stworzono, a raczej wskrzeszono Zielony balonik, który odwiedza cyganerja świata całego a prowadzi Boy, nestor cyganów, poliglota, i erudyta wszech literatur. To też dzień w dzień a ra-



Kraków w nocy: Latarki orjentacyjne na ulicy Dlugiej



Kraków w nocy: Na plantach

czej noc w noc u b. Michalika pełno jak nabił, i to samych cudzoziemców z dolarami, funtami itd.

Mniejszości niema niemal zupełnie, tak się zanglizowała, na każdym sklepie widnieje napis „english spoken“ i każdy obywatel Kazimierza pali fajkę i ubiera się w kratkę.

Kina puste — te obrazy bowiem, które pokazują, nie nęcą nikogo, a cudzoziemcom znane są z przed wojny jeszcze.

Za to muzea, galerje obrazów przepełnione, na Wawel docisnąć się nie można, a . . .

Tu zagrał hejnał . . .

Zbudziłem się, — zasnąłem bowiem przy biurku pisząc o Krakowie.

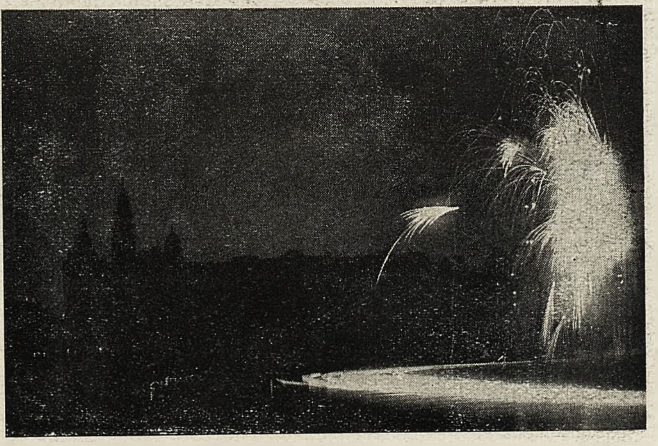
Ale i w gruncie rzeczy zbędną jest wszelaka fantazja.

Bierzmy wawelski gród takim jakim jest, i dziękujmy Bogu, że mamy taką skarbnicę pamiątek. —

Gdzież się ziajdą drugie chociażby planty, i kogo nie znajdziesz i nie spotkasz tam?!

Cudne zwłaszcza są słoneczne ranki, gdy aleje zaludnią się rozbawioną dziatwą, i jak rojne ule brzęczą rozgwarem i weselem.

Koło południa zjawiają się mamusie zróżowione, strojne i zaczyna się raut na ławkach,



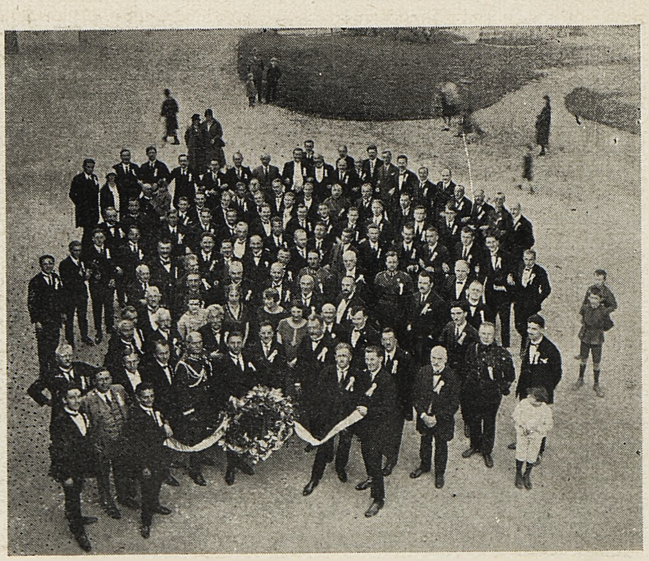
Wianki



Park Jordana



„Karusela“ na Bielanach



Z owacji i obchodów

krzesełkach, w powodzi słońca, szczebiocie ptasząt i dziatwy — tu właśnie niepostrzeżenie wykluwa się zrazu niewinna, potem zniekształcona, wreszcie groźna potwornie — znana, słynna . . . plotka krakowska! Przychodzi na świat w ulewie słońca, rozszczebiotanym śmiechu dziecięcym, z ust i usteczek jeżeli już nie różanych, to na pewno uróżowanych, by po krótkiej chwili motylego życia, osiąść po godzinie na zjadliwych wargach leciwych dewotek, a wtedy — przepadłeś! —

Ba, ale plotka, to także nie jest dzisiejszy Kraków.

To datuje się już od Anno Domini.

O ile dnie zwłaszcza te słoneczne są na plantach cudne, o tyle wieczory . . . ah te wieczory na plantach . . .

Ilę zaklęć, ile przysiąg, ile ust szkarłatnych tyle pocałunków . . .

Stanowczo o ile w słońcu lęgnie się plotka, o tyle o zmroku budzą się, serc kołysaniem drżące skrzydełka . . . amora.

Wyniki tak czy owak są jednako krzyczące, i dla tego w Krakowie jest tak cicho.

Zresztą, Boże drogi, oprócz plant jest park Jordana, są Bielany.

Po za krakowski śmiertelniku, czy byłeś kiedy na Bielanach?

Nie!?

Ja też nie byłem . . . podobno, a raczej z całą pewnością Bielany to Eden, raj wyśniony.

Coś co się nie da ująć słowy, a już zgoła wykluczone by to można opisać.

To też nie opisuje!

Przy najbliższej sposobności, jedź tam Czytelniku, wiosna za pasem, zresztą sam będziesz miał wiosnę pod pachą, bo Bielany mają już tę właściwość, że jeździ się tam zawsze we dwoje.

A we dwoje . . . proszę spróbować.

Wogóle trzeba znać Kraków, by poznać jego bóle i smutki, jak też radość i wesele. —

A to wianki!

A to Lajkonik!

A to wizyta takich to a takich wycieczek, sokołów, amerykan, delegatów z Japonji, stowarzyszeń, misji, kółek, spójni itd. itd. Wszystko to krąży z namaszczeniem po rynku, na-

przykrza się wieńcami, mowami, hymnami wszystkim historycznym pamiątkom i pamiątkowym historjom, urządza pochody, majówki, pikniki, składa wieńce, chyłkiem wykrada się do Wenzla lub Hawełki, a Krakowianie, którzy są mistrze w urządzaniu tego rodzaju manifestacji, z całą powagą udają, że ich to nie dziwi, że tak się należy znajdują to naturalnem, koniecznem i nieodzownem dla splendoru własnego no i pamiątek.

A najbiedniejszy ze wszystkich jest kto?

Adam Mickiewicz!

Ten w rynku, na pomniku, Boże czego się ten wieszcz nasz nie nasłuchał i nie napatrzył!

Od pielgrzymek sióstr St. Zyty począwszy a na towarzyszach skończywszy.

Od Roty — do „sędziamy będziem my!“

Na szczęście każde najpromienniejsze słońcem dni, mają swój zmierzch, i wieczorem kończą się wszelkie demonstracje, i tak wieszcz, jak pomnik Grunwaldzki wraz z mogiłą nieznanego żołnierza, — mają spokój. Obywatel za to miejscowy budzi się żywiołowo, choć w skupieniu, że tak powiem wewnętrznie bo o 8 godz., w najcudniejszy nawet skwarny lipcowy wieczór — psa kota na ulicy, jak wymiótł w rynku, nawet słynna linja A—B dudni niesamowicie a upiornie, krokiem zapóźnionego przechodnia.

Ale za to wewnętrznie, to jest po domach, knajpach i kinach, — Krakowianin kipi werwą życia i chęcią użycia.

Ale pomny tradycji — robi to wszystko z godnością i umiarem.

Zresztą powaga tytułu zniewala do tego.

Nie ma bo obywatela wawelskiego grodu, bez tytułu.

Ten radca, ten dobrodziej, ten dyrektor, a ten prezes, ten magister a ten skarbnik, tamten znów naczelnik, ów inspektor, ten w najgorszym razie mistrz takiego a takiego obuwniczego lakiernictwa.

A doktorów!?

Boże drogi, podobno jakiś z pańskich świętych spojrzał raz na ziemię i zabłądził okiem między matadorów z Grandy, a otrząsnąwszy się miał rzec — brr . . .

Od tej pory, każdy z bywalców tej lub innej kawiarni — jako że naród to wykrętny bezrobotny a wszelkich perfidji sposobny, wy-



Na huśtawce na Bielanach



Lajkonik



Popularna scenka z ulic Krakowa]



Kraków w nocy: Przed Esplanadą

wrócił psa do góry ogonem, czyli pierwszą literę, i z brr . . . zrobił dr . . . Bogu ducha winien obywatel krakowski uwierzył w to łatwowiernie a dobrodusznie i odtąd roi się w Krakowie od doktorów jak w jakiej klinice, albo szpitalu — w dodatku rozlało się to na całą Galicję — i stąd tyle ich wszędzie jest. Jest to pozatem nieszkodliwe, i nikt sobie nic z tego nie robi. —

Ale wracając do wieczorów krakowskich, wprawdzie różnych od wieczorów florenckich Klaczki, ale w każdym bądź razie wieczorów. Esplanada jazz-banduje, Teatralna na wskroś przesięknięta duchem antysemickim podśpiewuje chóralnie w rytm bostonu „a masel toff" i „Pani dziś jest bez koszulki" u Drobnera orkiestra dudni, że aż w Krowodrzy słychać, w Centralnej też nikogo niema, a wszystko to wre i kipi życiem i użyciem przez trzy kwandranse, by nagle z uderzeniem godz. 10 spłynąć do domowych pieleszy, rozłażąc się po domach nie tyle własnych ile ciasnych i drogo opłacanych mieszkań, ale za to bez łazienki. Pięć minut po 10 godz. hejnał buja w przestworzach niezmąconej niczem ciszy, chyba że gdzieś zapóźniony „fiaker" człapie zwolna a rozgłośnie po asfalcie. — Za to acz w pojedynkę, jak rozjuszone odyńce krążą różne indywidua dziennikarskie, literackie, zgoła malarskie albo artystycznie niesamowite.

Ale tych dziś, prawdziwy z krwi i kości krakowianin, obywatel, ojciec dzieciom i tym podobnie znać nie chce, ani myśli do nich się przyznawać.

Sztuka, panie, rzekł mi jeden, i te wymysły to to wszystko dziś do nas wali z tej Warszawy, wykształcenie ma to to domowe, fachowe nie jest, doktoratu żaden niema a tylko fanaberje, i z resztą . . . Byłby dalej żale swe wygłaszał, ale traf zderzył, że czy przechodząca paczka cyganów z pod ciemnej gwiazdy, rozhoworem swym zgłuszyła zew trąbki, czy też hejnał się spóźnił, dość, że mój antiwarszawista nie słysząc w przepisanej porze, zwykłego sygnału — stojąc, mówiąc i obrywając mi kręceniem guzik od palta — nagle zasnął — i nie skończył. Jak stanął na rogu Sławkowskiej i linji A—B, tak pewno stoi dotąd.

Zbudź go Czytelniku i pogadaj z nim, to się dowiesz reszty, ale przedtem należałoby naprawdę zbudzić cały Kraków — który dziś śpi, i zaiste nie snem śpiącego rycerza. — Elka.

Z listów niewysłanych.

Pızesubtelna złotowłosa Pani!
piszę do Cię coś w kształt cansonetty
Rymów gaıścią hołd Ci składam w dani
Chcciaż czytać może będziesz nie Ty.



Przyjaciółka-efeb, lub adonis
Z nich Ci droższe Pani, nie wiem które
Przeczytają, drwiąc ten makaronizm
Gdy Ty ıobić będziesz manicure.

W haftowanej, jedwabnej pijamie
W papierosa wonny dym spowita
Z źrenic błyskiem, z których każde kłamie
Sama nie wiesz, chłopiec — czyś kobieta?

Malowane jak lalka masz ustka,
I czuprynkę miast splotów korony,
W duszy smutek Twej gości — i pustka
Ale za to karczek — masz golony

Piszę do Cię więc modna Chłopczyco
Smukłobiodra, wiotka Androgyne
Combinaisy Twe — no i tam czy co...
Zdjąłbym z Ciebie i otulił w krynolinę.

W krynolinie bowiem byłaś inna,
Choć pustotę kryłaś i pod muszką
To choć winna — byłaś tak bezwinna
Jakbyś miała.... naprawdę serduszko.

W krynoline bym Cię stulił z brokatu
Goıs wycięty mógł by być głęboko
Nóżki wsparł na koreczkach z szkarłatu
Główkę przybrał w coafiuıę rococo!

Ramion biel z lekka okrył koronką
Muszek dwie dał na nosku i bródce
I choć była byś jak dziś — garconnką
Jabym wierzył — cząt niezabudce.

Rankiem w ptasząt chór byś przy szpinecie
O Cloryndzie nuciła bergery
W wieczór w blask świec — w menuecie
Tuląc rączkę — szeptał bym dusery.

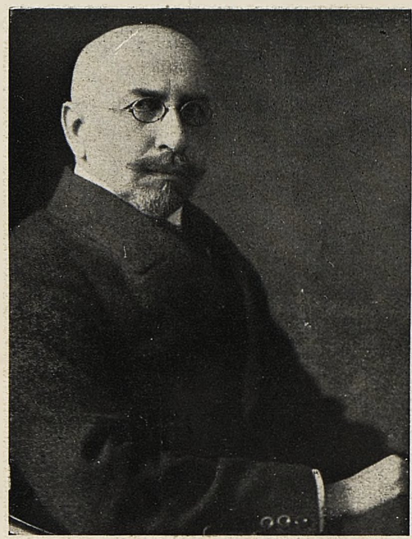
Nocą księżyc z chmur by wyjrzał blady,
Na balkonie w róż zkwitłabyś biele
W szept gorący ja snułbym ballady
O tem sercu, co kochało zbyt wiele....

. . . .

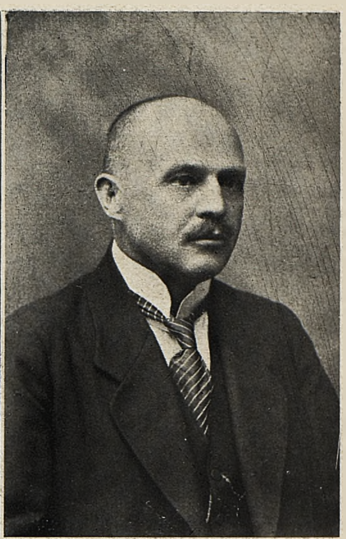
P. S.

Rankiem sleeping, en deux, do Veıony!
Gıób Romea zwiedzić i Julietty
Potem..... Mam nadzieję, te andıony...
Będą czytać wszyscy, — tylko nie Ty.

A. S.







K. Rolle
Wiceprezydent m. Krakowa

Wł. Kowalikowski
Wojewoda Krakowski

P. Wielgus
Wiceprezydent m. Krakowa

PRO DOMO SUA

Zeszyt Giewontu Krakowskiego byłby niekompletnym, gdybyśmy na tem miejscu nie złożyli wyrazów podziękowania p. Wł. Kowalikowskiemu wojewodzie Krakowskiemu oraz pp. P. Wielgusowi i K. Rollemu za życzliwe stanowisko i pomoc w usiłowaniach opracowania materjału dotyczącego Krakowa. Wiceprezydentowi p. P. Wielgusowi zawdzięczamy zilustrowanie instytucji miejskich, Wiceprezydentowi p. K. Rollemu cenny materjał Teatru Miejskiego im. Słowackiego.

Wydatną pomoc winniśmy pp. Dyrektorowi tramwajów miejskich, P. Pollaczkowi, oraz Dyrektorowi elektrowni P. Bielińskiemu, zwłaszcza za przepyszne zdjęcia Krakowa w nocy. Redakcja.

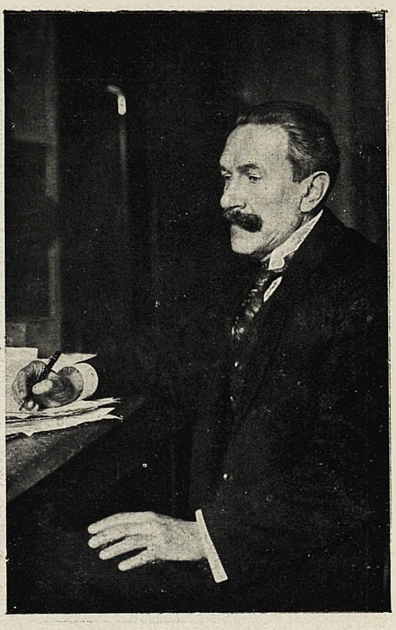




R. Wojczyński



Marjan Dąbrowski
Poseł i redaktor wydawca I. K. C., oraz Światowida



S. Chmurkowski

KRAKOWSKI „ILUSTROWANY

Jeżeli weźmiemy pod uwagę Kraków dzisiejszy — to cóż jest jego synonimem? — Prasa. — A cóż jest dzisiejszej prasy Krakowskiej symbolem? „Ilustrowany Kurjer Codzienny“ czyli tak zwany popularnie „Kurjerek czerwony“ co nie znaczy bynajmniej o przynależności partyjnej — broń Boże — nazwa ta spowodowana została czerwonym w druku tytułem. — Ale już to samo świadczy o niezwykłej popularności



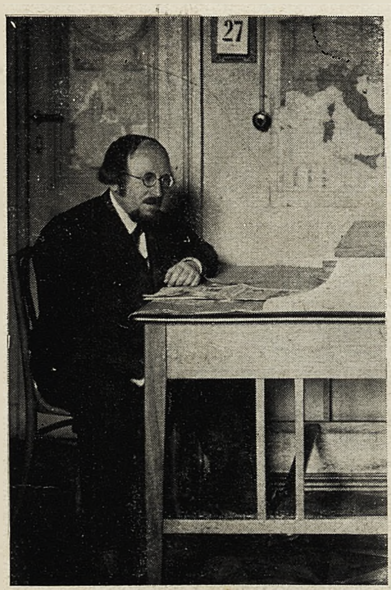
L. Rubel, naczelny redaktor

KURJER CODZIENNY“

Ilustr. Kurj. Codz. — Bo czyż można sobie wyobrazić obywatela Krakowa któryby rano oczy zaledwie przetarłszy nie żądał Kurjerka?!

To też jesteśmy pewni, że dając w Giewoncie garść danych o tem par excellence wydawnictwie krakowskiem sprawimy przyjemność wszystkim Krakowianom.

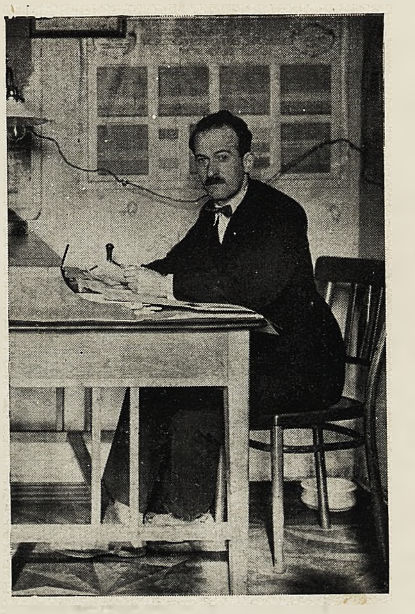
* * *



Stanisław Mróz



K. Tomaszewicz, Red. Długołęcki, P. Rychlik
Dział depesz i stenografji



Dr. Wacław Sperber



Redakcja „Ilustr. Kurjera Codziennego"

Kiedy przed 17 laty poseł Marjan Dąbrowski zakładał swój własny mały początkowo dziennik „Ilustrowany Kurjer Codzienny" w Krakowie, nie przypuszczał zapewne, że pismo te zdobędzie w wolnej Polsce rekord popularności trój dzielnicowej. Było to bowiem z początku pismo małe i bynajmniej nie zapowiadało, że rozwinie się z latami w silną instytucję wydawniczą, bez wątpienia jedną z najpotężniejszych w Polsce. Wojna stworzyła świetną konjunkturę dla rozwoju tego dziennika. Jak wiadomo — krakowski „Ilustrowany Kurjer Codzienny" był obok „Głosu Narodu" jedynem pismem, które mimo straszliwej cenzury austrjackiej stało po stronie koalicji. Jak i gdzie mógł, sprzyjał Francji i jej sojusznikom, za co dwukrotnie było przez Austrjaków zawieszone; dokuczało zaś Austrji i Niemcom w sposób często bardzo sprytny, przez cenzurę wojskową niedostrzeżony. To też „Kurjer" czytano chętnie wszędzie, a właśnie polacy jeńcy spopularyzowali go na wszystkich możliwych frontach. Po przewrócie zaś Małopolanie, rozsiedleni licznie po całem państwie, przyzwyczajeni do jego lektury, w niemałej mierze także przyczynili się do jego ogromnego rozszerzenia.

Czy tylko powyższe okoliczności zadecydowały o tem, że krakowski „Ilustrowany Kurjer Codzienny" czytany jest nie tylko w Małopolsce, raczej ale i na wschodnch i zachodnich kresach, w Równem, Białymstoku, Wilnie, Bydgoszczy, Poznaniu, Czarnkowie, Katowicach i Cieszynie? Tak nie jest. Tajemnicą powodzenie i popularności „Kurjera" krakowskiego jest jego układ redakcyjny, wszechstronny i rozmaity, popularny i przystępny oraz jego iście po amerykańsku zorganizowana służba informacyjna. Krakowski „Kurjerek" jest jedynem pismem w Polsce, które oprócz licznego sztabu współpracowników w redakcji posiada





Dr. Józef Flach *Redakcja „Światowida"* *J. Smiechowski*



Ilustr. Kurjer Codzienny *Nocna praca w redakcji*

przy wytężonej uwadze

w oczekiwaniu ostatnich wiadomości t. zw. z Ostatniej chwili.

Administracja *Wydział Buchalterji*

która księguje olbrzymi wprost w swym obrocie

wykaz ogłoszeń, abonentów, kolportażów i t. d.





Ze zbioru przepysznych karykatur A. Sęka w Red. Illustr. Kurj. Codz.

legjon telefonicznych sprawozdawców, korespondentów i współpracowników na prowincji w całem państwie. Obsługują oni to pismo z amerykańską szybkością i rozmachem. „Kurjer" posiada ekspozyturę we wszystkich większych miastach Polski, w Warszawie ma pięciu korenspondentów i współpracowników. Nadto otrzymuje on codziennie wieczór i w nocy najnowsze depesze telefoniczne z Pragi, Berlina i Wiednia, a z Paryża depesze telegraficzne, za granicą zaś posiada we wszystkich stolicach stałych korespondentów. „Kurjer" jest też najpopularniejszem pismem we Francji, a nawet Ameryce Północnej. W Polsce i zagranicą jest on najbardziej znanym. Dzięki świetnie zorganizowanej i obfitej służbie telefonicznej i telegraficznej, codziennie może on wydawać c z t e r y lub trzy wydania. Pierwsze jest już gotowe o 9 godzinie wieczorem i pociągi wiozą go w najdalsze krańce Polski. Najpóźniejsze (1 godzina w nocy) wydanie otrzymuje Kraków i okolica. Są tam depesze, które nadeszły już po godzinie 12 w nocy.

Ale i sama redakcja nie wystarczyłaby, gdyby nie świetnie zorganizowany aparat administracyjny i ekspedycyjny. Pod tym wzglę-



Ze zbioru karykatur A. Sęka w Red. Illustr. Kurj. Codz.



Ze zbioru przepysznych karykatur A. Sęka w Red. Illustr. Kurj. Codz.

dem jest „Kurjer“ bez konkurencji. Ekspedycja odbywa się z zegarkiem w ręku na podstawie rozkładu pociągów w całem państwie. Trzeba było szeregu lat pracy i doświadczeń, ażeby zorganizować taką ekspedycję, jaką ma „Kurjer“.

Bez przesady — jest to amerykańskie pismo w Polsce. Pod względem podziałów i organizacji pracy nie ma ono konkurenta. W redakcji już się właściwie nic nie pisze — wszystko się dyktuje wyszkolonym stenotypistkom. Depesze, które się z Berlina lub Pragi otrzymało, przepisane na maszynie według dyktatu stenografa, zaadjustowane przez redaktora, w 10 minut są już złożone w drukarni na amerykańskiej maszynie. W krótce „Kurjer“ przeniesie się do własnego nowego gmachu, t. j. do „Bazaru Polskiego“ naprzeciw Poczty w Krakowie. Będzie to niewątpliwie nowa era w rozwoju tego pisma. A rozwój i rozkwit swój zawdzięcza ono przedewszystkiem organizatorskiemu talentowi swojego właściciela.

Szereg zdjęć fotograficznych z redakcji, administracji i ekspedycji „Kurjera“ ilustruje wewnętrzną pracę tego przedsiębiorstwa, które wydaje nadto „Światowida“, tak dobrze znany ilustrowany tygodnik krakowski. W.



Ze zbioru karykatur A. Sęka w Red. Illustr. Kurj. Codz.

Magdalena Samozwaniec.

DUCH!

Po przeczytaniu zamieszczonej kiedyś w „Wiad. Literackach" grozą przejmującej nowelki P. Grabińskiego „Czarna Wólka" tak się okropnie przestraszyłam, że schowałam się pod kanapę, nie zdając sobie rzeczywiście sprawy z tego co czynię. Dopiero pod wpływem alkoholu wydostałam się na światło dzienne uspokojona nieco.

Jednak było mi nieswojo, jakoś cudzo i duszno. — Było to jak gdyby przygniatające przeczucie, czegoś co m u s i a ł o nastąpić — czegoś strasznego. Popatrzyłam do kalendarza, lecz nie znalazłam tego, czego szukałam, były tam tylko tak zw. anegdoty. — Będzie mniej więcej 13 pomyślałam patrząc do gazety, a może troszkę po — — oparłam głowę o przytulną futrynę i zaniepokoiłam się — skąd te dreszcze i te ogólne podniecenie? — czyżby? — Popatrzyłam na termometr, przyrząd wskazywał 35, cóż za straszny spadek temperatury — będę płakać, pomyślałam ze smutnym uśmiechem . . . albo . . .

Musiałam siłą walczyć z powiekami, by nie ulegnąć jakiejś dziwnej śpiączce, która mnie coraz więcej ogarniała — Nie! — zawołałam dzisiaj nie jest czas na spanie, dziś nikt w tym domu nie zaśnie, a jak zaśnie, to snem wieczystym „Hallo" Marjanno! proszę nie rozbierać dziś łóżka do snu! „Kiedy proszę Pani łóżko takie . . . — Cicho! mrugnęłam na nią z wyrzutem! — ty jak chcesz możesz udać się na spoczynek" — gdy wyszła, poczułam się straszliwie samotna — to przejdzie pomyślałam z rezygnacją. —

Nagle! — krew zaskrzepła mi w żyłach o! żeby nikt nigdy nie usłyszał tego, co ja usłyczełam się nerwowo śmiać, do łez czyli płacałe ciało opadło mi bezładnie na poręcz fotelu. A może to poprostu złodziej? — uspakajałam rozkołatane nerwy. — Po chwili znów ten straszny w uszach dzwoniący odgłos — zaryłam się cała w kanapę, nie chcę! — nie chcę — niech wejdzie już ten upiór, byleby tego dzwonka nie słyszeć. — Chwila ciszy . . . potem skrzypnienie drzwi. — Ktoś wszedł do pokoju. — Nie odrywając oczu od kanapy, poczęłam się nerwowo śmiać, do też czyli płakać. — Precz! . . przyszło mi do głowy — cicho na palcach zapaliłam lampkę i rozglądnęłam się po pokoju zdecydowana na wszystko, — w drzwiach nie było nikogo — na korytarzu nikogo, tylko na pustym przedtem fotelu kołysała się w czarnych balowych obsłonkach Ela.

Elo! — załkałam konwulsyjnie, to ty? — o tak nieprzyzwoitej porze? — Jakiż dobry duch sprowadził cię do mnie. —

Proszę cię w mojej obecności nie wymawiaj mi słowa „duch" rzekła Ela z pewnym pomieszaniem nawet jak chodzi o dobrego lub świętego, jednych drażni słowo „dług" innych „dom", trzecich już nie wiem jakie . . .

— „Ale ja wiem, uspakajałam podrażnioną, straszne fioletowe plamy. —

— „Nie! nie wiesz!" — zakipiała Ela, zrywając się jak długa z krzesła — spójrz!! ruchem Rejtana rozerwała bluzę na piersiach i ujrzałam ze zgrozą, na jej plecach, łonie, i szyji straszne fioletowe plamy i żylaki. —

Jezu! zauważyłam co za straszne plamy!

— Tak! odparła Ela, „to są plamy na mojim honorze kobiecym", — życie moje jest skończone. — Jestem skańbiona! —

— Tobie jednej opowiem moją straszliwą przygodę. — Wydostałam likier z pod kanapy, rozłożyłam czekoladki i zapaliłam papierosa.

„Pewnego wieczora" — zaczęła Ela. —

„Poczekaj przerwałam jej" — jeszcze przyniosę czarnej kawy, — będzie nam raźniej.

Otóż pewnego wieczora, zaczęła Ela po chwili — jak zwykle swoim zwyczajem, kładłam się do snu, nawet do tego celu umyłam twarz, i rozpuściłam moje przepyszne blond włosy. Zatrzymałam również zegarek, bo nie lubię, jak mi ktoś chodzi w pokoju, gdy ja śpię i zapaliłam lampkę nocną. — Spojrzałam z zachwytem na mój cień na ścianie, byłam jeszcze wtedy piękna i młoda!

No ale mów dalej, nagliłam zamyśloną Elę.

— Otóż, — ciągnęła dalej swoje opowiadanie — w drzwiach nagle ukazał się . . . mój mąż . . . w długiej białej koszuli, gładząc czarną brodę, która sięgała mu do piersi, uśmiechał się obleśnie długiemi żółtemi zębami.

W ręku trzymał lichtarz z świecą. — Czego żądasz? spytałem. — Ciebie! . . . odparł. Możesz sobie wyobrazić moje przerażenie, mój mąż o tej porze u mnie — na co mi to przyszło. — Z przerażenia zgasiłam lampkę — mój mąż nie zauważył nawet tego manewru, tylko mrucząc coś niewyraźnie wślizgnął się pod kołdrę. —

No i co? — no i co? . . . zapytałam tłumiąc oddech, i nalewając sobie oraz Eli „Bolsa".

— Nie wiem, bo straciłam przytomność, ale za to nazajutrz jak się przebudziłam a było to rano, o ile sobie przypominam, miałam na ciele te oto plamy. —

— Obie zamilkłyśmy pod strasznym wrażeniem tego opowiadania. —

Boże! coś ty przeszła jęknęłam.

To jeszcze nie wszystko odjęknęła cichutko Ela, to samo powtórzyło się nazajutrz z tą tylko różnicą, że plamy ustąpiły miejsca siniakom i tak było przez kilka dni z rzędu. Możesz sobie wyobrazić, jak się gryzłam po całych dniach i rękach, jeszcze mam „znaki".

„A nie mogłaś udać się do pomocy policji, lub zamknąć drzwi na klucz? zapytałam. —

„Nie mogłam", ale słuchaj dalej:

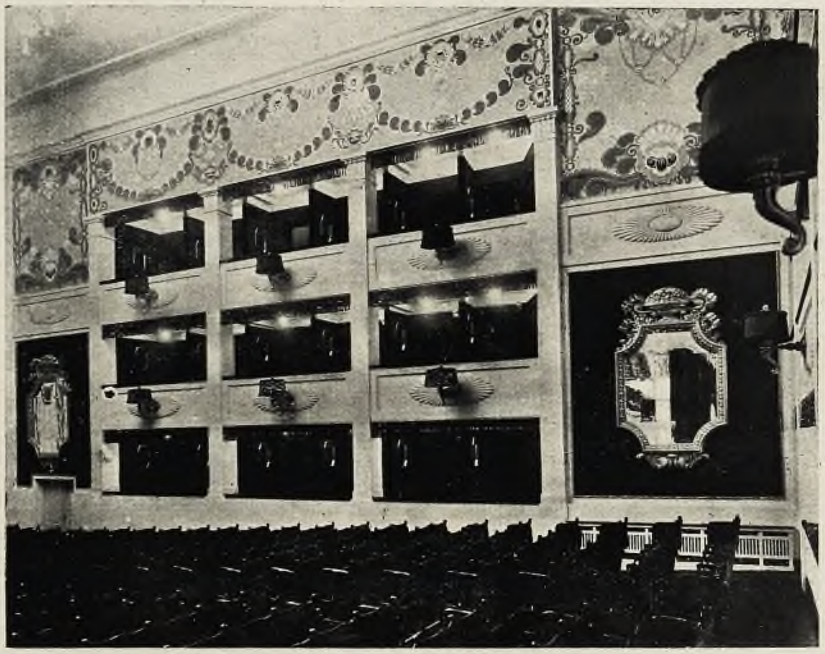
Z dnia gdy zmartwiała z przerażenia i wstrętu oczekiwałam jego przyjścia, nie zjawił się — następnego dnia również nie przyszedł — dopiero w tydzień później wróciwszy do zdrowych zmysłów, przypomniałam sobie, że mój mąż dawno nie żyje, i wobec tego . . .

— Wobec tego? — zapytałam drżąc.

„Wobec tego, odparła wolno Ela, ten dziwny kaprys natury, to musiał „być . . . "

— To musiał być! — powtórzyłam.

— Ktoś inny! — wyszeptała ostatnim tchem.



Widownia Bagateli



L. Barwińska

TEATR BAGATELA

W dniu 25 października 1919 roku otworzył podwoje nowy teatr „Bagatela“, który powstał z prywatnej inicjatywy redaktora Marjana Dąbrowskiego.

W gmachu, z wytwornym smakiem urządzonym według projektu artysty-malarza Uziembły na rogu ulic Karmelickiej i Krupniczej obrała sobie siedzibę lekka komedja oraz modernistyczna sztuka widowiskowa. Pierwszą sztuką jaką wystawiono w „Bagateli“ była „Kobieta bez skazy“ Zapolskiej, która wówczas z p. Izą Kozłowską, Heleną Łącką i Bolesławem Brzeskim w głównych rolach, zdobyła rekord pięćdziesięciu przedstawień bez przerwy.

Z innych autorów polskich dawniejszych i nowoczesnych grano w teatrze tym sztuki Fredry i Bałuckiego ze współudziałem takich artystów, jak Mieczysław Frenkiel, Kazimierz Kamiński, — Przybylskiego, Przybyszewskiego, Kisielewskiego, Rittnera, Perzyńskiego, Fijałkowskiego, Winawera, Zbierzchowskiego, Kiedrzyńskiego, Krzywoszewskiego oraz szeregu innych autorów.

Kierownictwo „Bagateli“ starało się o takie zestawienie repertuaru, aby o ile możności dać pełny obraz rozwoju modernistycznej literatury dramatycznej w Polsce i zagranicą. „Bagatela“ zapoznała tedy publiczność krakowską z całym szeregiem nie granych przedtem na żadnej innej scenie wybitnych nowości repertuaru zagranicznego. W tym też teatrze grano poraz pierwszy w Polsce utwory wybitnych autorów romańskich, francuskich, włoskich, hiszpańskich — między innemi Pirandella, Jacinta Benawente, Karola Mere, Kistemaekersa, Frondaire, Sachy Guitry, Savoi-



Janina Stępowska



J. Werniczówna

ra, Devala, Bernsteina, Fleursa oraz mnóstwo sztuk z zakresu lekkiej komedji francuskiej.

Pośród reżyserów „Bagateli“ wymienić należy nazwiska tej miary co śp. Jana Nowackiego, Aleksandra Węgierki, Józefa Sosnowskiego, Zygmunta Nowakowskiego, Henryka Czarnowskiego i innych.

W przeciągu kilku lat swego istnienia krakowska „Bagatela“ ze swego zespołu artystycznego, który oczywiście co roku ulegał pewnym zmianom, dostarczyła teatrom warszawskim całego szeregu sił, które zajęły w stolicy pierwszorzędne stanowiska. Z „Bagateli“ do teatrów Szyfmana przyszedł p. Aleksander Węgierko, który pierwsze swoje laury zbierał na scenie „Bagateli“, wychowanką tego zespołu jest p. Marja Malicka, obecnie jedna z gwiazd teatrów warszawskich. Kreacje w sztuce Nikodemiego „Świt, dzień i noc“ oraz w komedji Fleursa i Caillavetta „Miłość czuwa“, pp. Malicka i Węgierko zaprezentowali najpierw na scenie krakowskiej „Bagateli“, budząc nimi następnie zachwyt publiczności w stolicy.

W sezonie 1924-25 obowiązki zastępcy dyrektora Marjana Dąbrowskiego pełnił p. Stefan Turski, który zarazem jest jednym z reżyserów.

Z pośród młodych sił kobiecych wyróżniają się młodziutka Zosia Barwińska, która swoją rolą tytułową w „Dzikusie“ Hartleya Mannersa zdobyła sobie przebojem publiczność, wykazując talent, wdzięk i urodę oraz p. Marja Ziembińska, której talent rozwija się bardzo pomyślnie.

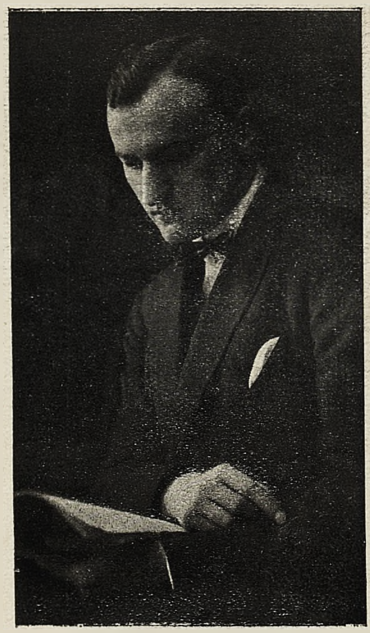
Linja repertuaru konsekwentnie trzymała się lekkiej komedji takiej jak „Kwiat pomarańczowy“ Mirbeau i Dolleya, „Dwaj mężowie pani Marty“ Gandery, „Wielka księżna i chłopiec hotelowy“ Savoira, w której głównych rolach święcili tryumfy p. Lena Bruczowa i przemiły młody amant p. Tadeusz Wesołowski.

Z pośród utworów polskich zaznaczyć należy wybitny sukces sztuki Kisielewskiego „W sieci“ z p. Wernicz w roli szalonej Julki.

Sympatja, jaką publiczność przez cały czas istnienia „Bagateli“ darzyła ten przemiły krakowianom teatr, oraz przychylna opinja w całej prasie polskiej i sferach artystycznych, pozwala mniemać, że kulturalna ta placówka w Krakowie rozwijać się będzie nadal ku pożytkowi polskiej sztuki dramatycznej. W sezonie obecnym p. Marjan Dąbrowski zrzekł się prowadzenia „Bagateli“, teatr prowadzi zrzeszenie artystów, pod wytrawną ręką kierowniczą p. Leopolda Zbuckiego, znanego i cenionego artysty, oraz ulubieńca Krakowa. Dzięki jego inicjatywie i energicznej działalności artystycznej jest nadzieja, utrzymania nadal mimo ogólnego kryzysu, tej wysoce artystycznej placówki Krakowa.



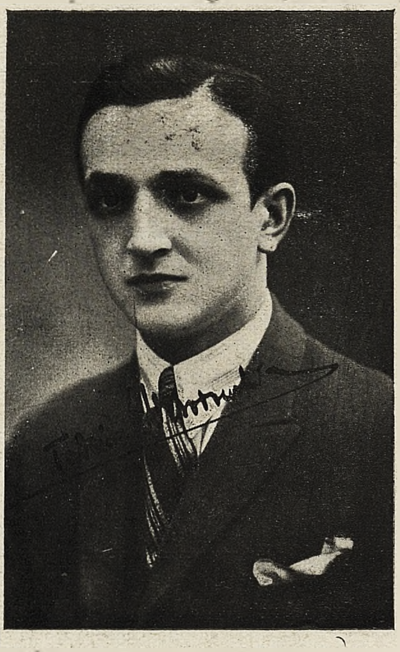
Z. Barwińska



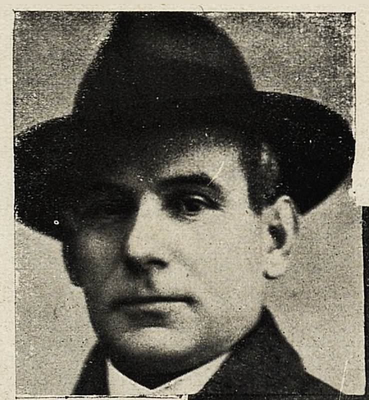
W. Kwiatkowski



Lena Bruczowa



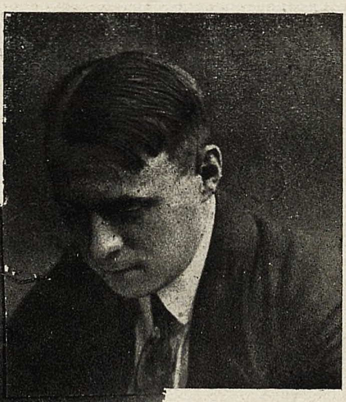
A. Wesołowski



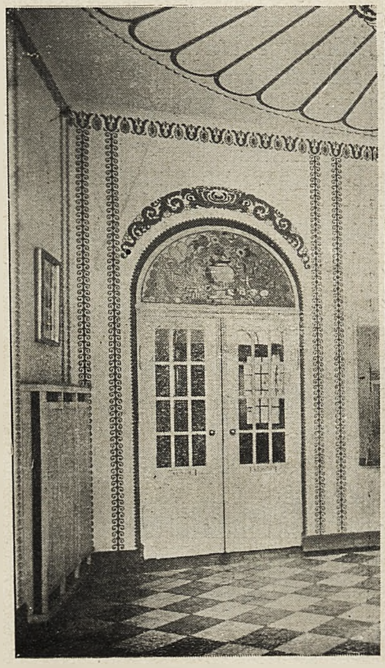
T. Turski, dyrektor

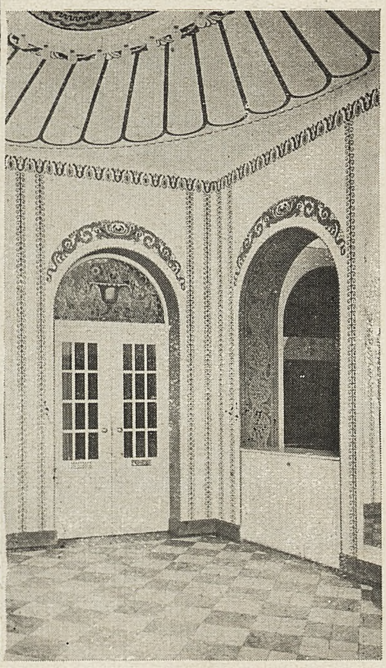


M. Relewicz-Ziembińska



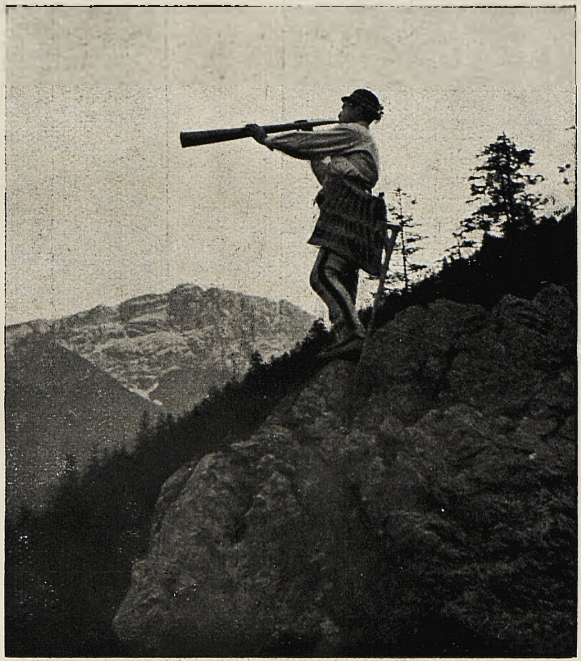
L. Zbucki, reżyser





Helena Roj-Rytardowa.

Bartuś



Nad wodą wisiała siwa mgła. Zielone trawy zgięte wpół ku ziemi spadły pod srebrnem przykryciem rosy. Gieny się niskie płoty koło staryk chałup. Wrota obóz gazdoskich przyparte skóblami pilnowały psów spuscony z łańcuchów. Jasienie i jawory ozłozyły serokie gałęzie ponad gancianymi dachami. Drogom błotnistom bez wieś seł stary, siwy gołęb. Bartuś grający nute wierchowom. Wargi napół ozhylane śpiewały cichcem. Wysusone palce goniły wartko po strunach.

W myślach przebiegała mu wieczornica. Duże szyrokie pokoje, obite dywanami i dobre wino pańskie.

Panowie, hej ci panowie! Wsłuchowali się w mojem nute, ale cy jom pojeni? Chyba, że nie. Godali, ze jej tonu brak i ze je jednakowo.

Nie pojmoją. Kie jom zagram nasym chłopcom, abo i dziewcynie, to ik zawiede, ka bede kcioł.

Wom przecidzie moja muzyka po wodzie, kie ja grom, a pote zniknie z myśli, jako ta rosieka z trawy, kie jom słonko przygrzeje. Zabocycie.

Przystanęł Bartuś na wąziutkim mostku, poźroł wdół na lustrzanom wode, odbił sie cały jak w przecieradle. Włosy siwe, cało zryte brozdami, ocy mgłom zachodzom. Zamyślił się długo.

Popluł na kołki u gęślików, przycisnął twarde palce na struny i seł dalej grający.

Nuta jego i brzęcenie struny budziły zaspane dziwki po kumorak. Donie który z chłopców wyźroł przez okno, pozbieroł wartko i seł za nutem Bartkowem, ku karcmie na brzyzek. Na progu stał zyd rudy. Fajka napchano miętom tliła mu się pod długim, zawiniętym nosem.

— Jak tam posło, brzęcy, co w zasie, cy ni? pierwsze się pytoł Bartka, kie sie ino przybliżył ku karcmie. Bartuś znoł zyda z chytrości, wiedzioł, ze zawse rachuje na jego zarobek.

Koło drypanego pieca siadał zawse Bartek. Dziewka zydoska Rega przynosiła mu wino z korzeniami. Na ławie pod okne, przy duzym stole posiadali chłopcy, popijali gorałcyne i śpiewali:

Hej, choćby jo se umar,
To mi dusa wstanie,
Kiedy se posłysy
Bartusiowe granie!

Od posługi dziewki pozganiały się do karcmy. Bartek wypił pare kwaterek gorzołki, zjod kęs oscypka i odzył o dwadzieścia rok

Groł, jaz źwiencało w usak. Dziewki tańcyły, jak rozezwyrtane wruciona na sękatyk fosztak. Chłopcy drobili brzerowiekem jaz pockakowały garce na szynkwasie.

— Hej, Bartusiu, Bartusiu,
Siedem ci sto dusiów,
Gorzołecke pijes,
Kwała Bogu zyjes!

A kie sie wysypłali do grajcara pocyni sie obzierać za słonkiem. Ku pojedniu oześli sie z karcmy, kazdy seł ku swojej robocie. Wicochowa nuta sła śnimi. Dziewki jem niesły na polane i ozścielały po gorącyk trawak. Lin haje jem nieśli wy wirk na lasy i turnie, zydowi została w karcmie po kątak i na zakuzonym sosrebie między duzemi sparami.

A reśta nuty ostała Bartkowi na strunak i na wygiętym smycku. Sła śnim, jako dziwożonka po pod regle, hiehotała, wyskała, jako juhoska w Miętusiej Bielinie. To zaś płakała między suchymi palcami, pytała sie cy jom pochycom wiatry i poniesom hań, ka sie niebo piórcy!

Bartek jom zgadował, hej nuto moja nuciko! Tyś mi jedno pociesenie. Idź se wędrować po weselak, śmiej sie do chłopców, co by cie w taniec porwali! Zacieroj dziewkom do okien, zwołoj ik na uboc! Hań niek ci sie potroi! I wróć sie ku mojej chałupie na struny, my jedni wse ze sobom!



K. Horbowska

OPERETKA KRAKOWSKA

Teatr Nowości

Przemiły ten przybytek lekkiej Muzy, mieści się przy ul. Rajskiej i chociaż Kraków mógłby mieć ładniejszy nieco budynek, jednak przy ostatnio zastosowanych przeróbkach i odnowieniu, teatrzyk ten ulokowany w byłym maneżu przedstawia się dość sympatycznie.

Operetkę Krakowską prowadzi tu od lat p. Tadeusz Pilarski, znany i popularny na bruku krakowskim, artysta, o dużej energji i przedsiębiorczości.

To też operetka krakowska, acz w dzisiejszych czasach nie daje zysków, jak twierdzi p. Pilarski, ale koniec z końcem jakoś się wiąże, i operetka w Krakowie jest, i to przyznać trzeba wcale niezgorsza.

Ostatnio zwłaszcza dużo zrobiła dyrekcja w zakresie starannej a nawet bogatej wystawy.

Repertuar dobierany niemal z samych nowości, trzymany jest w nader ożywionem tempie, a zespół zgrany i w pierwszych partjach zawsze obsadzony siłami wybitnemi, artystycznie nie pozostawia nic do życzenia P. P. Kazimiera Horbowska, Henryka Kramerówna, znane śpiewaczki scen warszawskich, o dobrej



H. Kramerówna



T. Pilarski (senior)



H. Martówna



T. Pilarski (junior)

szkole, dużych zasobach wokalnych i miłej aparycji, wnoszą na scenkę operetki krakowskiej charme i wdzięk stołeczny, wybitnie odcinający się tak wzięciem jak toaletami.

Parą prym wiodącą, i zgraną od lat jest wodewilistka p. Marja Czernekówna i jej partner p. Tadeusz Pilarski (syn). Humor, werwa, niewyczerpany w swej pomysłowości i grze



Marja Czernekówna





H. Martówna, w tańcu ptasim.

żywiołowy temperament artystycznej tej pary jest naprawdę pierwszorzędny.

Wymienić jeszcze należy p. Dąbrowską, znaną i ze scen warszawskich dramatycznych, wyborną charakterystyczną oraz p. Berskiego, których talent i poziom sceniczny, odpowiedniejszy znalazłby grunt na większych scenach i nie w operetce, gdzie nie mają ani dostatecznego pola, ani odpowiedniego repertuaru dla swych par exellence komedjowych zdolności. Milutką i pełną niecodziennego talentu tancerką p. H. Martównę, zabrała jak i p. Ciesielskiego doskonałego tancerza, już niestety Warszawa, czego im jednak tylko powinszować należy.

Powodzeniem cieszy się operetka krakowska, dużem, na co w zupełności zasługuje. Obecna jednak trudna chwila gospodarcza odbija się jednak we wszystkich dziedzinach, lecz energiczna rzutkość dyrekcji, miejmy nadzieję, przetrzyma kryzys i znów jak dawniej, doczeka się pełnej kasy.





Zuzanna Rabska

BOGINI BEZ RĘKI.

W swych samotnych wędrówkach po starym parku Ireneusz zatrzymywał się najczęściej przed kamiennym posągiem, stojącym nad wodą. Była to okryta zieloną pleśnią kamienna, nieznana bogini o smukłych kształtach, z biodrami osłoniętemi długą draperją, z pod której widoczne były jej bose stopy. Bogini miała twarz tak piękną i uduchowioną, iż Ireneusz, choć przywykł do najpiękniejszych okazów sztuki, które gromadził jego ojciec w swoim pałacu, nie mógł od niej oczu oderwać.

Nie wiadomo było, odkąd stała nad tą wodą, w każdym razie od bardzo dawna.

Bogini miała prawą rękę wyciągniętą przed siebie, ale dłoń tej ręki odrąbał czas. Nie wiadomo było, co mogła trzymać w tej dłoni, w każdym razie były to napewno jakieś emblemata jej boskości.

Ireneusz kazał sobie ustawić ławkę naprzeciwko posągu i opierając ręce na zamkniętej książce, przyciągnięty kamiennym wzrokiem tajemniczej bogini, trwał tak całemi godzinami bezczynnie.

Kazał także obok posągu wykuć trzy kamienne schody; schodząc do stawiska, o które, gdy wiatr powiał, obijała się z cichym pluskiem woda. Schody te nie miały żadnego praktycznego zastosowania, sprawiały jedynie wrażenie jakiejś spójni między bezimienną boginią, a parkiem, ale Ireneusz lubił rzeczy bezużyteczne i niepotrzebne.

Czas stąpał dokoła niego, po ścieżkach i alejach parku, zasnutych zwiędłym liściem, ale on nie słyszał tych kroków i szelestów.

Dnie i wieczory wypełniało mu marzenie, a bezimienna bogini, zdawała się marzeniami jego opiekować i dodawać im treści.

— Kim jesteś? — pytał nieraz Ireneusz.

Ale bogini milczała uparcie.

Nadając jej w myślach setki imion, młodzieniec na żadne nie mógł się zdecydować. A zresztą nie kwapił się z tem zbytnio. Doznawał wrażenia, że bogini przestawszy być tajemniczą, przetnie nić jego nazwy! Dlaczego tak miało być — nie wiedział, ale był tego prawie pewien.

Więc prosił ją oczami, by pozostała taką, jaką była — niewzruszoną i bezimienną, ale nie przeszkadzało mu to wcale widzieć ją pod coraz to inną postacią.

Nazywał ją Florą, gdy w parku i sadach zaczynały prószyć śniegi wiosennych drzew i słońce rzucało na ścieżki tańczące plamy, a w powietrzu była woń i śpiew. Wtedy kładł jej w dłonie pęki fijołków i kaczeńców.

Nazywał ją Demeter, gdy pieśń dojrzałych kłosów przedostawała się przez sztachety parku i kładł jej wtedy w dłonie sierp, a na rękę snop zżęty.

Nazywał ją Pomoną, gdy w parku wzdychały ciężko opadające z drzew dojrzałe jabłka, złote, jak jesień i wtedy w ręku bogini zjawiał się róg obfitości, napełniony owocem.

Nazywał ją Artemidą, gdy od strony pałacu zagrały rogi myśliwskie i rozległo się szczekanie sfery psów. Wtedy w ręku bogini zjawiał się łuk,kołczan i strzały.

A gdy zima weszła do parku, niosąc ze sobą spóźnione zrozumienie łask życia, nazywał ją Ateną i na jej smukłe palce sadzał sowę o okrągłych oczach.

Coraz to inną, a zawsze jego marzeniu bliską była kamienna bogini bez ręki. Bał się jej i zarazem kochał ją.

Raz całował ją długo w usta (chłodny był wtedy wieczór wrześniowy) i czuł, jak odkryte jej . . . piersi drżą i ręce radeby opleść jego szyje.

Tego dnia miłość jego doszła do zenitu i czuł, że wiecznym ślubem związała się z jego marzeniem.

Gdy słońce zaszło i zamigotały przez gęstwę drzew okna pałacu, Ireneusz drżąc ze szczęścia, usłyszał szept kamiennej bogini; który doszedł do niego razem z pluskiem wody:

— Dziś dowiesz się kim jestem . . .

Serce Ireneusza ścisnął lęk. Czyżby naprawdę miał już nastąpić kres marzenia? Rozejrzał się po parku, zobaczył dokoła siebie ciemność i martwą, połyskującą stal wody i jęknął:

— Nie mów, kim jesteś . . . kocham cię . . .

* *

Tej samej nocy umarł Ireneusz.

Pochowano go w parku, w tem miejscu, gdzie stał posąg kamiennej bogini z odłupaną ręką, bo wiedziano o tem, że tego pragnął.



Władysław Orkan

Pochwała życia.

Wstałem dziś bardzo rano,
Gdy ptaki gwarzą o świcie,
Aby, nim mgły nizinne wstaną,
Pochwalić życie...

To bowiem szczęściem darzy,
Co nam o szczęściu śpiewa —
I wtedy jeno drogi skarb,
Gdy się go dusza spodziewa.

I.

Zapłonione błękity,
Przez mrok złocące się struny,
Niebem zajęte gór szczyty,
Grają na cudny dzień!

Różowy pobrzask wstaje,
W złote rozpala się łuny —
A Tatr zostrzone kraje
Jak miecze pełne lśnień!

Rozkwitła zorza ranna,
Ogniem spłonęły niebiosy —
Dusza śpiewa: hosanna!
Raduje się jak ptak. —

Z ziemi, darzonej złotem,
Zachwytne budzą się głosy —
Rajskim ptasząt świergotem
Dzwoni różany krzak.

Na świt! Na świt! — drga serce,
Wezbrane tętnią żywiczną;
W każdej żywej iskierce
Drży oczekiwań chłód —

Na świt! Na świt! — drga życie
Barw zestroją rozliczną,
A tam już na błękicie
Dziwny się sprawia cud...

Wystrzelają promienie
Z niewidzialnego ogniska —
Rośnie w okrzyk jaśnienie
Rozbiegłych w okrąg zórz — —

Raz po raz dłoń niewidna
Groty żarzące wyciska,
Które z powały niebios
Sypią złocisty kurz — —

Blask coraz bielszy wschodzi
Na zorze, złotem siejące —
Aże na lśniącej, płomienistej łodzi
Wypływa Słońce...



II.

Niechaj będzie pochwalona przedziwna krasa ziemi,
Cudownie wyjawiana dary słonecznemi

Niechaj będzie pozdrowiona przeczysta ranna rosa,
Która przemienia łąki w kwieciste niebiosa.

Witajcie bratki moje! o wdzięczne motyle!
Jak przygasłe w pamięci miłowane chwile.

Stokrótki zrumienione, jaskry złotolice!
Skryte w zieleń, nietajne oczom tajemnice.

Najlichsze trawki polne! i wy nieostatnie —
Wszystko duszy radosnej siostrzane i bratnie.

Wszystko pojednoczone w uśmiechu urody,
Jednym rytmem pojęte w rajskie korowody...

III.

Niosą się małe puszyste w zwiewne wieńczone korony; chwieją się dzwonki czyste we wszystkie rozdzwonione strony.

O liljowych czołach pysznią się ząbry okólne; niepokalaną bielą lśnią chryzantemy polne.

Bodziszki o różnym przystroju: czarny, niebieski, różowy, z nad trawy — to tu, to tam — przemienne ukazują głowy.

Suną te kwietne drużyny, te świetne, barwne orszaki, krajem przez łany zbóż, przez miedze, łączki i młaki...

Jakoby wszystko rozkwitłe na gody dążyło weselne — tryskają co moment uśmiechy, wznoszą się wonie kadzielne.

Jako lichtarze nocy dymią się wonne storczyki, zgasiło bowiem już słońce ich zzieleniałe ogniki.

Z przyczyny szarości kwiatu w tłum pospolity zepchnięta, aby okazać swą moc: nad inne wonieje mięta.

Bezcennie unosi się z miedz przedziwna woń macierzanki — jak słodkie jakieś wspomnienie, jak myśl o włosach kochanki.

A oto staw wonności, dar tej porannej godziny, różowe w bezmiar pole kwitnącej koniczyny.

IV.

Wdzięcznym jest ogród ziemi, słońcu otworzony
Ujęty morzem nieba między silne skłony.

Jeśli dusza z miłością w jego ścieżki wchodzi
Wtórnie się pośród kwiecia na szczęśliwść rodzi

Raj to jest, gdzie Myśl Boża śni o swoim celu,
W bławacie utajona i w najlichszem zielu.

Cudnie śpiewają kwiaty, cudnie mówią wrzosy —
Szczęśliwy, kto uczuciem pojmie one głosy.

Słodycz jest darem niebios. Słodka koniczyno
Razem oto kwitniemy, za jedną przyczyną.

Swiatło jest w nas i życie — we wszystkiem tak samo.
Wieczność jest dniem stawania, a noc śmierci bramą

V.

Niknie mgieł polnych gaza, unosząca się nad ziemią, jak śnienie; chłód ranny, strwożony słońcem, pod leśne uchodzi cienie.

Gasną brylanty rosy — blask je po drodze wypija, gdy, pozdrawiana światłem, chwila się z chwilą wymija.

Dzień się szerzy na ziemi, powietrze żarność przenika; aliści nad krasą pól przedziwna wstaje muzyka...

Jak gdyby podmuch swawolny dzwonił o włóśnie promieni: rój muszek naobszerz gra, jako udoła najcieniej.

Wtórują mszyce znikome temu orkiestry wzniesieniu i dźwięczą brzęczki złote swój ton o szklanem brzmieniu.

Organnie przenoszą się pszczoły, basują wąsiate trzmiele — cała orkiestra zleciała na złote kwiatów wesele.

Rozswawolnił się obszar: wszystko, co kwitnie i rośnie, w tan się muzyce podaje, słońcu, weselu, wiośnie...

Oto wysmukła centorja różowe kreśli zakola, obok niej mieczyk, jak chłopiec, dwornie jej służy przez pola.

Wyczki za ręce się wzięły i w pląsach gromadnych się mienią, ostróżki zasię z osobna weselnym radują się brzmieniom.

Różnostrojne orliki jak drużby we wstęgach się niosą — lśniąco-gwiaździste rumianki uśmiech oddają niebiosom.

Trzęsą się białe kądziołki jak babki powyczepiane — skrzyp skrzypi, szelążnik szuści, burzany chwieją się pijane.

Całą kwiecistość przestrzeni pojęła radość grająca — wszystko w tanecznej rozbawie płynie naprzeciw Słońca...

VI.

Wesel się, duszo moja, pląsaj wraz ze wszystkiem,
Bądź porówni z muszkami, z promieniem i listkiem.

Zespól się światłem oczu z ogniem spadłej rosy.
A uczujesz rosnące w swem wnętrzu niebiosy.

I wysłuchasz z ócz kwiatów, płonących szczęśliwie,
Iże radością świat jest i wszystko, co żywie.

Myśl Boża się raduje w uśmiechu pogody,
Gdy żywoistne tańczy swoje życia gody.

Jakaż radość promienna, że nam oto dano
Czuć bóstwa uśmiech w sobie w to słoneczne rano.

Wesel się, duszo — niebo upadło w twą studnię —
Pij zachwyt, zanim przyjdzie znużone południe.



M. Nostitz-Jackowski

ŚLAD

Przed wieloma... wieloma wiekami to było...

By wygięta muszla perły, przez którą w wiecznym rytmicznym poszumie przelewa się potęga fal prężnego morza, istniała zapomniana kraina.

Złociły się piaski nadbrzeżne, nizane, by kobierzec wschodni w roztęcz-barwną konch a korali.

Cicho kładły z wieczora, fale w biel śnieżną zdobne koronkowych pian, daninę dosytu wybrzeżu i odpływały z błyskiem różowego świtu heń gdzieś ku wielkiej władzy słońca, unosząc ze sobą potęgę tęsknoty nadbrzeżnych szarych granitowych skał.

Kraina była zapomnianą.

Nigdy na złoto-sypkim piasku nie pojawił się rzeźbionym zdobywczą mocą wgłębieniem ludzki ślad.

Podczas jeno krab wielki szeleszczącą gędźbą pancerza przecinał panującą ciszę, lub też meduza-ośmiornica rzucona wolą pana mórz huraganu, okiem Cyklopa — bladym — bezbarwnym, przekleństwo rzucała niebu, dusząc larwę własnego ciała spoistą siłą gasnącej potęgi długich, by węże ramion.

Kraina zwała się „zapomnianą" — a jednak w pieczarze, co granitowemi osłoniona złomy, mieszkał człek.

Wichry i burze nazwały go Elim.

Gdy rozperlało się słońce w siedmiobarwnej tęczy, rozbijanych o skały fal, wychodził z kryjówki swojej ze zwojem plecionych sieci, by rzucić je w morską toń...

Płynęły sieci, igrając na lazurowem tle wód, a Eli wyciągał na nagrzanym piasku swą w spiżu kowaną bogom podobną postać, gdzie gdyby melodja najwyższego piękna, pod złotą skórą przelewały się mięśni sploty i śpiewał pieśń pochwalną morzu i słońcu.

— — — — — — — — — —

Aż nadszedł dzień, gdy z piersi samotnego rybaka wydarło się by cichy szmer fal — westchnienie i zdziwił się...

Co zaś to może być!?.. czemu sama pierś pręży się i opada... czemu tentna biją w skroniach... a serce uderza w dzwon?...

W pieczary głębiach skrył się samotnik, na łoże plecione rzucił z morskich traw... zakrył potęgę źrenic drżącemi rękoma.

Co zaś to może być!?..

Niepokój dziwny ogarnia myśl i leży, by czerw w niej drąży.

Niemoc li?

— — — — — — — — — —

Chychotem wichru smagany wybiegł przed grotę rybak... na wilgłym pianą słoną piasku klęknął... wyciągnął ramiona ku słońcu... całą potęgę wiary w błagalny kładąc zew.

„O, słońce!.. dobre złoto-promienne słońce!
„ciepłem swoim od niemowlęctwa karmiłoś
„ciało moje.
„Ukochałem szatę purpurową, w której że-
„gnasz ziemię pod noc....
„Ukochałem obecność twoją w muszli stu-
„barwnym
„połysku... w miedzianym tonie mojej
„własnej piersi...
„Ratuj mię słońce!.. W nieznaną popadłem
„chorobę...
„dreszcz targa ciałem, a niemoc ogarnia
„myśl!...

Schylił się rybak, by czołem przed wielką słońca potęgą uderzyć....

I nagle zamarł w bezruchu.

Na wilgłym piasku wybrzeża ujrzał ślad — ślad drobnej kobiecej stopy.

Rysował się delikatny w konturze, subtelny, lekki...

Przez głowę Elego błyskawicą przesunęła się myśl, zali kraina już nie jest „zapomnianą".. a więc naleźli i przyszli mącić mu ciszę....

Lecz czemuż to ślad taki drobny... czemu z łatwością skryć go dłonią może... nakryć zupełnie... ten.... taki mały,... malutki, zda się jeszcze ciepły od dotknięcia stopy różowej ślad.

Odszedł Eli do groty z głową na piersi zwieszoną, a odpływ splątane, zapomniane uniósł sieci.

— — — — — — — — — —

Coraz bardziej w pajęczynę śnień omotywował „ślad" myśl Elego.

Co wieczór, gdy słońca krąg szkarłatny ginął w granacie morza, biegł przed grotę swoją, by naleźć na piasku stopę cudną.

O modlitwie do słońca przepomniał rybak.

O hołdzie powinnym morzu.

Rzucone niedbale wikłały i darły się sieci.

Wycieńczenie nocy bezsennych okrążyło cieniem głębokim źrenice jasne i ściosało mięśnie z potężnych ongi bark.

I najdował Eli codziennie ślad drobny...

Klękał przy nim, drżącą dłonią gładząc brzegi poruszonego warstewką piasku.

Aż kiedyś przywarł doń ogrącemi usty i w wielkim rozkosznym upojeniu trwał.

Eli pokochał ślad.

— — — — — — — — — —

Zczerniały od wichrów co potężnemi skrzydły by ptaki złowróżbne uderzają od morza, wychudły... o wargach spękanych gorączką i łzami nalanych źrenicach szeptał Eli, w „ślad“ wpatrzon swą tajemnicę:

Kocham cię, by wielką jaśń świtania; kocham, by białą pianę fal... by wszystkie sny moje.

O jakże cudną musisz być ty — której stopa na zapomniany zawitała brzeg.

Łzami co płyną z oczu mych gorących zraszam cię o śladzie...

Wyrośnie z ciebie cud, którego wiecznym niewolnikiem będę...

Wyrośnie kwiat szczęścia nieznany dotąd na zapomnianym brzegu...

I patrząc nań — drzeć będę by wątły liść...

Usta Elego, na których czerniały spiekłej krwi rubiny, całą mocą pożądań wtuliły się w ślad.

— — — — — — — — — —

Dotknięciem drobnej dłoni zbudzony z rozkosznego snu, podniósł Eli ociężałą głowę.

Przed nim na tle seledynowych mgieł zachodu niewiasta stała...

Złotomiedzianych włosów ciężki płaszcz bramował cudo lic o brwiach sobolich... oczach, co tonie fjordów w potędze zamknęły źrenic...

Na ustach, by kwietne płatki świeżych kładł się refleks purpury zachodu podobnym je czyniąc krwi.

Opływa włosów lśniąca fala postać jej kutą w karyjskim marmurze... pieściła piersi wysokich pąkowia... leniwie tuliła do amforze podobnych biódr i słała cicha na różowej poświacie drobnych stóp.

Zdumionym wzrokiem patrzał Eli,...

Długo oczy jego ślizgały się po posągowych linjach młodego ciała.

I wybiegł z ust niewiasty szept, by lutni wielostrunnej dźwięk.

„Jam to jest — która ostawiła ślad.“

Długo... długo... na żywy posąg patrzał Eli... pioruny źrenic gasły... z głębiny ich poźrała na świat wielka... przepastna... nuda

Aż oto wstrząsnął nim dreszcz... wyciągnęły się ramiona ku miejscu, gdzie drobna stopa widna w piasku nadbrzeżnym...

Do mózgu napłynęła bujna fala krwi.

Pewnością a siłą z warg spłynęły słowa „kocham ślad...“

— — — — — — — — — —

I wgryzły się w piasek usta Elego, by w wypukłą bryłę, a z głębi piersi dobył rozkoszy jęk...

Niewiasta stała przez chwilę pełna zdziwienia na w upojeniu leżącego patrząc... i krokiem tanecznym w siniejącą odeszła dal.



M. Zaklicka
art. teatru im. Słowackiego

Adam Kowalczewski-Siedlecki

W PRZEZNACZEŃ KRĘGU . . .

BYŁAŚ, ODESZŁAŚ — NIEMA CIĘ — CÓŻ ZATEM,
CO MI ZOSTAŁO W DALSZĄ ŻYCIA DROGĘ?
CZY BYŁEM WŁASNYCH DNI MYCH HEROSTRATEM?
NIE WIEM — NIE POMNĘ — ANI CHCĘ, NI MOGĘ. —

PIŁEM CIĘ ŻYCIE USTY SZKARŁATNEMI,
I NIE ŻAŁUJĘ Z HAUSTÓW NI JEDNEGO . . .
PRAGNIENIEM GASIŁ Z ŹRÓDEŁ MATKI ZIEMI
GRZECHU I CNOTY — KRWI i ŁEZ — CÓŻ Z TEGO?

ANIM NASYCON, ANI TEŻ SPRAGNIONY.
SAM NIE WIEM JAKICH WÓD ZAŻĄDAĆ DESZCZY,
USTA BEZWOLNIE SZEPCĄ ANTYFONY
KŁAMIĄC ASCEZĘ — DYSZĄ SPAZMEM DRESZCZY.

WSPOMNIENIEM ZGUBIŁ — NIE WIEM CO PRZEDEMNĄ,
I JAK DALEKO JESZCZE IŚĆ WYPADNIE . . .
A JEDNAK ŻYJE SNÓW ZAGADKĄ CIEMNĄ
NIE SPITA KROPLA — CZEKA W CZASZY NA DNIE . . .

KROPLA OSTATNIA — MOJA — I BEZCENNA,
PŁOMIEŃ ZAKLĘTY W WENECKIM KRYSZTALE!
GDY SPŁONI USTA — ZGAŚNIE DNI GEHENNA,
ZGINĘ — JAK GDYBYM NIGDY NIE BYŁ WCALE . . .

LECZ PÓKI ŻYWIE WE MNIE TO CZEKANIE
CZEGOŚ CO PRZYJŚĆ MA — PRZYJDZIE CHOĆ Z ZAŚWIATÓW,
PÓKIM GOTOWY DAĆ ZBAWIENIE ZA NIE,
I PROZĘ ŻYCIA WZNIEŚĆ — DO POEMATU,

TOM MOCEN — NAWET WŚRÓD GROBNYCH PAMIĄTEK
WśRÓD PODEPTANYCH KWIETNYCH WIRYDARZY
JESIENIĄ — WIOSNY SNUĆ PROMIENNY WĄTEK
ŚWIĄTYNIE WZNOSZĄC Z ZWALONYCH OŁTARZY.

I JEŚLI Z PRAGNIEŃ W PIERSI COŚ KOŁACE,
I MAM JE UJĄĆ W SŁOWA WYOBRAŻEŃ
TO PRAGNĘ ZRZUCIĆ Z SERCA MARTWY KAMIEŃ
I RZEC CI — ŻE CHOĆ . . . ZA NICZEM NIE PŁACZĘ . . .

CHCIAŁBYM PRZY STÓP TWYCH PAŚĆ KONFESJONALE,
I JAKO KWIATY NA MOGILNEJ DARNI,
JEDNE PO DRUGICH SKŁADAĆ CICHE ŻALE,
ŻE JEDNAK ŻYCIE — TAK WYGASA MARNIE . . .

MOGŁO PIORUNEM BYĆ ALBO PŁOMIENIEM,
OSTRZEM BRZESZCZOTA CO TĘCZ ŚCINA KOŃCE,
A JEST I BYŁO I OSTANIE — CIENiEM . . .
CO Z BLASKU ŚLEPE — PYTA WCIĄŻ, GDZIE — SŁOŃCE?

WSPOMNIENIEM ZGUBIŁ, NIE WIEM CO PRZEDEMNĄ
I JAK DALEKO JESZCZE IŚĆ WYPADNIE
I ŻYJĘ — TUŁACZ SNÓW ZAGADKĄ CIEMNĄ
NIE SPITA KROPLA — CZEKA W CZASZY NA DNIE.



M. A. Liberak

JAKO JENDRUŚ STOPKA BOROWY CO NA JAWORZYNCE BACUJE UCYŁ PSA SCEKAĆ

Jendrusiowi juz cedniejako sie wiedło łod kiela roków. I tu beł i tamok ai leśnem w Kuźnicak tez beł.

Śwarny i harny, honornie sie nosieł. Postrzelonego jelenia wroz z psami zgonił, z panoskami na polowaniak we dworze o stowke seł, ci równo ze psami na Wirk Krokwie, Hruby Regiel abo na Cube wyleci, a ludziska godali: „W Borowym wiecie nima ani krwie ani miensa jeno same zyły hyba w staryk hamerniak Kuźnickik pokute“, — taki hipki a zwyrtajency sie beł.

Hale nie wiedło mu sie boi nie beło z cego. Co dutków ka zarobieł to i abo sie ozesło, abo z kamratami na gorzołke posło, jak nie po Godnik Świentak, to we Wielkim Poście, jak nie na weselisku, to na oświenceniu cyli jako to padajom krzcinak, jako ze Borowy łod nikogo nie stronieł i zawdy kompaniom trzimoł.

Jaz noreście poceno mu być jakosi krzepcej na świecie bo łociec go łodumar. Łostawił mu kapke grontu i mizernom gazdówke, noi poseł Jendruś podzienkować pieknie rzońcy kuźnickiemu i nodleśnickiemu za słuzbe, a hycił sie bacowanio. Scenściło mu sie sitko pieknie, boi babe mioł sikownom i sitko co sie patrzi, ino zawdy jakiesi cosi kasi wlezie co nie potrza, kie cłekowi sie scenści.

Tako wej wiecie i z Jendrusie beło.

Wykupcył na Łuptowie łod Hliniańskiego bacy pieknego co cud psa. — Pies mioł cosi ze trzi tyźnie. Rós warciutko tenzoł jako trza, zerny beł, co nic mu pedzieć ani przyganiać, bioły kie śnig, wielgi kie staro łowca, kufe mioł zdarnom, hruby w piersiak, pocerniaty w pysku, — jako to gwarzom wydażony. Zazdrościli mu łonego psa i gazdowie po wsiak i bacewie po holak.

Sitko sło dobrze, hale coz, pies rós i rós a nijako scekać niekcioł. Cedniejako śnim Jendruś radził. Nawarzył mu goryczki, ku temu nasuł kupionego w Zakopanem pieprzu z paprykom, a jesce ku temu wsuł habryki z miechurka, bage z fajki, kapke gasonego wapna ku ostrości, ozwar psu pysk toporzyskiem łod ciupagi i wloł mu w gordziel. — Pies cosi bez trzi dni chodził smutny, bo go Jendruś puścił z łańcucha, a potem nic. Prziwionzoł go na łańcuch pore razy kopnon coby go łozeźlić, to znowu ciongnon go za ogon po chwile za usi, za kudły na gordzielu, to znów ciupazeckom zbyrcoł mu po budzie, a pies nic, a nic ino w kont sie howoł, abo pysk odwracoł.

Radzili Stopce ludzie cedniejako, to kudły psu przipolić, to na rencak i nogak podchodzić ku niemu i wyrceć noń trzymajency kapeluś w zembak, to go noroz do wartkiego potoka wtroncić, niedać mu zeń bez długom kwile wyść, a potemu toporzyskiem go na brzegu wyobyrtać. Robił Jendruś co móg.

Roz go we dwok ze starsim juhasem tak wzieni co go mało nie łozdarli. Jendruś ciongnon za głowe, a juhas za łogon, i ciongneni co wydołali a pies kie go puścili to ani ik nie uzar jako se myśleli ani nie sceknon ani mu nawet w gordzieli nie horkotło ino sie przewalił i nic.

Śmieli sie ludziska, bo wto przidzie ku sałasu, to pies krenci łogonem i nic nie sceknie, mozno mu ai do kufy pienść wsturzyć, a łon nic. —

Markocił sie Jendruś i w chałupie nimóg usiedzieć i w sałasie przi watrze tyz nie, bo go

wiecie straśnie gryzło na wnientrzu. Roz cosi bez pore dni nie doł psu ani wody ani jeść. Pies lezoł kie worek gryz bude, kufe do rozgrzebane ziemie wkładoł i nic.

Roz beł w Zakopanem w korcmie na muzyce. Prziśli Łolcanie. Kie Jendrusia dozrzeli zaroz mu śpiewać:

„Naski Jendruś baca, cuda wyprawuje

Ciele na postrunku, sałasa strózuje".

Porwoł sie Jendruś i ucik, bo co mioł pedzeć.

Beł roz Jendruś w Zembie na weselisku, aze mu śpiewajom:

Jendrusiu kumotrze, coz za figle strois

Łowce scekać ucys, psa bez rok wydois".

Nimóg juz Jendruś sitkiego przeniść. Zesech ze stropienio, bo ka poseł to bace i juhasi weredy za nim:

„Jendruś, jakoz wom sie ten pies wiedzie" abo, „Swoku kie bendziemy zaprzengać wasego psa, bo godnie urus silny je juz, bełaby piekno pora ku temu osłowi coto łońskiego roku w cyrku w mieście kumedjanty go mioły, a nimogli go nika zporować". Abo tyz: Dejciez go ku dworu bedzie cepculom w Kuźnicak w łogrodzie wode łozwoził, a konie dadzom se ku inne robocie". Niektórzy też pedali Jendrzkowi: „Dejciez go juz na holom ku krowom, bo trowa podrosła, to sie bedzie z krowami pos, a na jesień jesce piekniejsi bedzie".

Jendruś uciekoł, klon sitkik i na sitko, ai na sałasie ostawieł storsego juchasa zostempce bo mu juz wstyd było tamok iść.

„Coz" — myśli — „zabić złom krew, to nic z tego bom i łowce zoń doł i pore łoscypków gorzołke me popili, a pies przecie piekny".

Myśloł medytowoł chodzieł kie warjok na ksienżycu, abo ceperski łazok w jesienny disc po Świnnice, aze mu coś noreście przisło ku myśleniu temu do głowy, umedytowoł usiedzioł pod smrecoskami w żlebie, poseł ku chałupie, wzion dutki z zastrzechy co pod gontami nad somsiekiem siedziały na cienzkom godzine, za pazuchem i poślepkoł sie w Zakopane.

Dnioło juz kie przisel na sałas. Przniniós ze sobom becke z cimentu zwycajnom cementówke ino silnom jako to bywajom. Siod se pod sałasem. Raźni mu sie jakosi zrobieło. Poźról na niebo, piekny dzień sie robi. Słonecko zacyno na ziem pozirać.

Wstoł, wyjon flaske z zo pazuchy, łyknon, kopnon we dźwirze sałasu, „Józuś — Józuś, zje pójdzie" — zawołał na starsego juhasa." Naści, sprugujze, a łykoj wartko bo tenge je. Wstawojcie łopci ku łowcom", budził ostro juchasów.

Wyprawił sitkik z geletami ku kosarowi, a kie zmówili pocieże i zaceni doić, wzio Jendruś psa, łodpion z łańcucha, wyciongnon snur z zawionzanego renkawa cuski, okrencił mu go za kolce na syji, drugom renkom cymentówkę na plecy se bechnon. „Podź"-ino pedzioł do psa, noi pośli.

Sporom kwile śli na Bocoń brzyskiem, aze na grań.

Jendruś nic nie mówił jeno psa pociongał za sznur.

Słońce juz pieknie stoło na niebie, kie Jendruś siod se na skolak. Cementówke złozeł na ziem, otar renkawem kosule pot z coła i gemby, pociongnon łyk gorzołki z flaski.

„No widizs" — pado do psa — „nie kciołeś iść ale my prziśli." — Tylo ci godom psio duszo, ze kie ci teroz nie pomoze, to se widz, ze wnet cie z tego świata wyprawiem, to juz nie bedzies musioł scekać kie niekces. Zebyś se wiedzioł, ze na takiego psa toi kulki z pistolca skoda, ba łobuch wystarcy, tak ci psie futro godom cobyś se pomiarkowoł, łostatni roz wiedzioł jako sprawa stoi, a łeb mos duzy proci inksym psom to musis wiedzieć psie mino abo mienso, zło krew".

Pociongnon Jendruś znów łyk porzondny, aze mu gordziel skrenciło. Splunon bez zemby łotar renkawem gembe, wstoł, wyciongnon denko z becki, psa odwionzoł, wpakaowoł go w becke, przistawieł denko napowrót, wyjon z kiesenie półgontowce, wzion skolom w renke i zabił denko. Pies zacon sie skrobać po becce.

„Wiency juz ci nic nimom ku ciebie do godanio mójeśty scekajency com sie bez cie łod cedniejakik ludziów sitkiego naznosieł, teroz poprugój i ty psie na-sienio".

Jendruś przewrócił becke i przitocył jom ku krawendzi ponad wystajonce skołki i wywiejiska ze skoli. Pare razy pobiwsy pieńściom po becce kopnon jom co mioł siłe na dół.

Becka jak piłka rzucona, skakała z głazu na głaz, coraz wyżej odskakując, tocząc sie dnami po usypiskach, lub w zawrotnym pędzie odrzucając mniejsze napotkane kamienie.

Jendruś wyprostowal się, podnios pieńść w góre groził w strone ozpendzonej becki.

„Mos teroz mos — — nadormom ci tylo zryć dawoł, mos zło krew, mos, — — spaśnyś jako wieprzek, a może ci gordziel łodetko abo cie djobli weznom“.

Jendruś splunon, ulzyło mu.

W połowie góry beczka spadając jakie 10 metrów w dół prostopadle, pękła, spadając na głazie i rozsypała się.

Na czastkach wił się sturbiony wyjący, szczekający pies.

Zerwał się nagle, skoczył, stoczył się znów kilkanaście metrów w dół, znów zerwał, dopadł podnóża góry, przeleciał, wyjąc skomląc i szczekając dolinę, wpadł w potok, znów się porwał, szczekając rozpaczliwie pędził na oślep.

Stopka wkrótce zgubił psa z oczu na zakręcie.

Siedł na kamieniu, nałożył fajkę, pośliniwszy i ugniótłwszy w ręce tytoń, rozcierając go na dłoniach. Zapalił pociągnął kilka razy i powoli zaczął schodzić.

Kie prziseł ku sałasu juz dobrze z połednia beło, jako ze mu sie nie spiesyło wracać.

„Łopci, dwok wos pudzie psa sukać, a jo z dwoma łostanem. Nie wracojcie pokiel sie nie dowicie ka poseł, abo co śnim je“.

Pośli juhasi na to sukanie. Bez trzi dni ik nie było.

Noreście naśli psa w Kościeliskak i prziwiedli.

Łobeźroł go baca. Zdrowy beł ino skóra ka nieka podarto beła.

Upion go Stopka na łańcuch, doł mu jeść.

Pies nie bardzo sie broł ku jedzeniu ino ciegiem kie sie ka co rusyło scekoł, a kie wto sie zblizył ku sałasu, abo durknon o sałas, z drugie stiony, to pies kcioł sie zadowić na kolcak łod scekanio.

Jendruś poweseloł, rod słuchoł tego psiego głosu, bez dzień ai w nocy, bo juz mu inacy w sałasie teroz beło, wesoło.

Noi tak scekoł ten pies bez całe lato, a Jendrusiowi Stopce Borowemu cisto pieknie zdrowie i figle do głowy wróciły jako to przudzi bewało.

Znów sitko beło dobrze i sonsiedzi godali „Cosi Jendruś zamówił tego psa, bo tak teroz bez cołe nocy sceko po próżnicy, hale dobry je pies śniego. Kiebyście go tak łostawieli somego toby my wom go ukradli, bo sprzedać to wiemy ze go nijak niedocie“. Harnioł Stopka łod tek pokwoł.

Przesło lato i jesień, wrócili ku wsi, a pies scekoł hale i hudnon. Jakosi w zimie juz, łod tego scekanio zdechno.

„Dobregoście scekajencego mieli psa“ — Jendrzeju — „skoda go“ pado baca z Mientusi, na wiesne kie przisel poźreć ku Stopce na gazdówke cyli bacówke do wsi. „Ano dobry beł“ pado Stopka „skoda go, bom go przecie scekać wyucył i przinojmnij honornie zdech jako scekajency, a nie cygański pies. Musem znów poźreć za nowem na Luptów bo bez scekanio to na sałasie jako wiecie nima se ka mijsca naść i markotno cłekowi, ai ludzie jakosi inacy ło bace dbajom kie mo scekającego psa. —



Z krakowskich baśni

Jak dziewucha została „panią"

Był bardzo majętny dziedzic, kawaler. Podobała mu się „jednego chłopa córka" i chciał się z nią żenić. Dziewucha była bardzo ładna i mądra, ale zawsze była chłopskiego stanu, więc żeby ludzie nie gadali, że się z dziewczyną prostą ożenił, chciał pokazać przed światem, że jest mądra i warta być jego żoną, i że „z mądrości się z nią ożenił".

Ano tak posłał po jej ojca, a ten ojciec był stary. Jak przyszedł, tak mu ten pan mówi:

— Wiecie co! ja się z waszą córką ożenię, ale musi zrobić to, co ja jej każę. Jak mi tego nie spełni, oboje śmiercią zginiecie. Chcę: żeby przyjechała do mnie — a nie przyjechała, nago a nie nago, żeby mi dała „prezent" a nie dała.

Stary zafrasował się bardzo, bo mu się to wydawało niepodobnem do wykonania. Wrócił do chałupy, cisnął kapeluszem, nic nie mówił i nic jeść nie chciał.

— Tatusiu! cóż wam to? — pyta się córka.

— No i cóz poradzis? lepiej idź i powieś się zawcasu! bo nic nie poradzis temu, co pan dziedzic kazał.

— Ja sie wiesać nie bede i poradze na to, co pan dziedzic kazał, tylko powiedźcie, co?

— Wies co! powiedział pan dziedzic, ze sie ozeni s tobą, ale zebyś przyjechała do niego — a nie przyjechała, nago — a nie nago, zebyś mu dała „prezent" — a nie dała. Jak tego nie zrobis, śmiercią nas ukarze.

— Oj! idźcie tatusiu! co sie tak o to trapicie, idźcie mi przynieście cyrpak, przyprowadźcie kozę i złapcie mi skowronecka!

Stary przyniósł jej to wszystko, a ona odziała się czerpakiem na ryby (sieć) i była nago — a nie nago. Przysiadła na kozię tak, jakby trzymała w ręku lejce, i szła — więc jechała, a nie jechała. W drugiej zaś ręce trzymała skowronka.

Dziedzic czekał na nią na ganku. Gdy ją tak zobaczył, zdziwił się bardzo, zeszedł z ganku i rzekł:

— Wszystko dobrze, ale masz prezent?

— A mam! — odpowiedziała. I gdy on wyciągnął rękę po prezent, otwarła dłoń, z której wyleciał skowronek. Dała mu „prezent" a nie dała.

Tak pokazała panu, że jest mądra dziewucha, i pan ożenił się z nią — i była panią.

Szukali biedy

Raz jeden majętny kupiec miał trzech synów, którzy mu pomagali w sklepie. Przychodzili do sklepu ludzie i żalili się nieraz na biedę. Najmłodszy syn kupca nie wiedząc, co to znaczy, dziwił się i pytał się najstarszego:

— Powiedź mi, co to jest ta b i e d a.

Na to odpowiedział mu średni, że ta „bieda" to musi być jakaś baba, co ją nazywają „bieda", że musi ludziom „co psocić", że narzekają na nią.

„Uparli się" wszyscy trzej przed ojcem, że muszą iść szukać tej biedy, jak ona wygląda. Ojciec nie mógł się ich pozbyć i pozwolił im iść i dał im pieniędzy na drogę. Najmłodszy wziął sobie z domu koguta i kurę, średni psa i sukę, a najstarszy kotka i kotkę. I tak poszli szukać tej biedy.

Zaszli do jednej wsi, gdzie bardzo ludzie narzekali, że nie wiedzą o której godzinie rano wstać, że nie mają nikogo, ktoby ich pobudził. Więc ten najmłodszy się odezwał, że on ma takie zwierzętko, co od północy do rana budzi.

— Oj! żebyście nam też to zwierzątko dali, my się już i poskładamy i zapłacimy wam dobrze — ozwali się ludzie.

Złożyli mu dużo pieniędzy i on im sprzedał parkę na „rozmnożek". Poszli potem dalej w drogę, a ten najmłodszy śmiał się z drugich, że on już ma pieniądze, a oni jeszcze nic nie mają. Zaszli teraz do wsi, gdzie się ludzie skarżyli, że ich złodzieje bardzo kradną, że ich nikt nie ma od nich bronić.

— Ja mam takie zwierzątko — zawołał średni — które nie da złodziejom przystąpić do chaty i zaraz głośno szczeka.

— Oj! żebyście nam to zwierzątko dali, tobyśmy wam dali pieniędzy, ilebyście chcieli.

Dali mu kupę pieniędzy, a on im zostawił psa i suczkę „na rozmnożek".

Poszli dalej. Zaszli do miasta, a że byli głodni, wstąpili do „traktyjerni". Patrzą, a tam w tej traktyjerni chodzą „kelnerzy" z batami, z „kańcugami", zarzuconymi na plecy. Zdziwieni pytają się, dlaczego oni chodzą z batami, a oni odpowiadają, że się muszą oganiać od myszy, że ich jest tak dużo i są tak śmiałe, że nie mogą talerza postawić na stole, bo jak tylko postawią na stole, to zaraz zjadają.

— A mam tu ja zwierzątko, które jest bardzo łakome na myszy i umie je tępić — rzekł najstarszy z braci.

— Co chcecie za to zwierzątko, to my wam damy! — zawołali „kelnerzy".

— Ano dajcie tyle i tyle . . .

Zapłacili ile chciał i wzięli kota i kotkę.

Na drugi dzień wczas rano poszli trzej bracia w dalszą drogę, szukać tej biedy. Ciemno już było jak przyszli na kraj dużego czarnego lasu, pod którym ujrzeli niską zgarbioną chałupkę, w której się świeciło. Zaglądnęli przez okno — i spostrzegli babę niezmiernie wysoką, chudą kościstą.

— Może nam nie odmówi noclegu . . . — pomyśleli sobie bracia i weszli do chatki. Pochwalili na wstępie Pana Boga, baba odpowiedziała „na wieki wieków" i podała im zaraz „na pierwsze wejście" trzy stołki, żeby sobie usiedli. Ale jak usiedli, tak już wstać z tych stołków nie mogli, bo ich ta baba zaczarowała. A to była właśnie ta „bieda", której szukali, — i tak już siedzą na tych stołkach do dziś.

Spisał podług opowiadania KAROL MATYAS

Elektrownia miejska w Krakowie



Widok głównego budynku elektrowni przy ulicy Dajwór



Inż. Stanisław Bieliński
Dyrektor Elektrowni miejskiej w Krakowie

Niedaleko Wisły na ul. Dajwór wybudowano w 1904 roku małą fabrykę energji elektrycznej o mocy 400 k. M. i nazwano ją elektrownią miejską w Krakowie.

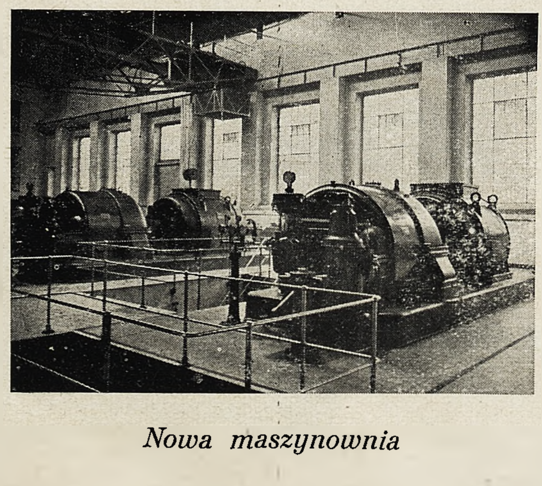
Lat 20 upłynęło od chwili, gdy zaświecono pierwszą lampkę w Krakowie, a ta mała fabryka w bardzo szybkiem tempie rosła, nawet podczas światowej wojny, i obecnie jest wielką elektrownią, która codziennie spala na rusztach pod kotłami przeszło 10 wagonów węgla i, korzystając z wody z Wisły, wytwarza ogromne ilości pary.

Para ta w maszynach i turbinach parowych o łącznej mocy 21 900 k. M. daje energję mechaniczną, która w prądnicach zamienia się w energję elektryczną o różnych napięciach. W stacjach transformatorowych rozrzuconych na całym obszarze zasilania i w dwóch podstacjach w Podgórzu i na ul. Łobzowskiej otrzymujemy już napięcie użytkowe, jak 3x220 Wolt prądu zmiennego, 2x220 Wolt prądu stałego i 500 Wolt prądu stałego dla tramwaju.

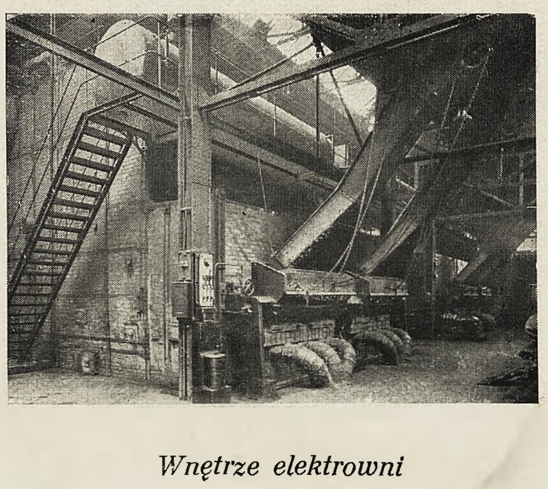
Obecnie prawie już niema mieszkania, sklepu, kawiarni, szkoły itp., niema warsztatu wielkiego, czy małego, niema fabryki, gdzieby energja elektryczna z krakowskiej elektrowni nie pracowała, czy to w postaci energji ko energja mechaniczna w silnikach elektrycznych, czy wreszcie jako energja cieplna w najróżniejszych grzejnikach elektrycznych.

Energja elektryczna jest rozprowadzona po całym wielkiem Krakowie i het daleko do Rybitwów, Prokocima, Borka Fałęckiego, Bielan, Prądnika Białego itd.

Sieć ta olbrzymia, w której długość podziemnych kabli wynosi około 500 km., a miedź światła w lampach elektrycznych, czy to ja w nich zawarta waży 360 ton, stanowi z wielkiemi maszynami, kotłami, i ze wszystkiemi odbiornikami energji elektrycznej aż do najmniejszej kilkuświecowej lampki organiczną harmonijnie pracującą całość.



Nowa maszynownia



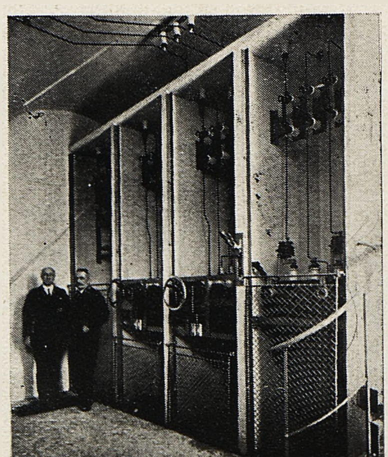
Wnętrze elektrowni



Kraków w nocy: Ulica Sławkowska *Oświetlenie lampami żarowemi wysokoświecowemi*

Bez energji elektrycznej niema kulturalnego życia, niema przemysłu!

W gospodarstwie domowem stosuje się ją powszechnie: maszyny do szycia, do froterowania, do czyszczenia dywanów (Vacum Cliner), maszyny do siekania mięsa, do przecierania kartofli itp. — wszędzie tam pracuje mały silnik elektryczny załączony do kontaktu.



Wnętrze stacji transformator. z Dr. L. Zglińskim

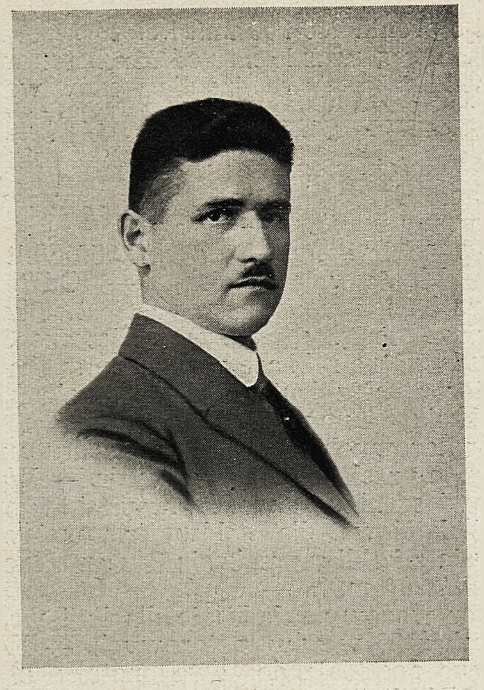
Również szerokie ma zastosowanie elektryczne gotowanie, prasowanie, suszenie owoców itp.

Należy jeszcze wspomnieć o pracy energji elektrycznej w lecznictwie, jak w lampach kwarcowych, aparatach Roentgena, pantostatach, wiertarkach dentystycznych i wielu innych aparatach.

Energja elektryczna w całem życiu człowieka tak we dnie, jak i w nocy bierze udział czynny. Bez niej żyć trudno, a jak smutno, gdy na wezwanie nie zjawi się.

Stacja transformator. naprzeciw Głównej Poczty





Inż. Tadeusz Polaczek
Dyrektor Sp. Tramwajowej w Krakowie

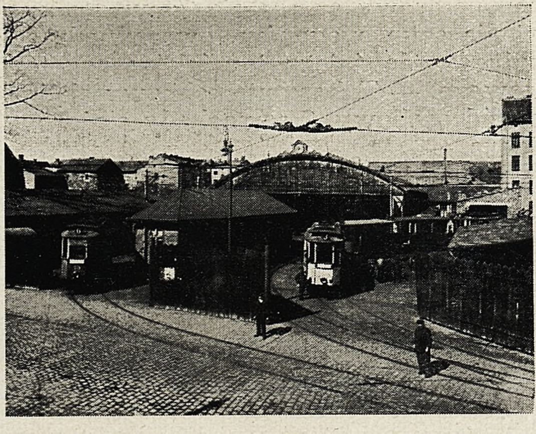
KRAKOWSKA SPÓŁKA TRAMWAJOWA

Bez rozgałęzionej sieci tramwajowej ożywiony ruch wielkiego miasta nieda się pomyśleć. Tramwaje stały się w nowożytnem mieście najbardziej popularnym, demokratycznym, tanim i pewnym środkiem lokomocji i dlatego stanowią główne arterje ruchu. W miarę rozwoju życia handlowego i przemysłowego, tory, które zrazu łączyły ważniejsze punkty miasta, wybiegły daleko poza granice miasta, wiążąc okoliczne osiedla z centrum, a następnie, zwłaszcza w okręgach silnie zaludnionych, utworzyły całą sieć linji. Umożliwiło to licznym rzeszom robotniczym i urzędniczym zamieszkanie w dużym promieniu od miasta.

Jak na każdym polu kulturalnego życia, tak też i w dziedzinie rozbudowy tramwajów pozostajemy daleko w tyle poza zachodem. Jedynie Śląsk poszczycić się może dobrze rozwiniętą siecią tramwajową. Jest jednak nadzieja, że wkrótce w całej Polsce, wraz z szybszem tempem życia przemysłowego, wydłużą się i rozmnożą linje tramwajowe. —

Nie tak to dawne czasy, gdy Kraków posiadał tramwaj konny, krótką sieć torów i małą liczbę wozów. Dopiero w roku 1901, a więc przed 25 laty, Norymberska Spółka, będąca wówczas właścicielem tramwaju Krakowskiego, zamieniła ruch konny na elektryczny. Modernizacja była tylko częściowa, gdyż rozpiętość toru wąskiego pozostała ta sama, mianowicie 900 mm. —

W roku 1911, nabyła Gmina M. Krakowa od Norymberskiej Spółki 95 procent akcji, tak, że stała się faktyczną właścicielką całego przedsiębiorstwa i jako taka przystąpiła do rozszerzenia istniejącej sieci tramwaju elektrycznego.



Ogólny widok wjazdu do remizy

Ponieważ istniejące tory i park wozowy były już bardzo zniszczone, zdecydowano się na przebudowę całej istniejącej sieci i rozszerzenie torów do normalnej szerokości, t. j. 1435 mm. — Szeroki program, który sobie wówczas zakreślono, został jednak tylko częściowo wykonany, gdyż z powodu wypadków wojennych i ogromnej drożyzny materjałów, szczególniej szyn, czynność budowlana stopniowo zamierała, aż w roku 1918, ustała zupełnie. — Z tych powodów przebudowano tylko część linji wąskotorowych na normalnotorowe i wybudowano kilka linji nowych, tak, że obecnie prowadzi się ruch mieszany: wąskotorowy i normalnotorowy. —

Program rozbudowy całej sieci obejmował sieć o długości 35 km, z czego wykonano zaledwie 10,800 km, pozostałoby zatem do wykonania jeszcze około 24 km. —

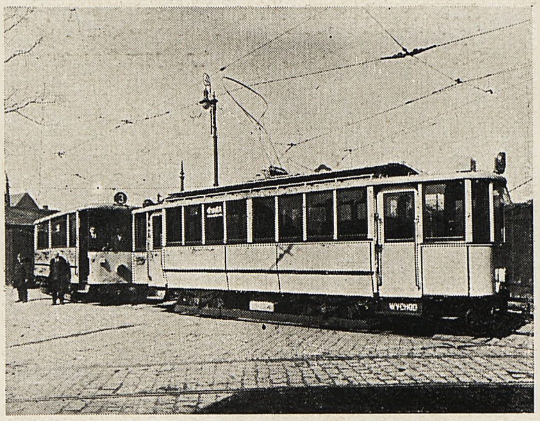


Remizy i Warsztaty

Nawierzchnia na linjach wąskotorowych jest wykonaną z szyn o ciężarze 33 kg i 42 kg na 1 m. b. na podłożu z kamienia łamanego i szutru; na linjach nowych normalnotorowych



Naprawa wozów normalnotorowych



Wóz normalnotorowy z przyczepką



Remiza wozów wązkotorowych

z szyn o profilu 210-200 mm i ciężarze 64,2 kg na 1 m. b. przeważnie na podłożu betonowem.

Budynki obejmują remizę dla wozów wąskotorowych, która pomieścić może 40 wozów i dwie remize dla wozów normalnotorowych, które pomieścić mogą 42 wozy, prócz tego budynki administracyjne, magazyny i pracownie dla naprawy wozów. —

Prąd elektryczny o napięciu 550 Volt dostarcza Elektrownia miejska. — Odbieracz prądu na linjach wąskotorowych jest rolkowy, na normalnotorowych ślizgacz Siemensa. — Przewody górne robocze wykonane są dla linji wąskotorowych z drutu miedzianego okrągłego o przekroju 54 mm kwadratowych, dla linji normalnotorowych z profilowanego drutu miedzianego o przekroju 80 mm kwadr. — Wysokość zawieszenia przewodów wynosi 5,5 m. —

Sieć kablowa dla celów tramwajowych składa się z kabli o przekroju 240 mm, łącznie długości 7,200 m. b. —

Tabor wozowy składa się dla linji wąskotorowych z 29 wozów motorowych. — Wozy motorowe posiadają do dwa motory o sile 16 HP. Dla linji normalnotorowych tabor wozowy składa się z 32 wozów motorowych i 20 przyczepnych. — Wozy motorowe posiadają po dwa motory o sile 45 do 55 HP. — Nadto tabor pomocniczo-gospodarczy wąskotorowy i normalnotorowy składa się z wagonów do skrapiania szyn, wagonów towarowych, solarek, pługów do śniegu i wózków pogotowia remizowego. — Tabor automobilowy obejmuje samochód osobowy, 2 samochody ciężarowe i 1 autobus. —

W latach 1916—1921 zbudowano w warsztatach Krakowskiej Spółki Tramwajowej kilka wozów motorowych i kilkanaście wozów przyczepnych normalnotorowych. —

W najbliższym czasie Dyrekcja Tramwaju zamierza przystąpić do przebudowy linji Nr. 2, w ten sposób, aby ją prowadzić ulicami: Kazimierza Wielkiego, Pomorską, Karmelicką, Podwale, Straszewskiego aż do zbiegu ul. Zwierzynieckiej. —

W późniejszym czasie projektowaną jest budowa dużej remizy wraz z nowoczesnemi warsztatami, a wreszcie później przebudowa linji Nr. 1 oraz linji Nr. 4 na normalnotorowe.

Mamy więc nadzieję, że nie ustając w pracy Dyrekcja Tramwaju w miarę możności i sił finansowych starać się będzie rozbudowę Krakowskiej sieci Tramwajowej dostosować do kulturalnych i przemysłowych potrzeb miasta Krakowa. —

Prezydjum Rady Nadzorczej Krakowskiej Spółki Tramwajowej tworzą: PP. Wiceprezydent Miasta Inż. Józef Sare, jako prezes, oraz Wiceprezydent Miasta Inż. Karol Rolle, jako wiceprezes. —

W skład Zarządu Tramwaju wchodzą: PP. Dyrektor Inż. Tadeusz Polaczek i Wicedyrektor Dr. Stanisław Prostak.

Biura Zarządu Tramwajów mieszczą się obecnie w budynku własnym przy ul. św. Wawrzyńca L. 15. —

GAZOWNIA MIEJSKA

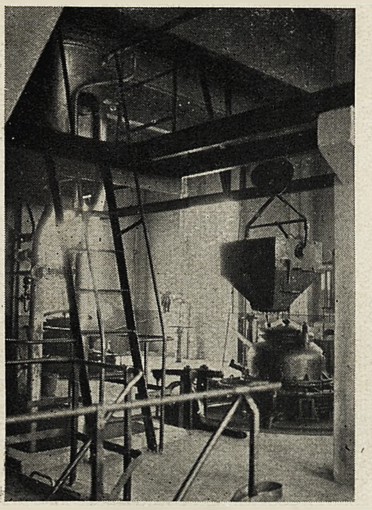


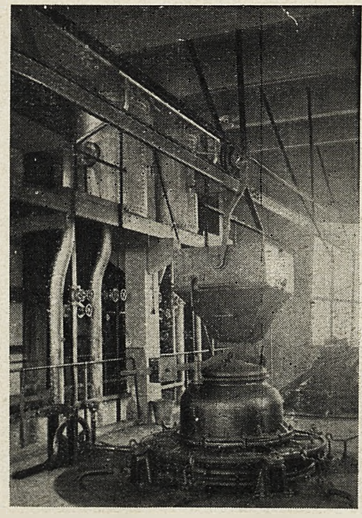
Inż. Mieczysław Seifert
Dyrektor gazowni miejskiej w Krakowie

Sławny Ford rozpoczął karjerę od prac nad gazowym motorem spalinowym. Był to okres w którym wierzono tylko w elektryczność, poza którą nie widziano nic godnego uwagi, uważano więc wysiłki Forda na polu „przestarzałego“ gazownictwa za próżną stratę czasu.

Gdy jednak Ford zetknął się z Edisonem i zainterpelował go o zdanie w tej sprawie, Edison z całym zapałem zachęcał Forda do pracy w obranym kierunku. Mówił: „Nigdy całej pracy w kraju nie będzie wykonywać jeden tylko rodzaj siły mechanicznej. Nie wiemy jeszcze co elektryka zdziałać może, ale uważam za pewnik, że wszystkiego zrobić nie może.“ To charakteryzuje wielkość Edisona i bystrość jego sądu. Przyszłość wykazała słuszność zdania Edisona.

Gazownictwo nietylko nie zostało zabite przez elektryczność, lecz poczęło coraz silniej rozwijać się aż do rozmiarów nigdy przedtem nie spodziewanych. Okazało się, że gazownictwo jest to przemysł niezależny od chwilowych warunków, lecz należy do grupy przemysłów koniecznych, które m u s z ą rozwijać się wraz z postępem kulturalnym. — Dzieje się tak dlatego, że zadaniem gazownictwa jest uszlachetnienie węgla kamiennego. Jest to jedno z czarodziejstw nowoczesnej techniki. Czarna, brudząca bryła wydobyta z łona ziemi, rzucona na warsztat techniki gazowniczej przybiera tysiące cech, form i kształtów. Oto w postaci g a z u dochodzi do gospodarstwa domowego i tam dozwala czysto, tanio, szybko i wygodnie ugotować posiłek, ogrzać i oświetlać mieszkanie; to znów w postaci k o k s u wytapia metale z rud, i ogrzewa siedziby ludzkie nie wydzielając sadzy i dymu, tej plagi wielkich miast; w postaci s o l i a m o n o w y c h staje się błogosławieństwem rolnika — zwiększa plon jego ziemi; w postaci s m o ł y przetwarza się w całą tęczę b a r w i k ó w niedoścignionych w trwałości, czystości barwy, w tysiącznych odcieniach, — w całą gamę zapachów perfum, — w długi szereg najważniejszych l e k ó w, będących dobrodziejstwem ludzkości,... to znów grozi naszym wrogom potężnemi m a t e r j a ł a m i w y b u c h o w e m i i trującemi g a z a m i w y b u c h o w e m i.





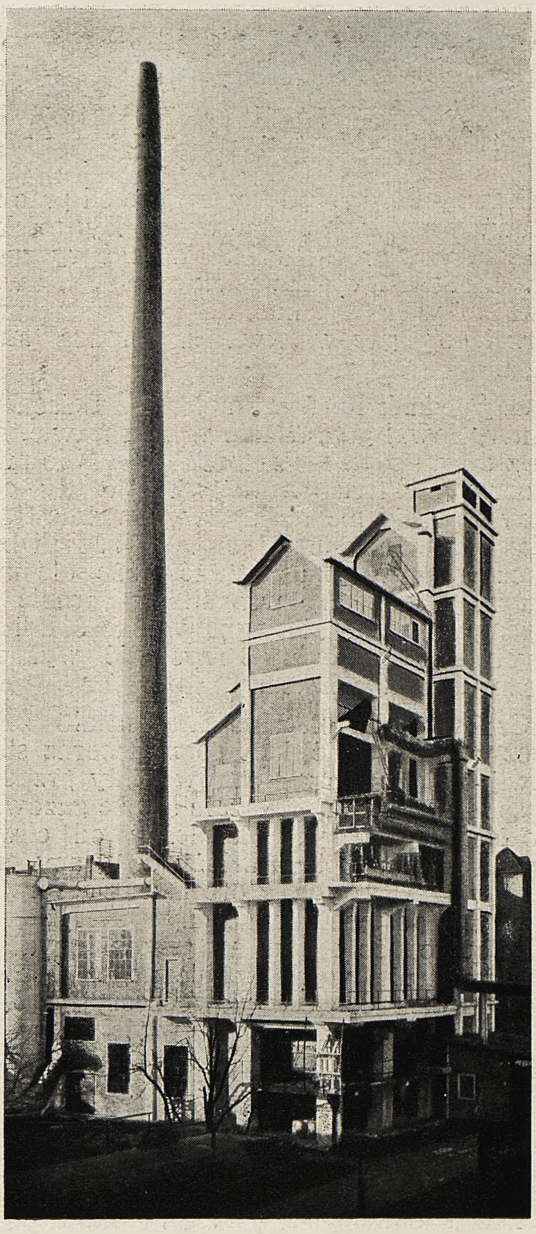


Oddziały maszyn w wytwórni gazu w Krakowie

Czy jest w świecie społeczeństwo, któreby nie rozumiało konieczności rozwoju gazownictwa i uważało za lepsze brutalne spalanie skarbów zaklętych w węglu kamiennym. To też w pierwszym względzie miano na uwadze, a po zapewnieniu się co do zasobów węglowych, rozpoczęto budowę nowej gazowni w Krakowie. Pod względem technicznym nowy zakład przedstawia się nadzwyczaj interesująco, są to bowiem najnowsze w konstrukcji i zastosowaniu zdobycze techniki, planowo ujęte w zrealizowaniu wszystkich możliwych planów, z uwzględnieniem warunków terenu jak i zapotrzebowania. W budowie więc nowej wytwórni gazu w Krakowie mamy do zanotowania wszystko, co ostatnie wynalazki dały, jak n. p. pionowe komory o ruchu ciągłym, typ odpowiadający ostatnim zdobyczom techniki gazowniczej. Jest to czwarta na kontynencie, a pierwsza w Polsce gazownia tego rodzaju. Zalety jej polegają na udoskonalonym i zmechanizowanym w każdym szczególe ruchu ciągłym, który daje maksimum wydajności przy minimum pracy ludzkiej, przyczem praca ta odbywa się w warunkach zupełnie hygjenicznych. Znika z gazowni nieustanna wytężająca praca zasmolonych postaci, uwijających się wśród płomieni, kłębów sadzy i dymu oraz chmur pary, a na ich miejsce w czystej hali czysty robotnik spogląda na wskazówki aparatów i spokojnie wykonuje proste czynności kierownicze.

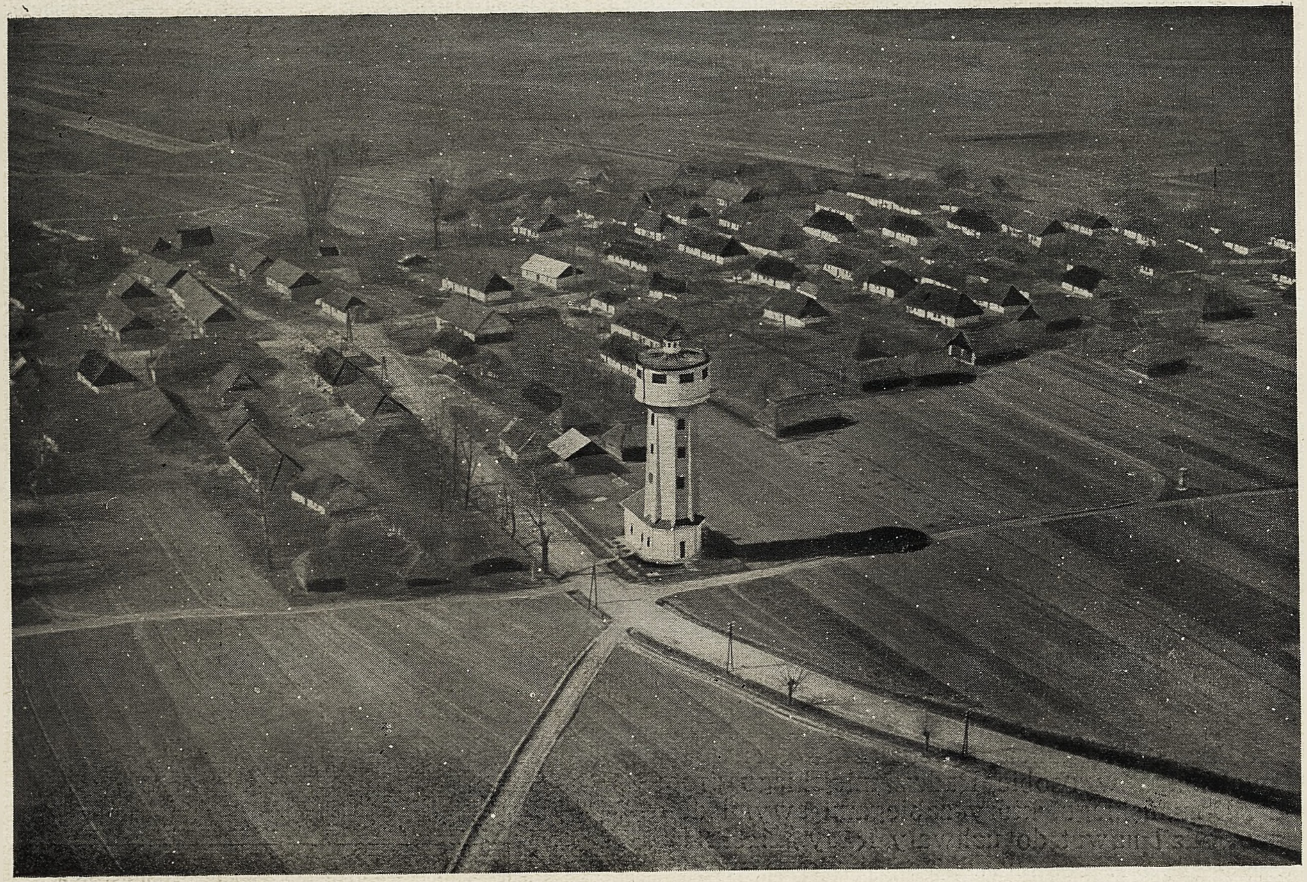
Obrany typ pieców ma pozatem decydujące znaczenie w specjalnych warunkach krakowskich, dozwala bowiem na wzniesienie na małym terenie i przy najmniejszych kosztach jednostki fabrycznej o dużej produkcji.

Kraków ma zatem nietylko zapewnione pokrycie zapotrzebowania gazu, ale możność rozpowszechniania tego najbardziej ekonomicznego źródła energji cieplnej. Jest to zatem poważny krok naprzód w kulturze miasta.



Widok gazowni w Krakowie





Wieża ciśnień wodociągu miejsk. pod Krakowem dla zakładu nerw. chorych w Kobierzynie z widokiem na wieś Statniki

WODOCIĄGI MIEJSKIE W KRAKOWIE

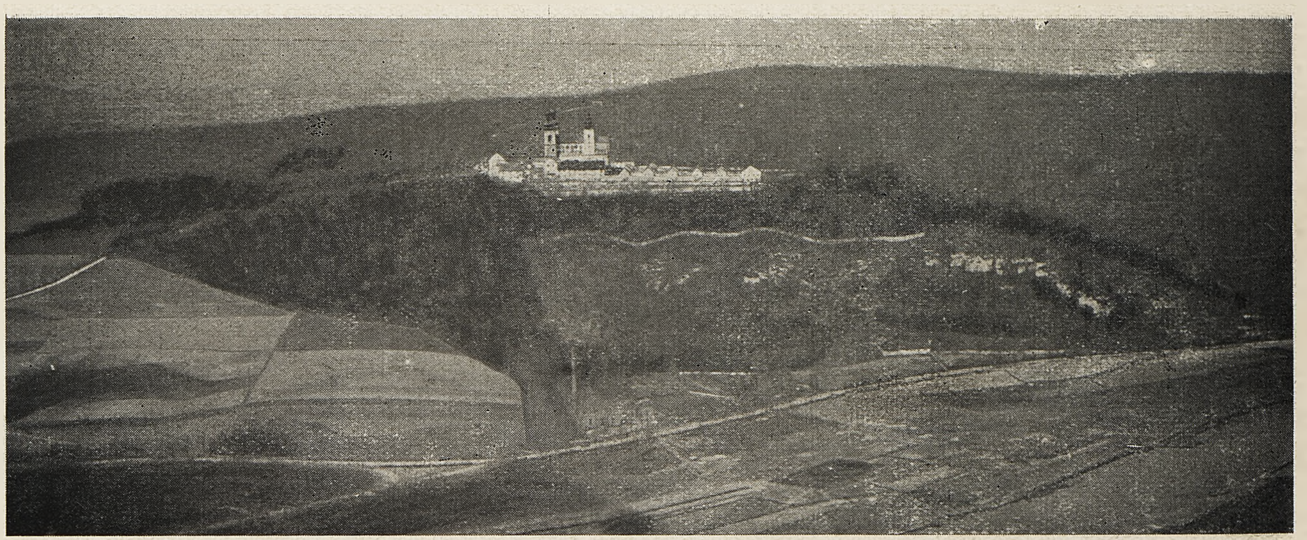
Już w XV. wieku posiadał Kraków urządzenia służące do zaopatrywania mieszkańców w wodę z młynówki Rudawy, płynącej tuż poza murami miasta. Okolica słabo zaludniona zapewniała względną czystość wody, która zasilała „rurmuz" połączony za Bramą Sławkowską, skąd drewnianemi rurami rozprowadzaną była do realności. Na pobór wody dozwalała ówczesna Rada miasta, na podstawie osobnych uchwał. Te urządzenia zostały zniszczone w latach 1655—1657 podczas najazdu Szwedów. Podobnie jak miasto Kraków zasilane były Wawel w wodę z Rudawy zapomocą urządzeń mechanicznych i sąsiednie miasto Kazimierz, dzisiaj jedna z dzielnic Krakowa tej samej nazwy. Zbiornik wody na Kazimierzu położony był na placu, zwanym Wolnica.

Najwcześniejsza wzmianka o tym wodociągu w rachunkach tego miasta z roku 1564 wspomina: „Kiedy Panowie jeździli do Bonarki oględowacz vodę, którą chczą do miasta pszivieszcz, pięci Panom po pul garcza vina flor. 1."

Zubożeni mieszkańcy najazdem Szwedów i częstymi pożarami, nie mogli się przez długie wieki zdobyć na zaprowadzenie nowych urządzeń wodociągowych.

Dopiero z początkiem XIX wieku, pojawiają się zabiegi o doprowadzenie wody do miasta. Ówczesne projekty oparte są na zasadzie użycia na ten cel wody Rudawy, Wisły, źródeł w Chełmie, Olszanicy, Bronowicach, w Toniach, Regulicach, a nawet z Tatr.

W miarę rozwoju miasta, okazują się coraz śmielsze projekta jak Adolfa Opida z r. 1884 sprowadzenia wody z Tatr kosztem 2.500.000 złr. (w r. 1917 koszt tego wodociągu obliczono na 50 miljonów koron w. a.) i projekt inż. J. Tuszyńskiego z r. 1888 wodociągu opartego na



Zakłady wodociągowe na Bielanach w górze Klasztór O. O. Kamedułów

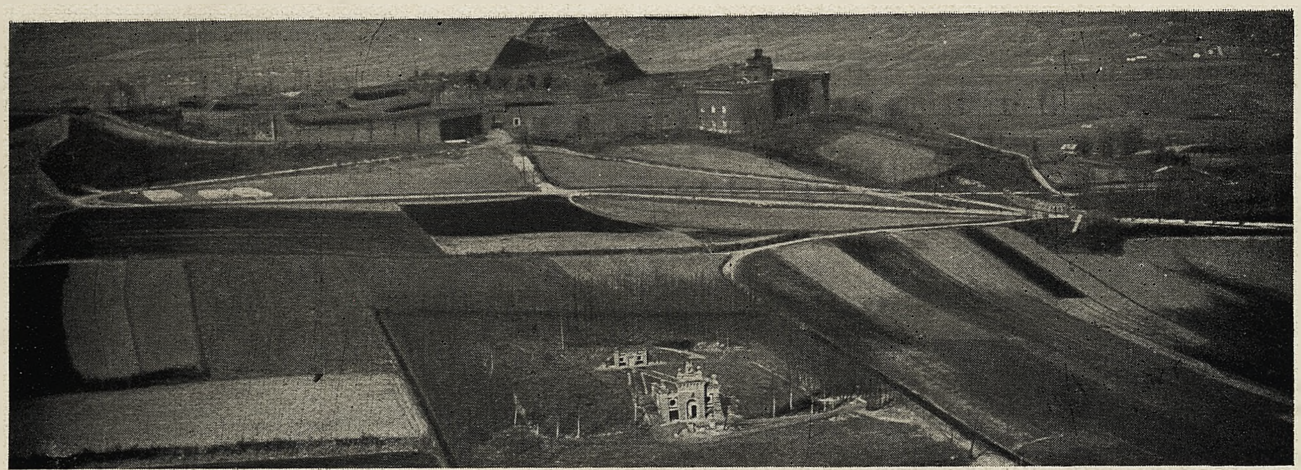
wodzie gruntowej, o kosztach budowy 1 miljona złr.

Sprawa budowy wodociągu opartego na źródłach w Regulicach, znalazła gorliwego zwolennika w osobie Radcy miejskiego prof. dr. Domańskiego, który zabiegami swymi doprowadził nawet do uchwały Rady miasta 11 lipca 1889 r. postanawiającej budowę wodociągu regulickiego kosztem 2,500,000 złr. Projekt opinjował król. Radca budownictwa z Drezna, inż. Salbach, uznał go dobrym, a o źródłach wyraził się, że n a r a z i e! dają dostateczną ilość wody i należy myśleć o rezerwie, ujęciu sąsiednich źródeł. Sprawa się przewlekała. Brak pewności czy ilość wody z Regulic będzie dostateczną, oraz znaczna ich odległość od twierdzy, budziły pewne obawy, czego wyrazem była opinja Krakowskiego Tow. Technicznego, żądająca zbadania wód gruntowych w okolicy Krakowa. Po długich badaniach i walkach, jaki ma być wodociąg krakowski i opinjach rzeczoznawców Grubera, Luegera i Oestena, postanowiła Rada miasta 8 lipca 1897 r. przystąpić do wykonania projektu wodociągu opracowanego przez inż. Romana Ingardena, opartego na wodach gruntowych Bielan, położonych podówczas o 3 klm. poza linją obronną twierdzy.

Niestrudzonej pracy projektanta inż. Romana Ingardena, i inż. Jana Rottera rzecznika tej sprawy na posiedzeniach Rady miasta, przy współudziale wielu mężów nauki, jako ekspertów, jak prof. dr. Zaręcznego, prof. Odona Bujwida, dr. Ottona Luegera, prof. z Stuttgartu A. Thiema, dr. M. Grubera i inż. Oestena, przy współpracy Komisji wodociągowej została postanowiona budowa wodociągu z Bielan. W roku 1897 zostało zorganizowane biuro wodociągowe, a w latach 1899 i 1900 wykonano urządzenia i w dniu 15 lutego 1901 oddano wodociąg do użytku publicznego.



Szkic projektu z 1883 r.



Zbiorniki wodociąg miejsk. poniżej Kopca Kościuszki

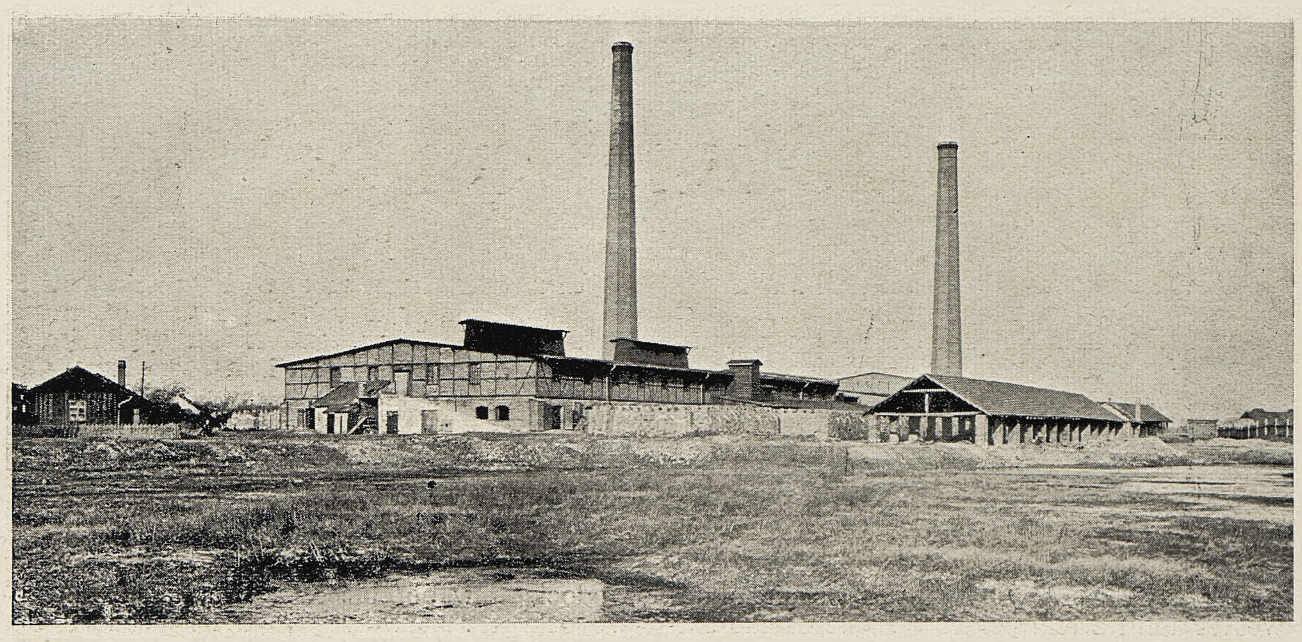
Wzrost miasta wywołany dokonanemi inwestycjami i z tem połączone polepszenie stanu zdrowotnego skłaniało okoliczne gminy do przyłączenia się do miasta Krakowa. Gdy w roku 1901 obszar Krakowa wynosił 8,45 km^2 wzrasta szybko przez włączenie gmin podmiejskich i tak w r. 1910 mierzy Kraków 29 km^2 , w następnym roku 33 km, w 1912 roku 41 km, a od 1914 roku 47^2 km. Ze wzrostem obszaru wzrasta równocześnie ilość mieszkańców i to 114.000 w roku 1901 na około 200,000, w r. 1924, więc wzrasta też produkcja wody. Gdy w roku 1901 produkcja wynosiła 888 000 m¾w roku, to w następnym się podwoiła. W roku 1910 osiągnęła ilość 2,7 miljona metrów sześciennych, w 1914 5 miljonów, w 1917 7 miljonów, a w roku 1923 osiągnęła 7,7 miljona.

W tym samym okresie postąpiła rozbudowa wodociągu przez wykonanie w roku 1914 wodociągu do Kobierzyna i w r. 1917 osobnego wodociągu w obrębie Krakowa, tak zwanego wodociągu rezerwowego, przeznaczonego do zasilania samej twierdzy w wodę, na wypadek zajęcia Bielan przez nieprzyjaciela.

Po wojnie światowej, podczas organizacji Państwa, wobec ciężkich warunków ekonomicznych nie postąpił rozwój wodociągu w tym stopniu, jak to należało dokonać, przez co chwilami okazywał się brak wody na wyższych piętrach. Temu zaradzić może wykonanie inwestycji, przez które wszystkie dotychczasowe urządzenia rozbudowane będą do dwukrotnej, obecnej ich wielkości. Zwiększoną będzie wydajność ujęcia wody, ilość maszyn tłoczących wodę do zbiornika pod Kopcem Kościuszki, drugi rurociąg z Bielan do zbiornika, drugi rurociąg ze zbiornika do sieci miejskiej, drugi zbiornik, a wreszcie rozszerzoną być musi sieć miejska. Koszt tych robót osiągnie kwotę 3,5 miljona złotych.

Kraków w nocy:
Oświetlenie lampami żarowemi wysoko-świecowemi





Cegielnia miejska w Płaszowie

Miejskie Zakłady Ceramiczne w Krakowie

ul. Lwowska nr. 2

Wapienniki, cegielnia, betoniarnia, kamieniołomy oraz dostawa wszelkich materjałów budowlanych

Zamieszczane uprzednio ważniejsze z instytucji miejskich Krakowa, dopełnić należy Miejskiemi Zakładami Ceramicznemi, których główny Zarząd mieści się przy ul. Lwowskiej.

Miejskie zakłady Ceramiczne bowiem mają przed sobą ogromną przyszłość, zwłaszcza w rozbudowie wielkiego Krakowa, jak i jego urządzeń kanalizacyjnych, betonowych, budowli i t. p.

Obecne stadjum ciągłego rozszerzania się Miejskich Zakładów Ceramicznych jest wyrazem żywotności tej placówki, która w życiu Krakowa bezsprzecznie niezwykle doniosłe ma znaczenie.



Betonarnia miejska przy ul. Zwierzynieckiej



Wapienniki i kamieniołomy Podgórze ul. Wielicka

Miejskie Zakłady Ceramiczne w Krakowie powstały w roku 1916 z zarządzenia śp. Prezydenta m. Dr. Lea, jako złączenie przedsiębiorstw budowl. gminy m. Krakowa t. j. betoniarni i kamieniołomów z Wapiennikiem Podgórskim, następnie z cegielnią płaszowską. Przedsębiorstwo to działa jako samoistna protokółowana firma handlowa własności gminy m. Krakowa i zajmuje się poza produkcją materjałów budowlanych również handlem wszelkich materjałów budowlanych i żelaznych w zakres budowy wchodzących. Firma zatrudnia około 300 pracowników i robotników i rozwija się bardzo szybko, powiększając swe działy i pomnażając obroty, gdyż uczciwa kalkulacja cen i sumienna dostawa tylko pierwszej jakości towarów zyskuje coraz liczniejszą klijentelę.



Od wydawnictwa

Niezwykłe opóźnienie numeru „Giewontu“ domaga się z naszej strony wyjaśnienia.

Projektując numer krakowski „Giewontu“ byliśmy przygotowani na szerszy dział sezonowy z Zakopanego z dodaniem w skromnym ujęciu Krakowa, tymczasem stało się wręcz odwrotnie. Zakopane wobec zanikającej frekwencji sezonów nie było w stanie dostarczyć dość interesującego materjału, z drugiej strony dział Krakowa tak ilustracyjnie, jak treścią aktualną, przeszedł najśmielsze oczekiwania. Dość zaznaczyć, że do krakowskiego „Giewontu“ zebraliśmy przeszło 600 zdjęć fotograficznych dotąd nie reprodukowanych a specjalnie dla naszego wydawnictwa przygotowanych, z których należało wybrać najlepsze i najodpowiedniejsze.

Olbrzymi ten materjał ilustracyjny życia Krakowa dzisiejszego, opracowały pierwszorzędne firmy J. Kuczyńskiego (teatr), Z. Garzyńskiego (życie towarzyskie) oraz Agencja „Światowida“ i p. p. Mucha, Pawlikowski (zdjęcia wnętrz i ruchu miejskiego). Do tego dodać należy kilkadziesiąt artystycznie przepysznych zdjęć z Zakopanego H. Szabenbeka oraz grupy fotografów amatorów. Już zebranie tak bogatego materjału ilustracyjnego nastręczyło duże trudności i zabrało ogrom czasu.

Ale to nie wszystko; do ilustracji trzeba było zebrać odpowiednią treść niejednokrotnie w opracowaniu niezależną od redakcji, bo ujmującą instytucje miejskie, placówki społeczne, dział przemysłowy, wreszcie zebranie, a raczej otrzymanie obiecanych artykułów, co znów przeciągało się w nieskończoność. Nie bez wpływu jest też obecny stan gospodarczy, drożyzna i konieczność liczenia się z najdrobniejszym wydatkiem, z drugiej strony niemożność stosowania oszczędności w mierze, którąby szkodliwie wpłynęła na artystyczną całość wydawnictwa. Dając pismo kosztowne, jedyne w swoim rodzaju na całą Polskę, nie możemy przyśpieszać wykonania, dawać gorszego papieru lub lekceważyć mniej lub więcej staranne opracowanie klisz itd. Tu musimy też zaznaczyć, że „Giewont“ powstał i istnieje dzięki inicjatywie prywatnej, wydawany z wielkim trudem i wysiłkiem w dzisiejszych ciężkich czasach, nie jest czasopismem subwencjonowanem i że Zakopane zupełnie nie zrozumiało doniosłości propagandowego dla siebie wydawnictwa, a nawet miejscowemi właściwościami wzajemnej adoracji utrudniało prace w tym kierunku tak dalece, że jesteśmy zmuszeni poniekąd zmienić zakres i plan programowy „Giewontu“, który w założeniu swem miał na celu tylko i głównie Zakopane.

Obecnie „Giewont“ obejmować będzie stopniowo całą Polskę tworząc w ten sposób kolejno niejako monografję całego kraju. Dalsze numery zobrazują kolejno Poznań, Lwów, Wilno, Pomorze, Górny Śląsk itd. w połączeniu każdorazowo z jednem z mniej lub więcej znanych uzdrowisk, i stacji klimatycznych. W każdym z numerów „Giewontu“ starać się będziemy dać artystycznie ujętą i skończoną całość. Wobec jednak ciągłej zmiany miejsc i konieczności zbierania coraz to innych materjałów jak zdjęcia fotograficzne, ilustracje, treść lokalną i t. p. nie możemy się wiązać terminem.

W „Giewoncie“ będziemy się starali odzwierciedlić teraźniejszość w jej ujęciu życiowem, jednakże bez aktualności codziennej, tak by każdy zeszyt „Giewontu“ bez względu na czas był ciekawą ilustracją chwili i życia danej miejscowości.

W sezonie letnim zamierzamy wydać Nr. 3, który obejmuje Krynicę-Łódź-Częstochowę i już jest w opracowaniu.

Ze względu na niezwykły znów, olbrzymi materjał, samą Częstochowę zilustruje 120, dotąd nie reprodukowanych zdjęć, Łódź przeszło 200, Krynica z górą 100, nie licząc miejscowości okolicznych, prosimy najuprzejmiej osoby zainteresowane o nawiązanie korespondencji celem przysłania fotografa ewentualnie opracowania poszczególnych artykułów.

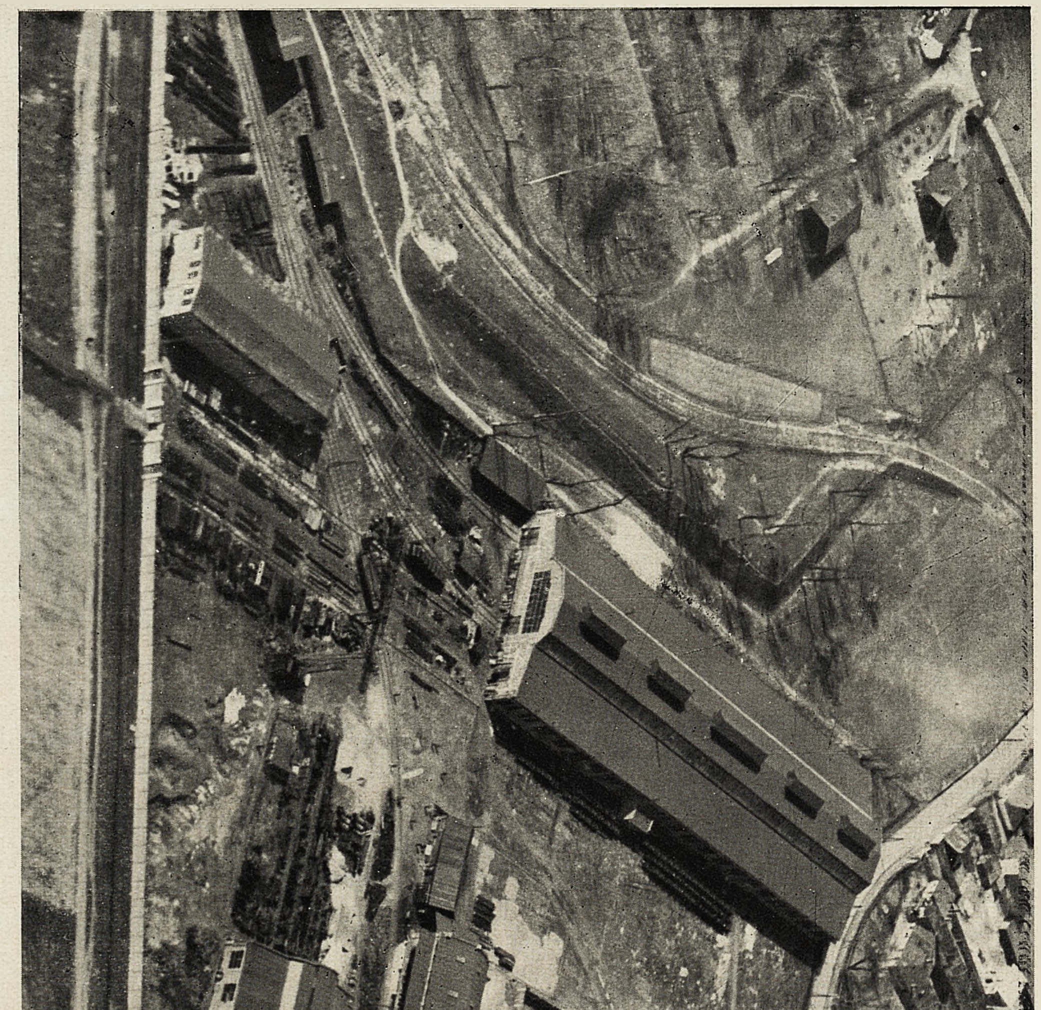
Pracując w zakresie propagandowym całej Polski, podjąwszy pracę nad siły jednostki, nie dla zysków, bo tych tego rodzaju kosztowne czasopismo nie jest dać w stanie, pragniemy wypełnić brak tego rodzaju wydawnictwa u nas, i trwać w umiłowanem zadaniu, to też prosimy o nadsyłanie cennych rad, wskazówek, rzadkich fotografji, zabytków, artykułów, słowem wszystkiego co utrwalonem być winno i na to zasługuje. Zwłaszcza uzdrowiska, miejscowości klimatyczne, kąpielowe oraz sanatorja, zakłady lecznicze znajdą pierwsze miejsce w każdym zeszycie „Giewontu“.

Adres redakcji na Nr. 3 „Giewontu“
Hotel Savoy — Łódź, ul. Trauguta 6.

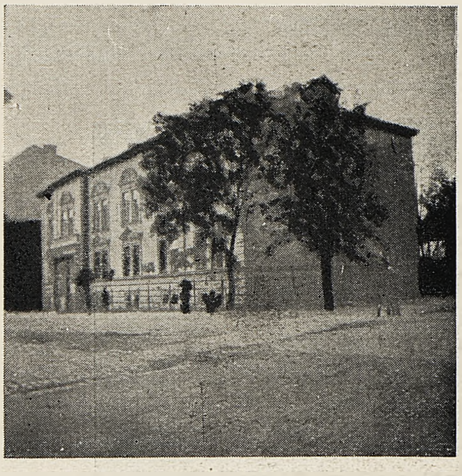
Prenumeratę tylko roczną to jest za cztery zeszyty, w kwocie 50 złotych skierowywać należy pod wyż podanym adresem z zaznaczeniem czy wysłać Nr. 1 (w sprzedaży wyczerpany, dla abonentów zachowany w niewielkiej ilości) czy też oba dotąd wydane zeszyty.

Nr. 3 Giewontu ukaże się w sezonie letnim.

Pominięte w zeszycie obecnym przez niedopatrzenia lub z powodu braku odpowiedniego miejsca a także z winy nie nadesłanego na czas materjału, firmy, instytucję i t. p. znajdą się w Nr. 3 Giewontu.



Zakłady Fabryczne L. Zieleniewski S. A. w Krakowie



Widok ogólny

DOM ZDROWIA

NAJSTARSZY PRYWATNY ZAKŁAD LECZNICZY

W KRAKOWIE

Założony został przez ś. p. Dra Jana Gwiazdomorskiego w roku 1883, pierwotnie w zwykłej kamienicy przy ulicy Karmelickiej. W roku 1889 przeniósł go Dr. G. do specjalnie w tym celu wybudowanego sanatorjum przy ulicy Siemiradzkiego nr. 1. Obecny właściciel i kierownik zakładu Dr. Bruno Woyciechowskie rozszerzał go dwukrotnie, w latach 1906 i 1911 i zastosował szereg ulepszeń odpowiadających duchowi czasu. Obecnie posiada zakład dwie oddzielne przestrzenie operacyjne, aseptyczną i septyczną, — z których każda składa się z trzech części: z usypialni, przygotowalni i sali operacyjnej —, osobną salę porodową, salę do sterylizacyj, 2 łazienki porcelanowe i 1 metalową, wentylatory elektryczne, szereg przyrządów dla celów chirurgji i ginekologji i t. d. Przestrzenie operacyjne ogrzane centralnie, pokoje chorych piecami palonymi od korytarzy. Urządzenie 23 pokoi (przeważnie z 2 łóżkami) odpowiada wymaganiom dzisiejszej doby. Kuchnia wykwintna. Ogród dla ozdrowieńców.

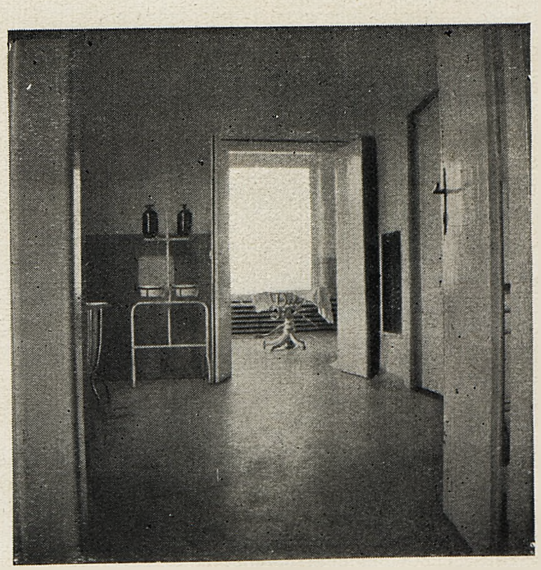
W pierwszym rzędzie przyjmuje Dom Zdrowia przypadki chirurgiczne, położnicze, ginekologiczne i oczne, pozatem wszelkie inne, z wyjątkiem chorób zakaźnych i ciężkich nerwic.

Cena za pobyt waha się w związku z ogólną konjunkturą. Zarząd Domu Zdrowia udziela na żądanie nader chętnie szczegółowych wyjaśnień.

* * *

Jeżeli weźmiemy pod uwagę i dodamy od siebie, że Dom Zdrowia mimo że znajduje się w niewielkim oddaleniu od centrum miasta zna pomimo to idealne warunki, nie będzie to przesadą.

Główny budynek położony w ogrodzie, wśród przepysznego starodnawia, daje już tem samem dużo uroku, spokoju i ciszy, zwłaszcza, że i w sąsiedztwie jak i wogóle na ul. Karmelickiej w tem rejonie przeważają ogrody i wille. Zresztą samo już istnienie Domu Zdrowia od czterdziestu paru lat dowodnie świadczy o celowości jak i racjonalnie a sumiennie prowadzonej tej placówki. R.



Wnętrze „Domu Zdrowia“ w Krakowie



Skład Fortepianów przy ul. Szewskiej

Największy w Małopolsce
Skład Fortepianow
H. Smolarska, Kraków, Szewska 9

Muzykalny Kraków wie i zna aż nadto dobrze, poważną i zasłużoną firmę Heleny Smolarskiej, jeden z największych w Małopolsce Składów Fortepianów, Fisharmonji itd. Już w roku 1915 na Wolskiej pod Na J. firma ta acz wtedy nie na tę miarę co dziś założona, odrazu zdobyła zaufanie i cieszyła się uznaniem Krakowian. Od tej chwili datuje się ciągły i nieustanny rozwój firmy. Obecnie oprócz znacznie zwiększonych składów na ul. Wolskiej, główny skład mieści się w wspaniałym apartemencie przy ul. Szerokiej 9. Przetrwawszy ciężkie czasy wojenne i powojenne, obecnie firma Heleny Smolarskiej, stała się jedną z najpopularniejszych w Krakowie, z dnia na dzień rozwijając się coraz więcej i wszechstronniej.

Nie bez dużego wpływu na rozkwit przedsiębiorstwa, ujętego w poważnym i artystycznym muzycznie stylu, jest obecnie czynny udział p. Władysława Smolarskiego, który po wojnie przystąpił jako współwłaściciel, i czynny, energiczny a przedsiębiorczy kierownik tak solidnie wprowadzonej firmy.

Obecnie firma obrotnością swoją zatacza coraz szersze kręgi, ostatnio mając do zanotowania spółkę ze znaną w świecie przemysłowym firmę Gebethnera i Wolffa, jedna z najstarszych z tego rodzaju w Warszawie.

Składy Heleny Smolarskiej w Krakowie mają na składzie pierwszorzędne instrumenta marki światowej jak Bechstein, Blütner, Steinweg, Wirth, Zimermann, Ferster, Quandt i inne.

Pozatem fortepiany i pianina każdej innej marki mogą być sprowadzone na żądanie.

Również bogaty wybór z dziedziny najnowszych technicznie Fisharmonji, Pianoli, Fonoli



Sala muzyczna pızy ul. Szewskiej

i t. d. pozwala na zaspokojenie każdego życzenia i zamówienia.

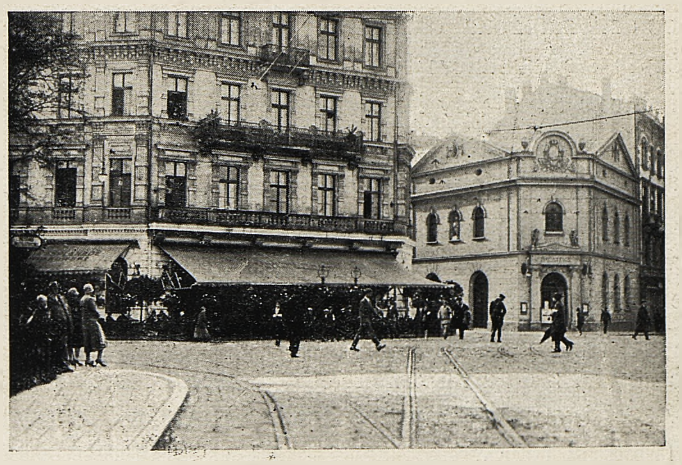
Ulegając życzeniu klienteli objęła też firma H. Smolarskiej generalne przedstawicielstwo amerykańskich gromofonów „Sonora“, by przysłużyć się w ten sposób wycofaniu z naszych rynków, tandety i bezwartościowych aparatów, które dyskredytują tylko i to za drogie pieniądze, np. fonografy istotnej wartości.

Jeżeli dodamy, że firma Heleny Smolarskiej, jak na dzisiejsze czasy ma ceny niezwykle umiarkowane, ułatwiając nadto uzyskanie dobrego instrumenta czy to w drodze zamiany, spłaty częściowej, czy wynajęcie i t. d., to powodzenie, jakiem znana ta firma w Krakowie się cieszy, będzie zupełnie zrozumiałem i dodajmy zasłużonem.

* * *

Jak słyszeliśmy obecny kierownik p. Władysław Smolarski znany z swej przedsiębiorczości zamierza poczynić kroki, celem urzeczywistnienia oryginalnego pomysłu otworzenia małej sali koncertowej, która pozwalałaby od czasu do czasu na produkcje muzyczne i wypróbowanie instrumentów przez artystów muzyków.

Pomysłowi temu należy jak najrychlej życzyć urzeczywistnienia, ten sposób bowiem demonstrowania pianin i fortepianów zyskał by sobie bezwarunkowo duże powodzenie i popularność.



Teatr Bagatela w Krakowie

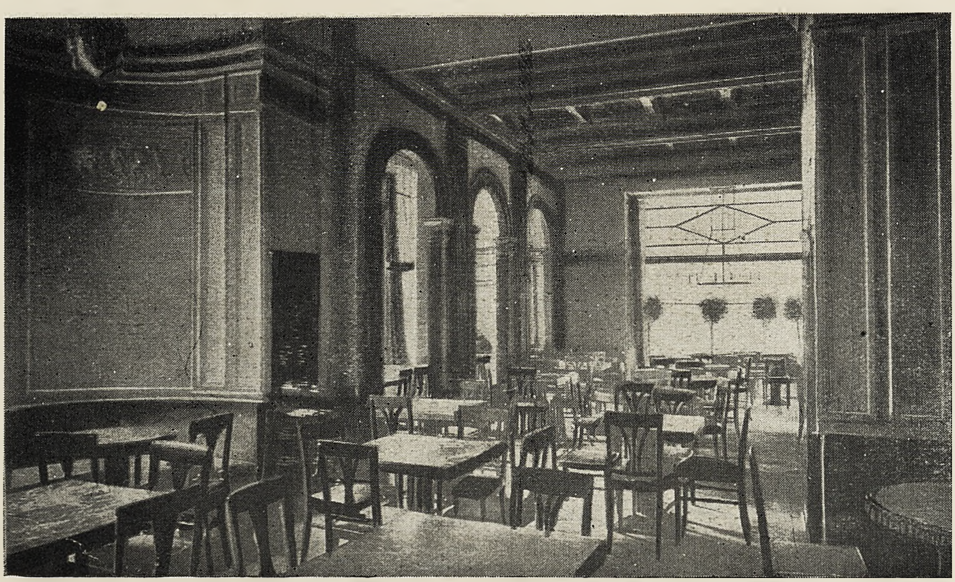


Czytelnia

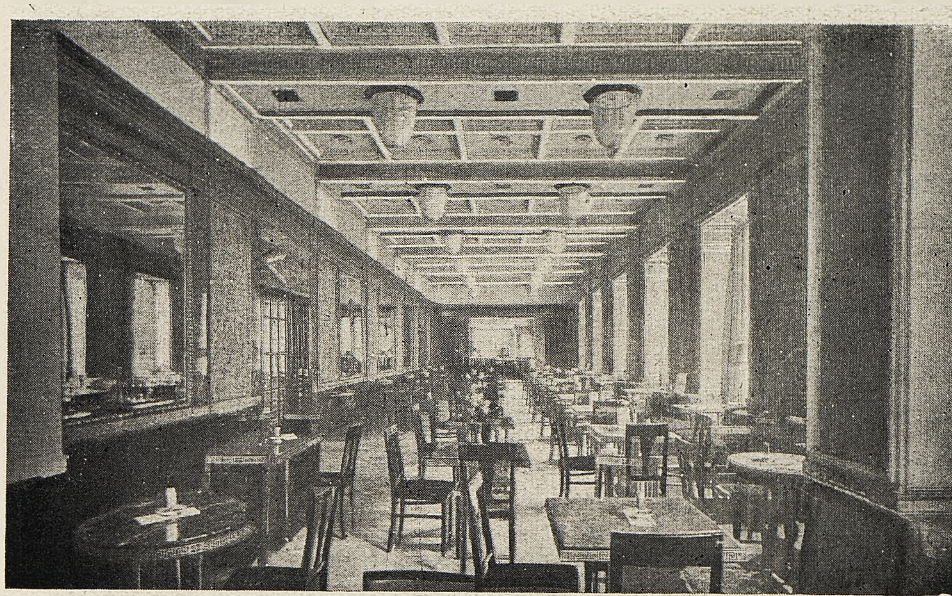
„ESPLANADA"

KAWIARNIA I RESTAURACJA W KRAKOWIE

Kawiarnia i Restauracja „Esplanada" są bezsprzecznie jednym z najpiękniejszych i najbardziej po europejsku urządzonych lokali w Krakowie. Jak z załączonych zdjęć widać „Esplanada" w niczem nie ustępuje wspaniałym lokalom n. p. wiedeńskim. Gdy się doda, że zarząd przedsiębiorstwa spoczywa w ręku właściciela p. Wołkowskiego, który z znaną sobie energją i pieczołowitością czuwa nad ciągłym rozwojem interesu, że napoje jak i potrawy są pierwszorzędnej dobroci, a ceny zwykłe, to pojąć łatwo, że mimo olbrzymiego lokalu, niemal stale wszystkie stoliki są zajęte, a wieczorami naprawdę do niełatwych zadań



Sala koncertowa mniejsza



Widok ogólny Kawiarni i Restauracji „Esplanada“ w Krakowie

należy znaleźć miejsce wolne. Przyczynia się do tego prócz wyż wskazanych zalet doskonała orkiestra, koncertująca codziennie wieczorami, a także dancing urządzony niedawno, z dużym artystycznym smakiem w jednej z sal „Esplanady“.

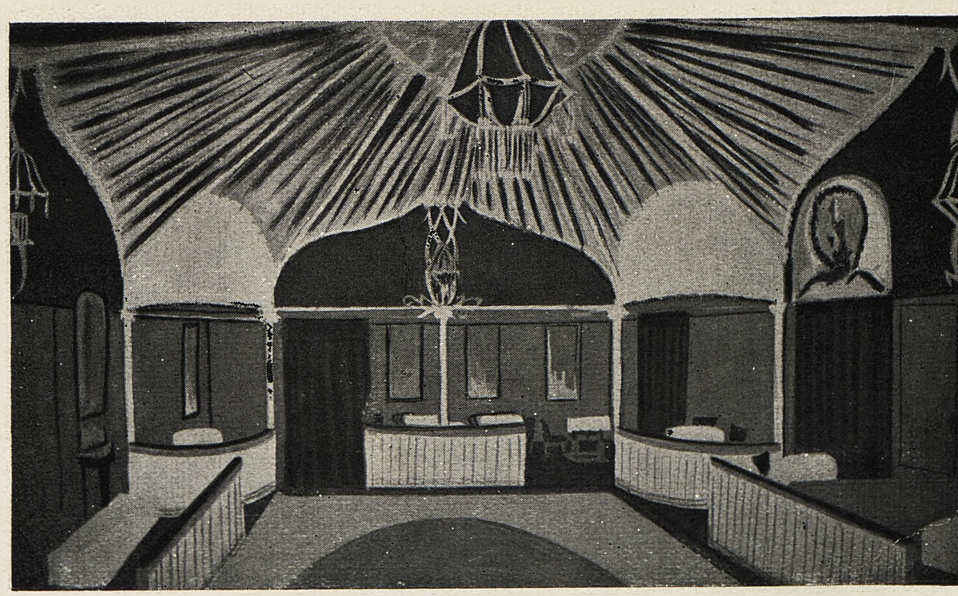
To też warto zobaczyć wieczorem, a raczej o 11 wieczór, tę jedną z najnowszych atrakcji cichego Krakowa.

Należy przyznać, że „Dancing“ również pomyślany został na miarę wielkomiejską.

Salka, acz szczupła w rozmiarach została nader gustownie udekorowana, ciepła w tonach dyskretna w oświetleniu nader miłe sprawia wrażenie.

Nic więc dziwnego, że przy takich danych „dancing“ odrazu zdobył i wyrobił sobie publiczność, która chętnie zawsze popiera w Krakowie, co poparcia jest warte.

Nadmienić jeszcze należy słówko o czytelni w Esplanadzie, która jak na nasze warunki nader obficie zaopatrzona jest w pisma tak nasze jak zagraniczne.



Dancing



Wnętrze sklepu i kilimy

„HOME"

ARTYSTYCZNA WYTWÓRNIA KILIMÓW DR. E. ŁACHOWEJ

W ZAKOPANEM

SKLEP WŁASNY VIS a VIS RESTAURACJI ST. KARPOWICZA

Osoby przychodzące do Zakopanego a przechodzące Krupówkami, muszą zwrócić uwagę na śliczny sklep, naprzeciw restauracji p. Karpowicza. Jest to wystawa i sprzedaż kilimów z artystycznej wytwórni kilimów Drowej E. Łachowej.

Wytwórnia powstała w 1920 r. Początkowo pomyślana była jako pracownia kilimów na własny użytek, celem zdobienia mieszkania; w krótkim jednak czasie szereg osób przewijających się przez salony pp. Dr. Łachów, nakłaniają artystkę do rozszerzenia pracowni i tkania kilimów początkowo dla znajomych a potem i dla ogólnej sprzedaży. Kilim — rzecz dzisiaj bardzo powszednia. Zwłaszcza po wojnie powstało wiele warsztatów kilimkarskich, zarzucających rynek swemi wyrobami. Lecz kilim kilimowi nie równy. Piękność i wartość kilimu zależne są od dwóch warunków: ładny rysunek i nie mniej piękny dobór i sharmonizowanie kolorów decydują o powodzeniu kilimu, jak się rzecz ma z kilimami Drowej Łachowej.

Utarło się mniemanie, że kilim i góralszczyzna to dwie tak złączone z sobą cechy, iż rozłączyć ich i różniczkować nie można; pojęciem tem grzeszy przeważna ilość pracowni, tkających kilimy o motywach góralskich względnie ludowych. Kilim tego rodzaju, sam dla siebie ładny, nie nadaje się jednak do zawieszenia go w salonie. Pod tym względem zrobiła Drowa Łachowa wyłom: jej wzory przeważnie ornamentowe, częścią zaś o motywach wschodnich, dają tak piękne kilimy, że rozmieszczne umiejętnie w salonie, jadalni, sypialni czy też innym pokoju, przemieniają mieszkanie w istne cacko. By się o tem przekonać, wystarczy przejść się po mieszkaniu pp. Dr. Łachów lub oglądnąć wystawę, urządzoną w sklepie przy ul. Krupówki; zwłaszcza pięknie przedstawia się wnętrze wystawy wieczór przy abużurowem oświetleniu kilka lamp.

Do najbardziej wziętych kilimów należą: „Róże", „Herby", „Wazy", „Bibi Hanum", „Ornament", „Skorpion", „Jesień", „Jarzem-



Wnętrze sklepu: Meble

bina", dalej prześliczny parawanik „Fuksje"; nowością są także chodniki i portjery kilimowe.

Najciekawszem jest łatwość, z jaką opanowała technicznie Drowa Łachowa barwność kolorytu deseni wschodnich. Takie np. „Bibi Hanym" nie ustępuje pod względem żywości barw jak i ornamentu najpiękniejszym t. zw. „tekińcom" lub „sumom". A znów gobelinowo traktowane „Róże", „Jarzembina", „Jesień" subtelnością barw i rysunku mogą śmiało walczyć o lepsze z obecnymi wyrobami francuskiemi. Zresztą ile ich jest, jeden kilim za drugim, każdy walczy o lepsze swym artyzmem wykonania i każdy ma swą indywidualnie pojętą wartość. Jedyną trudność, stawiającą w zakłopotanie każdego, komu dane jest obejrzeć ewentualnie nabyć który z kilimów, to kwestja wyboru gdyż najchętniej chciałoby się te barwne róże, pęki kwiecia, listowia, zwić w jeden olbrzymi bukiet i zabrać wszystkie.

Wytwórnia przezwyciężyła trudności gotówkowe, z jakiemi dzisiaj walczy przemysł, to też posiada stale obficie zaopatrzony sklep i przyjmuje ponadto zamówienia; dysponując dostatecznym kapitałem, wytwórnia jest w możności sprzedawać kilimy na dogodnych warunkach. Jako artystka, decyduje właścicielka osobiście o artystycznej stronie kilimu, to też podejmuje się dostarczania kilimów w tonacach wskazanych przez klientelę; w ten sposób klijentela ma możność sharmonizować całość mieszkania, co przy kupowaniu poszczególnych kilimów jest wykluczone. Ceny równe innym tego rodzaju wyrobom a w niektórych wypadkach nawet niższe.

Jak nam wiadomo, p. Drowa Łachowa przystępuje niebawem do otworzenia sklepów względnie miejsc sprzedaży i wystaw swych kilimów w większych miastach, między innemi w Katowicach i w Krakowie.




BANK ZWIĄZKU SPÓŁEK ZAROBKOWYCH
ODDZIAŁ KRAKOWSKI

Akcyjny Bank Związkowy

Oddział w Zakopanem



Wejście do biur Akcyj. Banku Związk. w Zakopanem na Krupówkach

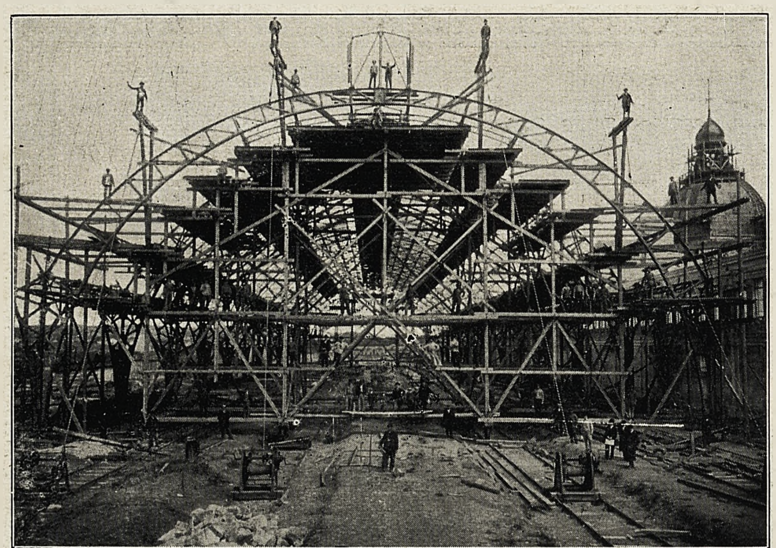
*

Oddział w Zakopanem obejmuje powiat Nowotarski z własną ekspozyturą w Nowym Targu

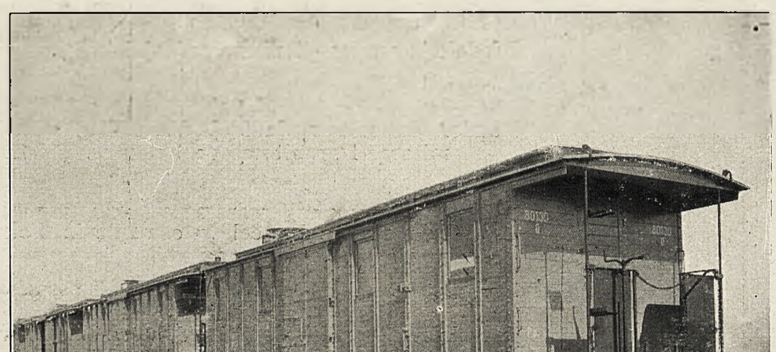
*

Centrala Lwów





Budowa dworca we Lwowie



Wagony budowy Fabryki



Sala jadalna



Wejście na salę balową

RESTAURACJA STARY TEATR

SP. Z OGR. ODP.

KRAKÓW

JAGIELLOŃSKA 1.

GABINETY STYLOWO URZĄDZONE Z PIANINEM DLA ZEBRAŃ TOWARZYSKICH.

FILJA W HOTELU FRANCUSKIM UL. PIJARSKA NR. 13.



Hotel Francuski

KRAKÓW, ULICA ST. JANA

*

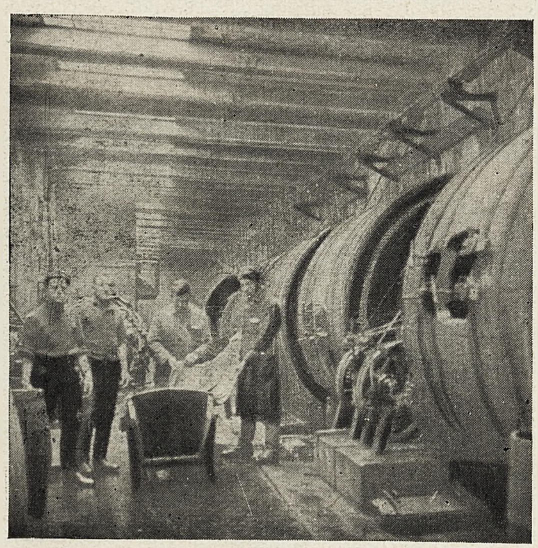
Pierwszorzędna Restauracja

*

Pokoje od wykwintnych do skromnych

POLSKIE ZAKŁADY GARBARSKIE

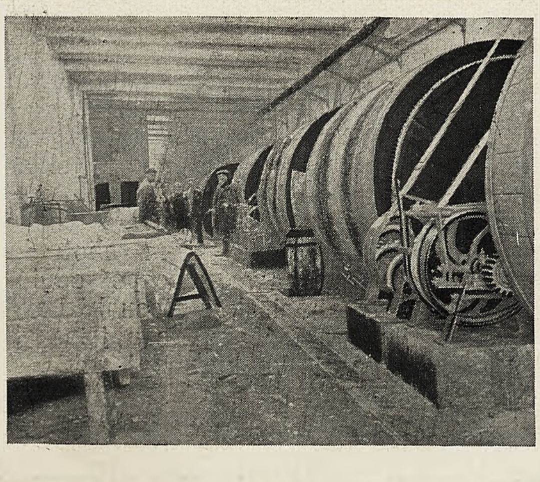
K R A K Ó W



★

WYPRAWA SKÓR
WSZELKICH
GATUNKÓW
W PIERWSZO-
RZĘDNEM WY-
KONANIU

★





WOJCIECH KAPERA

KRAKÓW

MAGAZYN OBUWIA WŁASNEGO WYROBU!!!

/

PRZEMYSŁ OBUWNICZY.

Jakkolwiek przemysł obuwniczy u nas stoji na niskim poziomie, znajduje się jednak w Krakowie większy zakład wyrobu ręcznego obuwia słynny ze swych wyrobów tak pod względem jakości materjału jakoteż wykonania.



Historja tego zakładu datuje się od roku 1901, który to rok jest rokiem założenia.

Właścicielem zakładu jest bardzo dobrze znany w Krakowie p. Wojciech Kapera. Pracę swą rozpoczął bardzo skromnym warsztatem w roku 1901 i przy swych zdolnościach zyskał szeroką klijentelę, starając się ją obsłużyć jaknajdokładniej. Z każdym dniem ilość odbiorców powiększała się tak, że nie mógł nadążyć zamówieniom, to też z każdym miesiącem a nawet tygodniem starał się przedsiębiorstwo swe udoskonalić i powiększyć.



Wojna jak wszędzie tak i tu zrobiła znaczny wyłom.

W roku 1922 otrzymawszy lokal przy ul. św. Tomasza 1. 29 powiększono przedsiębiorstwo otwarciem filji jak również rozprzestrzenieniem pracowni. Zatrudniając w swym zakładzie personel składający się z 42 osób nie redukuje go, nie ogranicza pracy mimo szalejącego w ostatnich czasach bezrobocia, dając możność zarobkowania swym robotnikom. W ostatnich czasach nawiązawszy bezpośrednio z zagranicznymi wytwórniami skór stosunki handlowe, jest w możności wyrabiać obuwie najlepszej jakości po cenach faktycznie konkurencyjnych.





Zamówienia wykonuje się szybko i gustownie!

Pierwszorzędna Pracownia Futer

B. Wroński

Kraków, Plac Szczepański

Futra

Płaszcze

Etole

Wykonanie wytworne! Modele najnowsze!

T. WĘGLARSKI

KRAKÓW, ULICA GOŁĘBIA Nr. 5.

PRACOWNIA KOSTJUMÓW DAMSKICH I MĘSKICH!

OSTATNIE NOWOŚCI!

MODELE PARYSKIE!

NA SKŁADZIE OBFITY WYBÓR MATERJAŁÓW KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH!





Fabryka maszyn i narzędzi rolniczych w Oświęcimie

„POTĘGA“

SPÓŁKA AKCYJNA

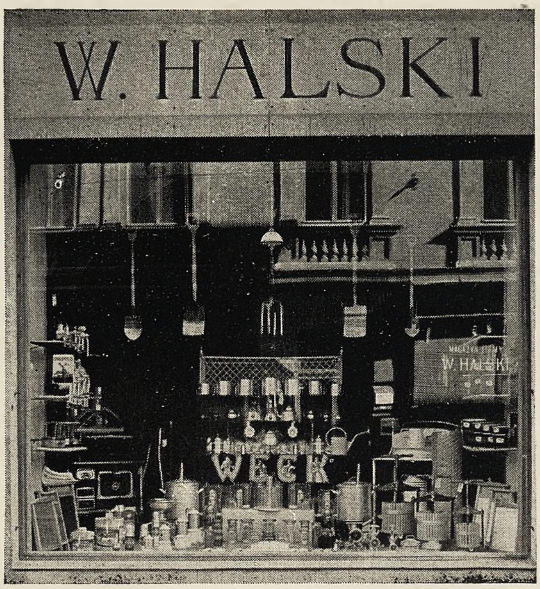
TOWARZYSTWO POLSKICH
FABRYK I HUT ŻELAZNYCH

CENTRALA W KRAKOWIE

ODDZIAŁ I:

FABRYKA MASZYN I NARZĘDZI ROLNICZYCH

W. Halski
Kraków
ul. Szewska



Pierwszorzędny Magazyn
Naczyń Kuchennych
i Sprzętów Domowych

★

Specjalności Sezonowe!

★

Nikiel / Aluminjum / Emalja

FORTEPIANY, PIANINA, FISHARMONJE
AUTOPIANINA, PHONOLE, PIANOLE



FORTEPIAN
lub
PIANINO
jest ideałem całego świata muzycznego!

*

Przeszło 200.000 fortepianów firmy STEINWAY & SONS będących w użyciu we wszystkich częściach kuli ziemskiej dają świadectwo wziętości oraz nadzwyczajnych zalet, tych wspaniałych instrumentów które jako tanie zostały uznane przez kompetentną sferę **za przodujące** wśród wszystkich fabrykatów doby współczesnej.

Wyłączne zastępstwo w najstarszym składzie fortepianów Firmy

WŁADYSŁAW BOLOŃSKI

Telefon 465. (ZYGMUNT RABA NAST.) Rok zał. 1880.

KRAKÓW, RYNEK GŁÓWNY 34 (PAŁAC SPISKI)

Wyłączne reprezentacje firm światowej sławy jak: **STEINWAY & SONS, Rud Ibach, Gebrüder Stingl, Ant. Petrof, Lauberger & Glos, Sponnagel, Leutke, Schiedmayer, Liebig Hofberg** i inne.

SPRZEDAŻ NA RATY — KUPNO — ZAMIANĄ.

Krakowska Fabryka Mydła
C. ŚMIECHOWSKI
Sp. z ogr. odp.
w Krakowie

poleca: **Znane z swej dobroci**

mydła, proszki do prania,
świece stearynowe
i parafinowe

MAGAZYN
OBUWIA

DAWNIEJ **JAN REBSZ,** OBECNIE
R. ISMER

KRAKÓW
UL. FLORJAŃSKA 17

HERBATA
Z RĄCZKĄ



JULJUSZ GROSSE
KRAKÓW, RYNEK GŁ. / TELEF. NR. 34

Kufry, Walizy, Torby, Nesesery najmodniejsze damskie **Torebki**

portfele, portmonetki, papierośnice, manicure,
pledy, parasole w wielkim wyborze poleca:

Anastazy Fronçz, Kraków, ulica Florjańska 17